



GDZIE

K. Kwakówniewski

INRY



jest

Trzeci

KROUŁ?

Kazimierz
Kwaśniewski

Gdzie jest trzeci król ?



ISKRY WARSZAWA 1966

*„Zebrani w mrokach nocy poprzysięgli
Czyn ów straszliwy wykonać tajemnie,
W sercach ich zakwitł czarny kwiat występku.
Krew się polala. Król zniknął bez wieści.”*

Fragment anonimowego poematu
„Chwalebne dzieje tego oto królestwa Anglii”
— Londyn, rok 1538. (L.J)

1

„Muszę go kupić od pana...”

Pan Gomez miał za sobą bardzo pracowicie spędzony dzień i usnął niemal natychmiast po starcie samolotu. Kiedy otworzył oczy, był świt. Odsunął białą firaneczkę zasłaniającą okno. Wyjrzał. W dole, po granice widnokregu, rozpościerała się niezmiernie, ciemnoniebieska równina. Pan Gomez ponownie oparł głowę na miękkiej poduszce fotela i spojrzął na zegarek. Jeszcze godzina. Za kilkanaście minut Atlantyk ucieknie spod skrzydeł maszyny i wejdzie pod nie stara, szara Europa.

Stewardessa podeszła niemal tanecznym krokiem i, balansując zgrabnie, pochyliła się nad nim z tacą.

Kawę czy herbatę? Pan Gomez wołał kawę, jeśli nie robiło to różnicy. Najmniejszej. Z dużej tacy zdjęła małą tackę. Bułeczki, dżem, masło? Czy coś jeszcze? Nie, pan Gomez sądził, że to wystarczy. Trzymając tackę w obu rękach, uniósł głowę i podziękował z uśmiechem. Miał oliwkową, ciemną cerę i czarne, gładko zaczesane do tyłu włosy, lekko siwiejące na skroniach. Stewardessa była wysoką, szczupłą blondynką o jasnoniebieskich oczach i różowej cerze. Pan Gomez odczuwał naturalną skłonność do wysokich, szczupłych, jasnych

dziewcząt. Może dlatego poprosił jeszcze o kieliszek koniaku.

— Koniak rozjaśnia myśli, prawda?

— Zapewne, proszę pana. Za chwileczkę przyniosę.

Uśmiechnęła się i odeszła do następnego rzędu foteli, gdzie budzili się już inni pasażerowie.

Pan Gomez wypił kawę, zjadł dwie bułeczki posmarowane cienko masłem i grubo dżemem, wypił na koniec kieliszek 'koniaku i przymknął oczy. Nie uśmiechał się już. Myślał o bardzo ważnej i pilnej sprawie, która kazała mu pospieszyć i przelecieć Atlantyk, aby znaleźć się w możliwie najkrótszym czasie w Stuttgarcie.

Najprawdopodobniej wypił jednak o jedną filiżankę kawy za mało, bo usnął po raz drugi, a kiedy obudził się, samolot podchodził do lądowania w Paryżu. Pan Gomez siedział przez chwilę z przymkniętymi oczyma, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje. Później przypomniał sobie i westchnął. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi na swoją depeszę. Nie oczekiwał zresztą odpowiedzi. Jeśli pana Grubera nie było w Stuttgarcie, był zdecydowany lecieć za nim choćby na koniec świata.

Olbrzymi Boeing przyholował powoli do oszklonego, płaskiego budynku dworca lotniczego. Pan Gomez wysiadł powiedziawszy kilka miłych słów stewardessie, która stała wyprostowana przy schodkach, żegnając niedawnych podróżnych promiennymi oczyma i miłutkimi skinieniami krótko ostrzyżonej jasnej głowy. Podał paszport uprzejmemu urzędnikowi. Urzędnik poinformował go, że Caravelle do Stuttgartu stoi już na pasie startowym i odleci za piętnaście minut. Nie, pan Gomez nie musi załatwiać żadnych dodatkowych formalności, znajduje się przecież we Francji tranzytem. Tak, o — ten samolot z błękitnym pasem.

Pan Gomez nie czuł się już senny. Na szczęście w Europie było ciepło. Nad Paryżem stał bezchmurny, piękny poranek, a w drodze do Stuttgartu także nie spotkali ani jednej chmurki, jeśli nie liczyć małych, białych obłoczków, spacerujących bardzo wysoko. Pan Gomez wypił w samolocie jeszcze dwie kawy i oto był już nad Stuttgartem.

Po załatwieniu formalności paszportowych wyszedł przed dworzec i niecierpliwym ruchem ręki przywołał taksówkę. Wyjął notes i odczytał adres głośno, sylabizując tam, gdzie nie był pewien swej niemieckiej wymowy. Kierowca przytaknął ruchem głowy.

— Prędko! — powiedział pan Gomez. — Tak prędko, jak pozwalają przepisy! Zapłacę panu dwa razy tyle.

— Postaram się, proszę pana.

Taksówka pomknęła prostą, asfaltową aleją w kierunku miasta. Po dziesięciu minutach znaleźli się na szerokiej przedmiejskiej ulicy wysadzonej starymi wiązami, spoza których wyblyskiwały białe ściany pałacyków ukrytych w głębokich ogrodach. Kierowca zwolnił nieco.

— To będzie tu, proszę pana — zahamował gwałtownie i zjechał do krawężnika. — Tak, tu.

Pan Gomez szybko sięgnął do kieszeni, wyciągnął kilka banknotów, zawahał się na ułamek sekundy, zerknął na licznik i podał kierowcy pięciodolarówkę.

— Dziękuję panu bardzo! — Zanim pan Gomez zdążył pchnąć drzwiczki, kierowca stał już przed nimi i otwierał je z ukłonem. — Czy zaczekać na pana?

— Nie, nie! — Pan Gomez chwycił swój neseser i wyskoczył z auta, ale natychmiast opanował się. Teraz pośpiech nie był już konieczny. Jeśli pan Gruber był w domu, nie uleci przecież powietrzem. — Nie trzeba... — dodał spokojniej i skinął kierowcy ręką w szarej rękawiczce.

Ruszył ku furcie o złożonych grotach żelaznych sztachet. Chciał nacisnąć dzwonek, ale cofnął rękę i opuścił ją na misternie kutą klamkę. Furtka ustąpiła. Pan Gomez uniósł brwi, jak gdyby ten prosty fakt nie wydał mu się aż tak prosty. Wszedł i zamknąwszy furtkę ruszył prostą, wysypaną żwirem ścieżką ku domowi, który był bardzo nowoczesny, śliczny, olśniewająco biały i stał pośród zupełnie oszłamiających krzewów, pokrytych kwiatami, jakich istnienia pan Gomez nawet nie podejrzewał w chłodnym bądź co bądź klimacie środkowej Europy, u schyłku lata.

Zbliżył się ku domowi, ale zanim znalazł się przed drzwiami

wejściowymi, otworzyły się one cicho. Na progu stała młoda pokojówka, wyprostowana, w czerni i w bieli, nienaganna, jasnowłosa i szczupła. Pan Gomez mimowolnie uśmiechnął się. Była bardzo podobna do stewardessy, którą pożegnał przed dwiema godzinami.

— Czy zastałem pana Grubera?

— Zaraz sprawdzę, proszę pana. Czy wolno zapytać, kogo mam zaanonsować?

Pan Gomez położył wizytówkę na maleńkiej tacy, którą uniosła ku niemu. Pokojówka cofnęła się, skłoniwszy głowę. Wszedł do domu. Zamknęła za nim drzwi i znalazł się w chłodnym, przyjemnym półmroku.

— Może pan będzie łaskaw spocząć na chwilę? — wskazała nieznacznym ruchem ręki stojące w hallu wysokie, proste krzesła i odeszła. Zniknęła za oszklonymi drzwiami, spoza których nie doszedł go żaden dźwięk.

Pan Gomez nie usiadł. Trzymając nadal w ręce swój nesesor i kołysząc nim łagodnie podszedł do kominka. Oczy, przywykłe już do przyćmionego światła, spoczęły na flamandzkiej martwej naturze w prostych, złotych ramach: puchar i butelka o dziwnym, prawie groteskowym kształcie, stojące na złocistym talerzu; za nimi draperia i narożnik okna, z którego spływał bogaty, barokowy blask, rozjaśniając puchar i zapalając iskry w głębi butelki.

Pan Gomez z uznaniem skinął głową. Chociaż interesowały go dzieła sztuki powstałe na przestrzeni całej historii ludzkości, miał jednak swoje małe upodobania, z których nie zwierzał się nikomu. Był przekonany, że ludzie przed trzystu laty malowali lepiej niż kiedykolwiek przedtem i później. Cmoknął głośno z wyraźną satysfakcją. Arcydzieło. Ten obraz był jeszcze jednym dowodem na poparcie jego poglądów. Był naprawdę znakomity. Ale kto go namalował? To było zdumiewające, że pan Gomez nie widział nigdy nawet jego reprodukcji. Oczywiście pan Gruber mógł...

Ale nie dokończył nigdy tej myśli

— Witam pana! Dawno już nie widzieliśmy się, prawda?

Odwrócił się czując wielką, zupełną ulgę. A więc pan Gruber

był w Stuttgarcie. Nie wyjechał. Było to niemal tak, jak gdyby dokonał już połowy zamierzonego zadania.

— Dzień dobry, Herr Gruber! Bardzo się cieszę! Naprawdę bardzo się cieszę, że pana widzę!

Podali sobie ręce. Gospodarz był człowiekiem wysokim, nieco otyłym; najprawdopodobniej zbliżał się do sześćdziesiątki, jeśli już jej nie przekroczył. Ale na pierwszy rzut oka trudno było określić jego wiek. Poruszał się jak młody człowiek, lecz zmarszczki wokół oczu i skóra na dłoniach...

— Otrzymałem wczoraj pańską depezę — powiedział — i niewiele mogłem z niej wywnioskować. Może to tylko, że zależy panu na rychłym spotkaniu ze mną. Wiem, że nie należy pan do ludzi, którzy zajmują czas bliźnich drobiazgami. Ale nie mówmy o tym teraz. Na pewno jest pan głodny? Chce pan chyba zjeść śniadanie i wykapać się? Zaraz wydam dyspozycje.

— Mam zarezerwowane miejsce w hotelu — powiedział szybko pan Gomez. — Nie chciałbym panu zajmować zbyt wiele czasu moją osobą. Zresztą, szczerze mówiąc, sam mam go niezbyt wiele. Interesy... — uśmiechnął się przepaszająco. — Ułożyłem sobie wszystko tak, żeby znaleźć się na powrót w Rio po czterdziestu ośmiu godzinach od chwili opuszczenia miasta. Rozumie mnie pan chyba?

Gospodarz rozłożył ręce.

— Oczywiście, oczywiście! W takim razie jestem do pańskiej dyspozycji. Proszę bardzo...

Otworzył małe drzwi wykładane ciemną, dębową boazerią i przepuścił gościa przed sobą. Pokój, w którym się znaleźli, był olbrzymi, jasny i wypełniony zapachem kwiatów. Przez podwójne, otwarte drzwi tarasu wpadało poranne słońce i ciepłe, rozedrgane powietrze.

— To mój gabinet, jeżeli mam prawo do tego rodzaju określeń. Spędzam bardzo niewiele czasu przy biurku. Niech pan siada — wskazał gościowi jeden z dwu przepastnych foteli klubowych, stojących naprzeciw siebie po obu stronach niskiego stolika. — Czego się pan napije?

Pan Gomez usiadł i postawił neseserek obok stolika.

— Jeśli nie zrobi to panu różnicy, może po prostu koniak?

Koniak w niewielkich ilościach rozjaśnia myśli...

Uśmiechnął się nieznacznie. Mignęła mu jasna buzia stewardessy z Boeinga. Ale natychmiast spowaźniał. Rozmowa, która go czekała, wymagała największego skupienia przy pozorach swobodnej wymiany myśli. Najdrobniejsza niewłaściwa nutka w głosie mogła kosztować tysiące dolarów.

Pan Gruber otworzył drzwiczki niewielkiej szafki ściennej i wyjął jedną spośród zalegających ją licznie butelek. Gomez milczał, czekając, póki gospodarz nie postawił na stoliku dwu kieliszków i nie wlał do nich po odrobinie złocistego płynu. Pan Gruber ostrożnie postawił butelkę i usiadł.

— Dekoracje gotowe — powiedział uśmiechając się dobrodusznie — aktorzy również. Możemy podnieść kurtynę. Słucham pana.

Pan Gomez uniósł kieliszek, dotknął wargami jego krawędzi i odstawił go.

— Naprawdę obawiałem się, że nie zastanę pana w Niemczech. Sprawa, która mnie tu dzisiaj przywiodła, jest dość... hm... niecodzienna i przyznaję szczerze, że zależy mi na szybkim załatwieniu jej. Chodzi o pośpiech, rozumie pan?

— Ba! Pośpiech! — Pan Gruber rozłożył ręce. Prawie wszyscy moi klienci mają dość niecodziennie problemy do rozwiązania i prawie każdemu z nich zależy na pośpiechu...

— I na dyskrecji... — dodał pan Gomez.

— O tym nawet nie wspominam, bo na dyskrecji zawsze zależy obu stronom. Dyskrecja, jeżeli wolno mi zauważyć, jest podstawowym założeniem mojego zawodu. Wolę mówić o pośpiechu, skoro użył pan już tego słowa. Moi klienci zawsze się spieszą i w związku z tym ja także muszę żyć w nieustannym pośpiechu, żeby wywiązać się z przyjętych zamówień. Jutro, na przykład, mam odlecieć do Londynu dla załatwienia pewnej bardzo delikatnej sprawy. Jest to bardzo obiecująca transakcja i leży ona w sferze moich zainteresowań i możliwości mojego zespołu.

— Jutro? — pan Gomez zmarszczył brwi. — Chce pan naprawdę odlecieć jutro do Londynu?

— Czy chcę! W moim wieku podróże nie należą już do

przyjemności. Nawet najwygodniejsze podróże. Oczywiście, że odlecę, o ile nie nadarzy się jakaś większa transakcja, która każe mi pozostać.

Zawiesił głos i sięgnął po kieliszek.

— Otóż to — pan Gomez odetchnął. — Jakaś większa transakcja...

Wstał i zbliżył się do otwartych drzwi tarasu.

— Słucham pana... — Pan Gruber dotknął warg końcem języka. Najwyraźniej lubił koniak.

Gomez wyciągnął rękę.

— Co za wspaniała roślinność! Jaki zestaw barw! Ma pan doskonałego ogrodnika. Prawdziwy malarz natury! — Odwrócił się i spojrzał na gospodarza. — Sądzę, że nie pojedzie pan jutro do Londynu, Herr Gruber.

— Być może... — W głosie mówiącego był uprzejmy brak zainteresowania.

Gomez zawrócił i usiadł. Pochylił się nad stolikiem.

— Miałem już z panem do czynienia dwukrotnie i muszę przyznać, że wywiązywał się pan zawsze z przyjętych na siebie zobowiązań ze skrupulatnością i rzetelnością, które są dobrze znanymi zaletami pańskiego narodu...

— Szkoda, że nie słuchają pana w tej chwili przedstawiciele Interpolu — pan Gruber uśmiechnął się. — Mam wrażenie, że policja międzynarodowa wiele by dała za możliwość usłyszenia miarodajnej i wyczerpującej opinii o mnie z ust któregośkolwiek z moich klientów.

— Jak to? Interesują się panem? — Pan Gomez wydawał się zaskoczony.

— Oczywiście, że interesują się mną! Czy chciałby pan, żeby policja była zupełnie tępa? Któż strzegłby wówczas naszych domostw i naszego życia? Jestem wielkim zwolennikiem dobrej policji, senor Gomez.

— Hm... — mruknął pan Gomez.

— Oczywiście... — dokończył gospodarz — lubię dobrą policję, ale nie za dobrą. Interesują się mną od lat i będą prawdopodobnie interesowali się moją skromną osobą aż do dnia mojej śmierci. Ale obawiam się, że nie będę w stanie

dostarczyć im żadnych miłych przeżyć. Po prostu nie mają i nie będą mieli nigdy żadnych podstaw do wszczęcia przeciw mnie śledztwa.

— Dlaczego jest pan tego taki pewien?

— Ponieważ nigdy w życiu nie popełniłem żadnego przestępstwa. Jestem dostatecznie inteligentny i bogaty, aby zawsze mieć pod ręką doskonale przeszkolonych ochotników, którzy mnie w tym wyręczają.

— Hm... — powtórzył pan Gomez. — Rozumiem. Przejdźmy do celu mojej wizyty. Sprawa, którą chcę panu powierzyć, jest bardzo skomplikowana i trudna.

— Nie ma trudnych spraw. Są tylko skąpi klienci. Małe nakłady finansowe — utrudniają pracę, duże — ułatwiają, bardzo duże — mogą zdziałać cuda. Słucham pana?

Nie odpowiadając, pan Gomez sięgnął do swego neseserka, otworzył go, wsunął dłoń pomiędzy dwie białe, równiuteńko ułożone koszule i wyciągnął spomiędzy nich wielką kopertę. Bez słowa podał ją gospodarzowi.

Pan Gruber ostrożnie zajrzał do jej wnętrza. Później wyjął z koperty trzy duże fotografie. Przyjrzał się im kolejno i położył je na stoliku. Były to zdjęcia obrazów. Obrazy były podobne, pochodziły najprawdopodobniej spod pędzla tego samego mistrza i przedstawiały trzy ozdobione barokowymi koronami głowy ludzkie.

— Czy nic panu nie mówią te fotografie? — zapytał pan Gomez po chwili milczenia.

Dopiero teraz pan Gruber sięgnął po okulary, włożył je i pochylił się nad stolikiem.

— To chyba Ribera, prawda?

— Tak. Czy wie pan o nich coś jeszcze?

Gospodarz wyprostował się i potrząsnął przecząco głową.

— Niewiele, poza tym, że wyglądają jak trzy powiększone fragmenty jakiegoś jednego, większego obrazu. Nie jestem pewien, ale chyba nie figurują w spisie żadnego z większych muzeów. W każdym razie wiem z całą pewnością, że nigdy ich nie widziałem. Zapamiętałbym je, jeżeli nie wszystkie, to na pewno choćby jeden.

— To nie są fragmenty jednego obrazu. — Pan Gomez wziął do ręki fotografie, a później ułożył je półkole na stoliku. — Są to trzy odrębne obrazy, ale namalowane dla jednego człowieka i przeznaczone do ozdobienia jednego miejsca. Ribera pracował wówczas dla wicekróla Neapolu. Obrazy miały zawisnąć w kaplicy domowej panującego. Zamówienie dotyczyło wykonania Pokłonu Trzech Króli. Nie wiem oczywiście, czy pomysł wyszedł od wicekróla, czy też sam Ribera doszedł do wniosku, że może dokonać bardzo oryginalnego eksperymentu formalnego, nie naruszając ani religijnej treści zamówienia, ani zasad kompozycji dzieła. Najprawdopodobniej obrazy zawisły obok siebie na jednej ścianie. Ja k pan zauważył, na każdym z nich wyobrażony jest tylko jeden król, ale wszyscy trzej spoglądają w górę, ku niewidocznemu dla widza Dzieciątku. Wisząc obok siebie w kaplicy, obrazy tworzyły panoramiczną całość, a Nowonarodzony Chrystus stanowił wartość mistyczną, widomą tylko oczom rozmodlonej duszy. Tak przynajmniej, jak sądzę, można interpretować z dużym prawdopodobieństwem koncepcję dzieła. Wszystkie trzy obrazy mają zresztą cały szereg symboli, umieszczonych prawdopodobnie z rozkazu wicekróla, o którym wiemy, że był osobą bardzo nabożną. Niech pan przyjrzy się dokładnie gronostajowym kołnierzom szat królewskich; pocętkowane są: tu — liniami, u tego króla dzwoneczkami, a u trzeciego — maleńkimi barankami. Na pierwszy rzut oka są to tylko gronostaje... Niemal jak gotyckie miniatury, prawda? Nie posądziłby pan Ribery o coś podobnego! Przyznaję, że mnie samego to zaskoczyło. Dwa z nich widziałem. Są miękkie, o spokojnych, przełamanych barwach, nie z owych brutalnych kontrastów Ribery, tych sławnych brył blasku w ciemności. Cudowne, mądre, dojrzałe malarstwo, bardziej włoskie niż hiszpańskie. Velasquez, który był wówczas w Neapolu, ukląkł podobno w kaplicy na widok tych Trzech Króli i powiedział: „Po raz pierwszy w życiu żałuję, że nie jestem monarchą. Za taki portret dałbym się nawet ukoronować!” No, ale to wszystko działo się trzysta lat temu...

Urwał.

— Tak — pan Gruber pokiwał głową. — Trzysta lat to kawał czasu. Co się z nimi dzieje obecnie? — Długim, wypiętym palcem dotknął jednej z fotografii.

— Wszystkie przetrwały. Dwa z nich... — pan Gomez szybko wysunął ciemną dłoń, zebrał oba skrajne zdjęcia i wsunął je do kieszeni — znalazły się w posiadaniu pewnego bardzo bogatego kolekcjonera w Ameryce Południowej.

Pan Gruber uśmiechnął się.

— Rozumiem — powiedział. — Człowiek ten posiadając dwa takie obrazy, musi być chyba prawie opętany pragnieniem posiadania trzeciego. Najwidoczniej sprawa uzyskania tego trzeciego obrazu natrafia na nieprzewyciężone trudności i to jest powód, dla którego spotkał mnie zaszczyt dzisiejszej rozmowy z panem, czy tak?

Pan Gomez mrugnął porozumiewawczo i uśmiechnął się lekka. Człowiek ten bardzo pragnąłby posiadać również i trzeci obraz. Zaprosił mnie. W czasie rozmowy dał mi do zrozumienia, że jest gotów ponieść wielkie wydatki, żeby tylko zaspokoić swoją tęsknotę.

Pan Gruber rozłożył ręce.

— Bardzo chwalebna pasja: kolekcjonowanie dzieł sztuki.

I on zamilkł. Czekał. Ale pan Gomez czekał także. Gospodarz chrząknął.

— A co stoi na przeszkodzie zaspokojeniu tęsknoty pańskiego klienta? Powiedział pan przecież, że ten trzeci obraz istnieje, prawda? Jeżeli nie ma go w swoim posiadaniu żadne wielkie muzeum, można go przecież kupić? W końcu wszystko ma swoją cenę, a powiedział pan, że pański klient jest bardzo bogatym człowiekiem. Czy nie wie, gdzie się obraz znajduje?

— Wie.

— I zwrócił się do pana, aby mu pan dopomógł w kupnie?

— Tak.

— Nie bardzo w takim razie rozumiem, gdzie się mieści tutaj moja skromna osoba? Kupować potrafi pan przecież nie gorzej niż ja. Nazwisko pana znane jest na każdej poważniejszej aukcji i każdemu poważniejszemu handlarzowi obrazów. Pański podpis wart jest milion dolarów, jeśli nie więcej.

— Ba! — gość westchnął. — Z całą skromnością muszę przyznać, że przeprowadziłem z powodzeniem kilka poważnych, a nawet bardzo poważnych transakcji. Ale niestety..

Wyciągnął rękę i wziął trzecią fotografię, z której spojrzała nań rozmodlona twarz murzyńskiego króla. Oblicze czarnego monarchy rozjaśnione był tajemną światłością spływającą z górnego narożnika obrazu.

— Niestety, ten obraz jest nie do kupienia. Dlatego muszę kupić go od pana.

Położył fotografię na stoliku, zwrócił oczy ku Gruberowi i uśmiechnął się.

— Rozumiem. — Pan Gruber wziął fotografię i po raz pierwszy przyjrzał się jej z zainteresowaniem. — Ile chce pan zapłacić za ten obraz?

— Czy nie pragnie pan wiedzieć, gdzie on się znajduje i jakie trudności związane będą ze zdobyciem go?

— Najpierw pragnąłbym się dowiedzieć, jaka suma wchodzi w grę — powtórzył spokojnie gospodarz.

— Jeżeli mam być szczery, klient mój chce zapłacić za ten obraz dwieście tysięcy dolarów.— Panu czy mnie?— Mnie.— To znaczy, że proponuje mi pan...?— Połowę.— Sto tysięcy?— Sto tysięcy.— To bardzo wiele pieniędzy, jeżeli sprawa będzie stosunkowo prosta.— Prosta? To zależy od pańskich możliwości. Dla mnie nie byłaby prosta. Zresztą niewiem, co pan nazywa trudną sprawą?

— No, powiedzmy, gdyby obraz znajdował się na przykład w Polsce albo w którymś innym komunistycznym kraju. To bardzo komplikuje sytuację. Penetracja będzie utrudniona dzięki istnieniu wielu czynników, na które nie mamy najmniejszego wpływu.

— Więc pan jednak wiedział! — powiedział pan Gomez. — Skąd pan wiedział?— To bardzo piękny obraz... — pan Gruber uśmiechnął się. — Nie widziałem go nigdy na własne oczy, ale Polacy wydają przecież książki o swoich dziełach sztuki Mój księgarz przysłał mi niemal wszystko, co wychodzi na świecie w tej dziedzinie: katalogi muzealne, katalogi zabytków,

przewodniki i tak dalej. Ma pan słuszość: od Polaków nie da się tego odkupić. W krajach komunistycznych nie istnieje handel obrazami będącymi własnością państwa.

— Czy podejmie się pan zdobycia go? — W głosie pana Gomeza był lekki niepokój, chociaż twarz miał nadal spokojną.

— Gdybym się podjął, oznaczałoby to, że jutro zamiast do Londynu musiałbym odlecieć do Wiednia.

— Do Wiednia?— Tak. Moja wschodnia ekspozytura znajduje się w Wiedniu. We Wschodniej Europie, a szczególnie w Polsce, Austriacy to jednak zupełnie kto inny niż Niemcy. Nie wzbudzają odruchowej niechęci. Powinienem od razu zamówić samolot...

Ujął słuchawkę, ale zastygł z palcem wetkniętym w jedną z dziurek na tarczy aparatu:

— Powiedział pan sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Czy dobrze pana zrozumiałem?— Powiedziałem: sto tysięcy. Przecież nie wie pan jeszcze nawet, czy to przedsięwzięciem jakiegokolwiek szanse powodzenia i...

— Szczegóły nie interesują mnie w tej chwili. Interesują mnie pieniądze. Muszę zainstalować pod rozmaitymi pretekstami zespół inteligentnych ludzi w Polsce, muszę znaleźć na miejscu sprzymierzeńców, muszę wywieźć stamtąd obraz za granicę i dostarczyć do pańskich rąk. Wszystko to będzie bardzo kosztowne, skomplikowane i niebezpieczne.

— A co mi pan gwarantuje, gdyby otrzymał pan ode mnie sto dwadzieścia tysięcy dolarów?

— Nie gwarantuję niczego. Wyplaci mi pan dziś dwadzieścia tysięcy zaliczki, która przypadnie na moją korzyść, gdyby z jakichkolwiek powodów odstąpił pan od swojego zamówienia.

To wszystko. Prywatnie mogę panu natomiast zaręczyć, że za...

— zawahał się na mgnienie oka — sto trzydzieści tysięcy otrzyma pan swój obraz.

Umilkł, jak gdyby oczekując odpowiedzi. Pan Gomez milczał przez chwilę. Wreszcie sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął stamtąd książeczkę czekową. Położył ją na stoliku.

— Przyjmuję pańskie warunki, Herr Gruber.

Uścisnęli sobie ręce. Pan Gruber nakręcił numer. Czekał przez krótką chwilę.

– Chciałbym zamówić miejsce w najbliższym samolocie do Wiednia... O której?... O czwartej po południu? Dobrze. Nazwisko: Gruber... G jak Grela, R jak Rosamunde...

2

„Na pewno nie zauważył, szefie...”

Wszyscy poważni przestępcy o międzynarodowej renomie oraz niewielka ilość innych osób wiedzą, że główna siedziba Międzynarodowej Organizacji Policji Kryminalnej, zwanej w skrócie Interpolem, znajduje się w Paryżu przy jednej z eleganckich ulic w pobliżu Etoile.

Pan Marcel Didot, zastępca sekretarza generalnego tej instytucji, posiadał tak zwaną pamięć absolutną. Lecz fakt ten znany był tylko nielicznym jego współpracownikom, gdyż Didot nie szukał nigdy rozgłosu, był człowiekiem cichym, zrównoważonym i na pierwszy rzut oka sprawiał raczej wrażenie drobnego prowincjonalnego kupca, któremu powiodło się w interesach na tyle, że wkrótce będzie mógł wycofać się z handlu, osiąść na wsi i zająć hodowlą róz albo kur mogących konkurować na prowincjonalnych pokazach z najpiękniejszymi okazami całego departamentu. Miał wesołe oczy, matowy głos i opanowane ruchy.

Bardzo niewielka ilość osób wie natomiast, że w odległości mniej więcej trzydziestu kilometrów od Paryża, pośród wielkiego lasu porastającego teren między Sekwaną a Marną, stoi mały domek, obok którego wznoszą się w górę trzy maszty antenowe. Po drutach tych anten przebiegają setki wiadomości nadawanych szyfrem, a dotyczą one jedynie spraw i osób znajdujących się w orbicie kodeksu karnego. Radiostacja ta jest ogromnym uchem i ustami Interpolu, zbierającym informacje z całego świata i przesyłającym informacje na cały świat.

Pan Didot siedział w tej chwili za biurkiem w swoim

skromnie urządzonym gabinecie, którego jedyną ozdobą było brązowe popiersie Alberta księcia Monaco — twórcy Interpolu. Rzeźba była realistyczna, posiadała nawet binokle z brązu, z którymi książę nie rozstawał się za życia i spoglądała teraz spoza nich na siedzącego naprzeciw pana Didota niskiego, młodego człowieka o jasnych włosach i różowych policzkach niemowlęcia. Lecz młody człowiek nie był bynajmniej niemowlęciem: nazywał się Galeron i był oficerem policji francuskiej odkomenderowanym do Interpolu. Specjalnością jego była sztuka malarska i choć nigdy nie trzymał pędzla w ręce, jednak wiedział bardzo wiele o metodach fałszowania obrazów. Oczywiście interesowały go także kradzieże dzieł sztuki.

— Był pan zajęty tym holenderskim gangiem, szefie, więc musiałem działać na własną rękę. Sądziłem, że nie należy panu przeszkadzać... — powiedział jak gdyby usprawiedliwiając się.

— Gruber... — pan Didot potarł ręką czoło. — Nazwisko jest mi znajome. Niemiec, prawda? Kolekcjoner dzieł sztuki? Tak, pamiętam. Był zamieszany kilka razy w kradzieże. Związany zdaje się z „Syndykatem”? To znaczy przypuszczamy, że tak jest, bo nie mamy żadnych dowodów. No i co? — uśmiechnął się pogodnie do młodego człowieka. — Czego chcą Niemcy?

— Policja niemiecka bardzo interesuje się panem Gruberem. Od lat trzymają rękę na jego pulsie, jeżeli wolno mi się tak wyrazić...

— Jak widać, nie są w stanie stwierdzić żadnych objawów choroby — pan Didot uśmiechnął się. — Proszę, niech pan mówi dalej, Galeron.

— Wczoraj przyleciał do Stuttgartu, gdzie mieszka pan Gruber, pewien znany handlarz obrazów z Południowej Ameryki...

— Nazwisko?

— Gomez. Enrique Gomez.

— Nie znam. Proszę dalej.

— Wprost z lotniska udał się do pana Grubera. Potem odleciał z powrotem do Południowej Ameryki, to znaczy po dwugodzinnym pobycie u pana Grubera. Gruber z kolei

odleciał po południu do Wiednia.

— Ależ latają ci ludzie! Osobiście nie znoszę samolotów, Galeron. Ale niech to zostanie między nami. Co dalej?

— Niemcy zadesperzowali do nas natychmiast po odlocie pana Gomeza. Miał przesiadkę w Paryżu i doszli do wniosku, że o wiele rozsądniej będzie wypuścić go z honorami z Niemiec, jak gdyby w ogóle jego przyjazd nikogo tam nie zainteresował. Otrzymałem depeszę i natychmiast pojechałem na lotnisko. Asystowałem przy, uprzejmej zresztą bardzo, rewizji małej walizeczki pana Gomeza. Była ona wypełniona zwykłymi w takiej sytuacji drobiazgami. Poza tym znajdowała się w niej duża koperta. Zajrzałem do wewnątrz. Były w niej trzy fotografie obrazów. Oczywiście wsunąłem je natychmiast na powrót, bo jakież znaczenie mogą mieć dla kontroli celnej fotografie? Pan Gomez w parę minut później odleciał.

— Sfotografował pan oczywiście te zdjęcia?

— Oczywiście, szefie. Miałem aparat w zegarku. Nie sądzę, aby pan Gomez mógł się zorientować. Mikrokamery uważane są przez zwykłych ludzi za wymysł autorów powieści sensacyjnych.

— Wywołał pan te fotografie?

— Tak, szefie. I pozwoliłem sobie od razu zaprosić na konsultację profesora Delgrange.

— Dobrze... — Didot skinął głową. — Widzę, że profesor powiedział coś ciekawego? Czy tak?

— Nie wiem, szefie. — Młody człowiek westchnął. — To może okazać się bardzo ciekawe. Otóż są to zdjęcia trzech obrazów Ribery. Dwa z nich zakupił w ciągu ostatnich lat pewien multimilioner południowoamerykański. Trzeci znajduje się w Polsce i jest własnością państwowego muzeum.

— To jeszcze nie mówi nic, poza tym, że pan Gomez mieszka w Ameryce Południowej, a ów milioner także. Ale Ameryka Południowa to cały kontynent.

— Tak, szefie. Ale to nie wszystko. Te trzy obrazy stanowią swego rodzaju artystyczną całość... to znaczy profesor Delgrange twierdzi, że człowiek, który posiada dwa z nich, może bardzo pragnąć trzeciego.

— Znam wielu ludzi, którzy nie posiadając żadnego obrazu Ribery, chcieliby posiadać choć jeden. Ile jest wart ten trzeci obraz?

— Profesor twierdzi, że każdy z Trzech Króli, gdyż ich właśnie przedstawiają te płótna, wart jest co najmniej trzysta tysięcy dolarów.

— Bagatela!... Hm.. A pan Gruber odleciał do Wiednia. Czy jego także rewidowano?

— Pana Grubera rewidowano już wielokrotnie. — Młody człowiek znowu westchnął. — I nigdy nie znaleziono przy nim niczego, co mogłoby rzucić najłżejszy nawet cień na jego nieposzlakowaną opinię.

— Wyraża się pan dziś bardzo kwieciście, Galeron.

— Być może, szefie. Ale nie jest mi wesoło. Mam już wiadomości z Wiednia. Pan Gruber był, oczywiście, oczekiwany na lotnisku. Miano go otoczyć najdyskretniejszą opieką...

— Hm... — pan Didot wzruszył ramionami. — Człowiek, który zdaje sobie sprawę z tego, że będzie śledzony, potrafi zawsze otoczyć siebie bardziej dyskretną opieką. Wymknął się im, tak?

— Tak. Zniknął. Wsiadł do taksówki, za którą w dyskretniej odległości ruszył zakamuflowany radiowóz i przekazał ją innemu samochodowi, a ten znowu innemu, tak żeby pasażer nie mógł się zorientować, że ktoś za nim nieustannie jedzie...

— Uważają to prawdopodobnie za szczyt nowoczesności i sprawności w trakcie przeprowadzania obserwacji na żywym obiekcie? — Didot uśmiechnął się. — Powinni byli przykleić sobie czarne brody. Trzech czarnobrodych kierowców ścigających złodzieja obrazów. Muszę panu powiedzieć, Galeron, że latami czekam na coś podobnego. Niestety nie zdarza się to pośród oceanu banału, jakim jest życie przestępców i policji. Ale co dalej?

— Taksówka nie zatrzymała się ani razu, szefie. Ani na jedną sekundę. Ale kiedy wreszcie stanęła na Ringu, okazało się, że nie ma w niej pana Grubera.

— A cóż oni chcieli? Żeby człowiek, który załatwia nielegalne transakcje idące w setki tysięcy dolarów, przedstawiał im księgi do wglądu i załatwiał swoje sprawy w urzędzie notarialnym?

— Sądzę, że tak, szefie. Austriacy wydają się zawsze zdumieni faktem, że ktoś łamie prawo.

— W przeciwieństwie do nas, chciał pan powiedzieć, którzy dziwny się, jeśli ktoś go nie łamie, mając okazję. Co dalej?

— Niewiele już. Jak powiedziałem, pana Grubera nie było w taksówce, natomiast okazało się, że siedzi w niej elegancka, młoda dama, szczupła i niewielkiego wzrostu, podczas gdy pan Gruber jest człowiekiem wysokim, otępłym i dobiega sześćdziesiątki, jeżeli jej już nie przekroczył.

— Prześliczna metamorfoza. Co dalej?

— Młoda dama odeszła spokojnie, gdyż śledzący ją ludzie nie mieli żadnych uprawnień ani instrukcji do legitymowania jej. Taksówkę przeszukano pod byle jakim pretekstem. Grubera, oczywiście, nie znaleziono, nawet w bagażniku... — Młody człowiek mimowolnie uśmiechnął się i spoważniał natychmiast.

— Przepadł bez wieści... — Pan Didot pokiwał ze zrozumieniem głową. — I teraz Niemcy razem z Austriakami martwią się, że pan Gruber odbywa w jakimś nieznanym policji miejscu naradę z tajemniczą szajką złodziei obrazów. Czy tak, Galeron?

— Chyba tak, szefie.

— A pan co myśli?

— A ja myślę dokładnie to samo. Myślę, że pan Gruber nie miałby żadnego powodu do znikania, gdyby mu nie zależało na uniknięciu obserwacji. Jego wyjazd do Wiednia nie był pomyślany wcześniej, bo dokonał rezerwacji miejsca w czasie pobytu pana Gomeza w jego willi. Niemcy sprawdzili już wszystko bardzo skrupulatnie.

— Krótko mówiąc przypuszcza pan, że pan Gomez przyleciał z Południowej Ameryki wioząc ze sobą zdjęcia trzech obrazów Ribery, z których dwa znajdują się już u jego mocodawcy. Trzeci obraz, będący własnością Polaków, był zapewne tematem rozmowy obu tych czcigodnych kolekcjonerów. Po tej rozmowie pan Gomez odleciał do domu, to znaczy do Południowej Ameryki, a pan Gruber do Wiednia. Krótko mówiąc przypuszcza pan, że interes został ubity, a teraz chodzi

tylko o to, jak ukraść Polakom obraz i dostarczyć go mocodawcy pana Gomeza. Tak?

— Oczywiście, szefie. To chyba jasne. Poza tym Wiedeń wydaje się naturalną bazą do wypadu na Polskę. Zresztą wiele nici wskazuje na stolicę Austrii jako na punkt przerzutu dzieł sztuki, ukradzionych nie tylko na wschodzie Europy, ale i we Włoszech. Ale nie to jest dla mnie takie ważne.

— Wiem... — pan Didot pokiwał głową. — Ważny jest ten niezwykle czysty i jasny ślad przed kradzieżą.

— Muszę powiedzieć, że mnie to aż niepokoi, szefie. Pan Gruber nigdy nie pozostawił po sobie nawet cienia czegoś, co można byłoby nazwać poszlaką. Zabawa polega na tym, że zarówno Interpol, jak i policja niemiecka wiedzą, że pan Gruber jest aferzystą na wielką skalę, a być może nawet głową tego ogromnego gangu, którego ofiarą padło tyle muzeów europejskich w ciągu ostatnich lat. Ale, jak pan widzi, szefie, nie przeszkadza mu to żyć spokojnie i cieszyć się jak najlepszym samopoczuciem. Oczywiście do aresztowania go, przeprowadzenia procesu sądowego, skazania herszta i rozbicia gangu potrzeba murowanych dowodów, których nie mogłaby podważyć armia adwokatów, jaką pan Gruber zmobilizuje natychmiast w chwili zagrożenia. To, co mamy, jest... jest zbyt proste, prawda?

— Hm... — Didot potrząsnął głową. — Nic jeszcze nie jest proste. Nawet gdybyśmy wiedzieli, że pan Gomez przyleciał do pana Grubera proponując mu wynagrodzenie za owego Trzeciego Króla i gdybyśmy mieli przekonanie, że pan Gruber zgodził się obraz dostarczyć i polecił w tym celu do Wiednia, żeby się porozumieć ze swymi współnikami czy też podwładnymi, to sam ten fakt nic nam jeszcze nie daje. Po pierwsze, jak wiemy już, pan Gruber przepadł w Wiedniu bez wieści już w parę minut po wylądowaniu i policja austriacka nie może w żadnym wypadku dowieść, że przybył do Austrii dla czegoś innego niż na przykład posłuchania melodyjnego walczyka w jednej z tych malutkich, uroczych restauracyjek nad Dunajem, które, powiem to panu w sekrecie, ja sam także bardzo, ale to bardzo lubię. Po drugie, nawet gdyby obraz ten

ukradziono w Polsce, żaden prokurator w Europie nie podejmie się wystosowania aktu oskarżenia przeciw panu Gruberowi, który, mogę się to założyć, będzie w dniu popełnienia przestępstwa albo na jachcie prującym fale Morza Śródziemnego, albo na przykład na obserwacji w którejś z najszacowniejszych klinik w swoim mieście. A jeżeli nawet uda się zastawić pułapkę ktoś, kto będzie chciał ukraść Trzeciego Króla, dostanie się w ręce polskiej policji, to mogę także panu zaręczyć, że w czacie śledztwa nie wymieni nazwiska pana Grubera. Już kilka razy członkowie tych gangów, czy tego gangu, wpadali w ręce sprawiedliwości. I chociaż jasne było, że nie mogli działać samotnie, żaden z nich nie wyjawiał współników. Wychodzili najwidoczniej z założenia, że lepiej posiedzieć w więzieniu i mieć po wyjściu zapewnioną opiekę swojej organizacji, niż mówić, nie siedzieć w więzieniu i zginąć na pierwszej przecznicy. Ci ludzie z zasady nie sypią, Galeron. Wiedzą, że rodziny ich nie zginą z głodu, kiedy oni odsiadują karę. Wiedzą także, że za milczenie czeka ich nagroda, a za gadulstwo kodeks ich przewiduje tylko jedną karę, od której nie potrafią się wykreścić. Gang dysponujący tak wielkimi powiązaniem i kapitałami, potrafi odnaleźć zdrajcę, choćby się schował w dżungli na równiku albo w chatce Eskimosa pół mili od Bieguna. Oni sobie z tego zdają sprawę i my sobie z tego musimy zdawać sprawę. Gdyby było inaczej, pan Gruber nie byłby prawdopodobnie w tej chwili w Wiedniu, ale odpoczywałby od wielu lat w jednym z więzień, na którymś z kontynentów naszej, nie tak znowu małej, planety, Galeron!

— Tak, szefie, ale...

Didot uciszył go ruchem dłoni.

— Chciałem dodać jeszcze jedno. Cała pańska hipoteza zbudowana jest na jednym jedynym fackie: na zawartości koperty, która znajdowała się w walizeczce pana Gomeza. Czy tak?

— Tak, szefie, ale...

Didot raz jeszcze nie dał mu dojść do słowa.

— A czy nie przyszło panu do głowy, że taki stary lis jak Gruber mógł przewidzieć rewizję walizki pana Gomeza? Mógł

przecież spokojnie dać mu trzy z góry przygotowane zdjęcia, a rozmowa pomiędzy nimi mogła dotyczyć obrazu znajdującego się w Tyrolu, w Mediolanie, czy nawet tu, pod naszym nosem, w Paryżu?

— Tak, szefie. Przyszło mi to do głowy... Pomyślałem o tym, że mogą nas właśnie w ten sposób chcieć skierować na fałszywy trop. Ale...

— Ale...?

— Ale mógł, po prostu, nie pomyśleć o tym. Taka szansa też przecież istnieje. Pan Gomez, o ile wiemy, nie jest człowiekiem znajdującym się w kolizji z prawem. Panu Gomezowi mogło nie przyjść do głowy, że policja międzynarodowa zareaguje natychmiast. W końcu sądząc z tego, że pan Gruber zamówił tak szybko samolot do Wiednia, mógł nie mieć pojęcia o tej całej sprawie, zanim pan Gomez nie przyjechał i nie przedstawił mu tych zdjęć oraz swoich propozycji. Wątpię, żeby tego rodzaju przedsięwzięcia przygotowywano korespondencyjnie. A poza tym, szefie, jeżeli to trop fałszywy to, to... — zawahał się.

— Chce pan powiedzieć, że nic nie tracimy, bo fałszywy trop to tyle, co żaden, a nie mieliśmy jeszcze wczoraj żadnego?

— Tak, właśnie tak pomyślałem, szefie. Musimy iść za tym tropem bez względu na to, czy jest prawdziwy, czy nie. Po prostu dlatego, że nie mamy innego, a ten istnieje.

Didot skinął głową.

— Czy wie pan już, co pan rozumie pod słowami: „iść za tym tropem”?

— Nie mam jeszcze szczegółowo rozpracowanego planu, ale myślę, że musimy przede wszystkim skoncentrować się na tym obrazie, bo pan Gruber także będzie na nim koncentrował swą uwagę. Jeśli chodzi o pana Grubera, chciałbym przestać o nim myśleć na pewien czas, nie przestając o nim myśleć, jeżeli wolno się tak wyrazić, szefie. Niech sobie żyje w swojej pięknej willi w Stuttgarcie, nie cierpiąc na bezsenność i brak apetytu, niech sobie kultywuje przekonanie, że żaden policjant w Europie nie może mu położyć ręki na ramieniu i wypowiedzieć ową sakramentalną formułkę, którą już dawno powinien

usłyszeć, niech sobie...

— Naprawdę, Galeron! Powinien pan zająć się tworzeniem owych dwufrankowych arcydzieł dla dorastających dziewcząt! Ma pan poczucie melodramatu i nie proponuje pan słuchaczowi zaangażowania szarych komórek. Wzruszył mnie pan do łez. Ale co dalej? Oczywiście trzeba zawiadomić Polaków o możliwości kradzieży obrazu. Nie widzę, niestety, powiązania pomiędzy tym faktem a zniszczeniem dobrego samopoczucia pana Grubera. Nie sądzi pan chyba, że ten szanowny obywatel poleci do Polski i da się schwytać funkcjonariuszom prawa w chwili, gdy będzie niósł pod pola marynarki Trzeciego Króla? Wydaje mi się, że zanim nawiążemy kontakt z Polakami, trzeba wykonać kilka działań.

— Nie, szefie. Mam pewien plan...

I Galeron zaczął mówić, a jego niewinne oblicze nie zmieniło przy tym swego niewinnego wyglądu. Może tylko policzki zarumieniły się nieco bardziej.

Kiedy skończył, pan Didot powiedział bez cienia drwiny:

— Bardzo rozsądne, bardzo. Ma pan moją zgodę na wszystko.

Galeron zarumienił się jeszcze bardziej, gdyż szef jego rzadko pozwalał sobie na słowa uznania dla podwładnych. Wstał.

Po dziesięciu minutach pierwsze słowa zaszyfrowanych komunikatów popłynęły z masztów radiostacji Interpolu.

3

„Nie spodziewali się tego, jak zwykle...”

Pan Gruber uśmiechnął się. Przez okno wpadał głęboki szum ulicy: szelest setek opon ślizgających się po mokrym asfalcie, tupot kroków i pomieszane, dalekie odgłosy miasta, przybiegające ponad ukrytymi już w mrokach wieczoru dachami tysięcy domów. Naprzeciw okna jaskrawo pulsował czerwony neon reklamujący urodę kobiet, które myją włosy szamponem E-L-I-D-A, E-L-I-D-A, E-L-I-D-A...

Pokój położony był niemal na mansardzie, ale mimo to

posiadał ogromne rozmiary. Światło niskiej, ocienionej jedwabnym abażurem, stojącej na stole lampy rzucało różowy cień na twarze trzech mężczyzn siedzących naprzeciw pana Grubera. Oni także uśmiechali się.

— Mnie też wprowadził pan w błąd i o mało nie ruszyłem za tą taksówką, żeby sprawdzić, czy nie jest pan śledzony! — powiedział najmłodszy z trzech panów, wysoki, mniej więcej trzydziestopięcioletni człowiek o dystyngowanym wyglądzie i pięknie wypielęgnowanych dłoniach, którymi oplótł kolano założywszy nogę na nogę i odsunawszy się wraz z krzesłem na pewną odległość od stołu. — To było zupełnie zdumiewające! — Roześmiał się, ale w śmiechu jego była nutka podziwu.

— Od lat powtarzam wam, moi drodzy, że policja to wielkie dzieci... — powiedział pan Gruber poważnie. — Wydaje mi się, że do policji wstępują przeważnie młodzieńcy, którzy w pewien sposób nie osiągną nigdy granicy dojrzałości. Nie mówię tu, oczywiście, o policjantach regulujących ruch, gdyż są to ludzie o mentalności listonoszy lub piekarzy, po prostu pragnący zarobić ciężką pracą na uczciwy kawałek chleba. Myślę o tych, którzy w każdym kraju tworzą policję śledczą. Są to chłopcy, którzy zbyt wiele czytali we wczesnej młodości o przygodach i walce dobrego przeciw złemu. Wydaje im się, że będą bohaterami walczącymi z legionem krwawych zbirów, którzy w ich mniemaniu tworzą to, co zwykliśmy nazywać światem przestępczym. Tymczasem okazuje się, że świat przestępczy jak każda klasa społeczna (a tak, proszę panów! Jesteśmy odrębną klasą społeczną, gdyż nie można nas przypisać do żadnej z istniejących klas!) także posiada swoich najlepszych przedstawicieli. Tymi najlepszymi, tym kwiatem rozkwitającym wspaniale na nieurodzajnej glebie kodeksu karnego, nie mogącej jednak doprowadzić do jego przedwczesnego uwiędnięcia, są intelektualiści, którzy wszystkie swe uzdolnienia oddali w służbę walki z szarzyzną życia, wypływającą z prostego faktu, że za pracę swą przeciętny obywatel świata otrzymuje o wiele za mało, aby móc zadowolić choćby skromne marzenia o dostatku i miłym przepędzeniu tej ograniczonej liczby lat, jaka jest nam dana od dnia narodzin do

starości. Okazuje się, że mentalność człowieka, który zostaje oficerem policji, stoi o wiele niżej od mentalności owej grupy, o której przed chwilą wspominałem. W związku z tym są oni bezradni wobec naszych poczynań, ile, oczywiście, nie popełnimy jakiejś prostej omyłki leżącej w zasięgu ich wyobraźni. Tylko taka omyłka może ludzi naszego pokroju oddać w ręce przemocy policyjnej, nazywanej popularnie sprawiedliwością. Jak powiedziałem, różnica pomiędzy nimi a nami jest taka, jak różnica pomiędzy dziećmi a dorosłymi. Dzieci od dorosłych różni przede wszystkim to, że dorośli dzięki doświadczeniu i wygimnastykowaniu umysłu łatwiej przystosowują się do niespodziewanych sytuacji umieją wyciągnąć z nich szybkie wnioski, podczas gdy dzieci gubią się natychmiast, jeśli zdarzy się coś niespodziewanego, z czym nie zetknęły się dotychczas i na co nie mają gotowej odpowiedzi w działaniu. Zastosowałem najprostszy trick w świecie, taki sam, jaki stosują wszyscy magicy estradowi: chcąc wykonać jakiś ruch, odwracają oni uwagę widzów w innym kierunku. Po prostu wsiadłem do taksówki, w której, jak to sobie już dawno przećwiczyliśmy, znajdowała się panna Welhauer wtulona w kąta siedzenia i niemal niewidoczna z zewnątrz. Wsiadłem, powiedziałem: „Ach, przepraszam panią...”, aby kierowca mógł potwierdzić, że nic mnie z panną Welhauer nie łączy, gdyby go kiedykolwiek indagowano. „Ach, przepraszam panią, nie wiedziałem, że wóz jest zajęty...” — i przesunąwszy się przed nią wysiadłem drzwiczkami po przeciwnej stronie auta. Byłem przekonany, że mnie śledzą, ale równocześnie byłem także przekonany, że będzie to nadzór dyskretny, a człowiek czy ludzie, którzy mnie obserwują, nie będą zbliżali się za blisko, aby mnie nie spłoszyć. Zależało im najwyraźniej na dowiedzeniu się, dokąd jadę... Pochylony, zrobiłem dwa kroki i znalazłem się w następnej w szeregu taksówce, do której wsiadłem także z przeciwnej strony...

— Widziałem to! — Młody człowiek, który zabierał poprzednio głos, roześmiał się teraz pogodnie. — To było tak proste, że wydało mi się nieprawdopodobne. Znalazł się pan w tym następnym wozie, nie kryjąc się nawet specjalnie!

— Oczywiście, że nie! Na tym właśnie polega nasza przewaga nad nimi: działamy w sposób najbardziej naturalny, podczas gdy oni sądzą, że będziemy dokonywali cudów waleczności, żeby ich zmylić! Ponieważ jedna taksówka była zajęta, wsiadłem do następnej, a ponieważ wysiadłem z lewej strony, więc było rzeczą zupełnie naturalną, że wsiadłem także z lewej. Gdyby mnie zauważono, pojechałbym prosto do hotelu, odprowadzony przez naszych czułych opiekunów. Sedno sprawy leży w jednym: policja nie może absolutnie zrozumieć tak prostego faktu jak ten, że mogę pojechać na spotkanie z wami dopiero wtedy, kiedy będę miał absolutną pewność, że nie jestem śledzony. Ale oni są jak dzieci. Po pierwsze oczekiwali, że to będzie mniej proste. Nie przyszło im do głowy, że mogę zniknąć tak od razu w tłoku i chaosie aut podjeżdżających do dworca lotniczego. Po drugie wyglądam poważnie, zbyt poważnie, żeby można było mnie podejrzewać o unik natury fizycznej. Wydawało im się, że taka błyskawiczna przesiadka z auta do auta nie jest stosowna dla ludzi w moim wieku. Teraz są bezradni. Przyjechałem tu przecież najzupełniej legalnie, a nie istnieje żadne prawo mówiące, że obywatel obcego państwa musi znaleźć się akurat w tej taksówce, w jakiej chcieliby go widzieć agenci austriackiej policji!

Niespodziewanie. wybuchnął głośnym śmiechem, młodzieńczym i pogodnym. Inni zawtórowali mu zgodnie i spoważnieli natychmiast, kiedy pan Gruber spoważniał.

Usiadł i machnął ręką.

— Mniejsza o policję. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Tak mnie rozśmieszyła ta zabawa przed lotniskiem, że straciłem zbyt wiele czasu. Muszę przecież przed nastaniem nocy zameldować się w jakimś porządnym hotelu, a rano wpadnę do jednej albo dwu sal wystawowych i zajrzę na aukcje obrazów. Oczywiście jutro nikogo z was już nie spotkam. Wszystko musi zostać rozplanowane i załatwione dzisiaj. Jutro nie wolno mi zrobić ani jednego nielegalnego kroku. Na szczęście archiwum nasze jest niezawodne i możemy być wdzięczni doktorowi von Heitz... — skinął głową ku siwemu,

niskiemu mężczyźnie siedzącemu przy krańcu stołu — ...za to, że stanowi ono niemal kompletny wykaz wnętrz, zawartości i personelu kierowniczego wszystkich gmachów muzealnych w Europie, nie mówiąc już o tysiącach not dotyczących dzieł sztuki, które znajdują się w rękach prywatnych. Kurt, niech pan łaskawie zasłoni okno i uruchomi aparaturę.

Dwaj ludzie zerwali się równocześnie z miejsc, jeden z nich zaciągnął grube, ciemne story i pokój zaległy nagle, nieprzeniknione ciemności. W tej samej chwili rozległo się ciche brzęczenie aparatu projekcyjnego. Na ścianie ukazał się równo wycięty prostokąt blasku, oświetlający niewielki ekranik.

— Proszę! — zabrzmiał w mroku głos pana Grubera. — Reprodukacja numer jeden!

Na ekranie pojawiło się powiększone, barwne zdjęcie Trzeciego Króla Ribery. Był to król murzyński, okryty wspaniałym płaszczem, ozdobionym maleńkimi, złotymi dzwoneczkami.

Przez chwilę było bardzo cicho. Potem pan Gruber zaczął mówić. Głos jego złagodniał i nabrał barwy. Mówiący odczuwał najwyraźniej przyjemność z zaimprovizowanego wykładu. Budował zdania z pewnością i spokojem, jak gdyby był profesorem historii sztuki, objaśniającym studentom tajemnice neapolitańskich tenebrystów.

— ...tak więc, moi panowie, obraz, który w tej chwili oglądamy, stanowi problem, jaki musimy rozwiązać w ciągu najbliższych miesięcy, a może nawet tygodni. Jest to dzieło niemal bezcenne, lecz ze zrozumiałych względów traci ono wiele, odłączone przemocą historii od dwu pozostałych obrazów, z którymi razem stanowiło ongi jedną artystyczną całość. Po tym, co wam powiedziałem uprzednio, nie będę się ponownie wdawał w analizę istoty sztuki, która wykwitła spod pędzla Ribery, zresztą sprawa ta interesuje nas w tej chwili tylko pośrednio. Bezpośrednio interesują nas dwie inne sprawy: jak zdobyć obraz oraz druga: jak zrobić to bez wywołania skandalu... — zawiesił na chwilę głos. — Z wielu względów konieczne wydaje się, zarówno naszym klientom, jak

i mnie, żeby sprawa nie nabrała najmniejszego rozgłosu. To oczywiście utrudnia całą zabawę, bo nie wystarczy tu zmylić na pewien czas czujność opiekunów obrazu, trzeba ich w ogóle wprowadzić w błąd.

— To chyba nie będzie możliwe, szefie... — powiedział głos w ciemności. — Nie chce pan chyba powiedzieć, że kustosz muzeum czy ktokolwiek inny, odpowiedzialny za obraz, zatai ten fakt, zauważywszy kradzież?

— Nie o to chodzi. Oczywiście, że nie możemy nigdy liczyć na pomoc przeciwnika. Tym razem musimy dokonać naszej sztuczki tak, żeby nie uświadomili sobie, że Trzeci Król zniknął.

— Z tego, co pan powiedział poprzednio, szefie, nie wynikało, żeby ten kolekcjoner postawił to jako konieczny warunek.

— Bo nie postawił tego warunku. Jest to człowiek bogaty, nawet bardzo bogaty, i mieszka w jednej z południowoamerykańskich republik, gdzie prawo bywa interpretowane bardzo elastycznie. Człowiek ten potrafi zapewne wyizolować swój obraz tak, że będzie mógł się nim cieszyć bez konieczności pokazywania go niepowołanym. Poza tym wiecie przecież, jak wyglądają te sprawy w Południowej Ameryce; jeżeli obraz raz już tam dotrze, nikt go stamtąd nie wydobędzie. Nawet mordercę ściganego listami gończymi ciężko stamtąd wyłuskać, a cóż dopiero kawałek zamalowanego płótna. Po pewnym czasie następuje przedawnienie i poprzedni właściciel traci nawet podstawy prawne do upominania się o swoją własność. Ale przecież nie o tym mówimy. Czy prawie wszystkie wielkie kolekcje na kuli ziemskiej nie powstały częściowo z rozboju? Czy Anglicy mają jakiegokolwiek prawo do swoich greckich zbiorów w British Museum? A Francuzi — czy kupili chociaż połowę tego, co zdobi ściany Luwru? Nie, moi drodzy panowie! I nie w tym rzecz. Jeżeli chcę, żeby fakt zniknięcia Trzeciego Króla nie dotarł do Polaków, mam na myśli wyłącznie nasze bezpieczeństwo i nic innego...

Pan Gruber znowu urwał na krótką chwilę. W tym, co powiedział, było wiele prawdy. Ale nie cała prawda. Zbyt długo już prowadził skomplikowane życie przywódcy jednego z największych i najsprawniejszych gangów, jakie znała Europa, i

zbyt wysoko oceniał swą umiejętność kierowania ludźmi, żeby popełnić elementarny błąd, polegający na zaszczepieniu choćby odrobiny zbytecznych wątpliwości w dusze tych, którzy musieli wykonywać jego plany. A pan Gruber sam żywił pewne wątpliwości. Po wyjściu pana Gomeza uczuł niejasno, że coś przeoczono. Nie mógł się przez pewien czas zorientować, czego chce podrażniona podświadomość. Dopiero w samolocie przypomniał sobie. Pan Gomez przywiózł ze sobą trzy zdjęcia. Co się z nimi stało? Nie zostawił ich u niego w domu. Musiał więc zabrać je z sobą. To było przeoczenie. Gdyby... Gdyby na przykład ktoś zobaczył te zdjęcia u pana Gomeza, musiałby wysnuć wnioski... Pan Gruber lubił mówić do swoich ludzi, że policja to wielkie dzieci, ale wiedział równocześnie, że bywają dzieci inteligentniejsze o niebo niż inne. Jeżeli przez wiele lat przemykał się przez oczka licznych sieci, działał się tak dlatego, że nigdy nie okazał najmniejszego lekceważenia policji w żadnym z krajów, w których jego szajka łamała prawo. Te zdjęcia?... Mogły, oczywiście, wrócić spokojnie do Południowej Ameryki. Same w sobie nie stanowiły żadnego niebezpieczeństwa. Policja podejrzewała, być może, pana Grubera o wiele rzeczy, ale nie wiedziała na pewno nic. Przyjmował w swojej willi dziesiątki osób, po większej części byli to ludzie naprawdę uczciwi: muzealnicy, historycy sztuki. Miał wiele znakomitych obrazów. Przyjął pana Gomeza jawnie, nie krył tego kontaktu przed nikim. Tak, ale był obserwowany. Od kilku lat wiedział, że obserwują go. Obserwowali go w Stuttgarcie, w Wiedniu, wszędzie. Wiedział o tym. Miał sześćdziesiąt lat i mógł się wycofać. Ale nie chciał. Był bogatym człowiekiem. Mógł żyć w luksusie i spokoju do końca swoich dni. Lecz pan Gruber, choć lubił żyć w luksusie, nie bardzo wiedział, jak mogłoby być w spokoju. Zresztą wierzył w siebie. Był doświadczony, działał bezbłędnie, miał olbrzymie kontakty, sieć ludzi we wszystkich stolicach europejskich. Nie, nie musiał się obawiać... pod warunkiem, że nie popełni nigdy żadnego błędu. Jeśli ktokolwiek niepowołany zobaczy te zdjęcia, jutro rano policja polska może zostać postawiona w stan alarmu. Można było zapytać pana Gomeza?... Ale pan Gomez nie był tu

osobą miarodajną. Na pewno nie rozmawiał z nikim o całej sprawie, o to pan Gruber mógł być spokojny. Ale te zdjęcia...

Tak, jedno było jasne: trzeba było sprawdzić, czy Polacy nie orientują się, że obrazowi coś grozi. Ale policja polska mogła działać dyskretnie. Dlatego trzeba było obraz ukraść tak, aby nawet Polacy nie zorientowali się w fakcie kradzieży. Dlatego nie można było uderzać od razu. Minie kilka miesięcy, nim wszystko będzie gotowe. Pan Gruber wiedział, że musi uruchomić w Polsce niewielką, ale skomplikowaną maszynę spisku. Precyzja wymaga czasu. Można było, oczywiście, wycofać się z całej sprawy. Oferta była wysoka, ale pan Gruber miał wiele pieniędzy. Tylko że wycofać się, znaczyło przegrać bez walki.

A pan Gruber nie lubił przegrywać bez walki. W ogóle nie lubił przegrywać. Nie wolno było, oczywiście, powiedzieć ludziom o tych zdjęciach. Człowiek, który przypuszcza, że na drodze zastawiono pułapkę, porusza się niepewnie, działa pod wpływem lęku i tym łatwiej w tę pułapkę wpada.

— Łatwiej będzie wam wycofać się z Polski unosząc obraz, jeżeli cała policja tego kraju nie zostanie postawiona na nogi. Ale o tym wszystkim będziemy rozmawiali serio dopiero po dokonaniu rozpoznania i opracowaniu szczegółowego planu. Na razie proszę o następną kliszę.

Reflektorek, rzucający snop światła na ekran, zgasł na chwilę. Wizerunek Trzeciego Króla zniknął i na jego miejsce ukazał się piękny barokowy pałac, widoczny od strony wysadzanego olbrzymimi drzewami podjazdu.

— Nazwa tego pałacu, a raczej wsi, obok której się znajduje, brzmi Bory... — powiedział pan Gruber pogodnie. — Jest to dawna rezydencja magnacka, obecnie zamieniona na muzeum państwowe: coś w rodzaju skansenu, ale nie chłopskiego, lecz utrwalającego sposób życia arystokracji polskiej. Pałac wraz z biblioteką, galerią obrazów i wspaniałym parkiem, w którym dotąd znajduje się największa w Europie wschodniej pomarańczarnia, ściąga co roku setki tysięcy turystów i wycieczek zbiorowych, chociaż dojazd koleją nie istnieje, praktycznie rzecz biorąc, gdyż rezydencja odległa jest od

najbliższej stacji kolejowej o piętnaście kilometrów⁷. Na szczęście krzyżują się nie opodal dwie ruchliwe szosy, tak że komunikacja autokarem lub samochodem jest bardzo ułatwiona... Kliszę numer trzy, proszę...

Obraz przeskoczył raz jeszcze. Ukazał się utrzymany w tonie ciemnobrązowym narożnik sali bibliotecznej z wysokimi, podwójnymi drzwiami, po obu stronach których stały kolosalne barokowe globusy przedstawiające Ziemię i Niebo. Na lewo od Ziemi, w pewnej odległości od rozpoczynającego się w tym miejscu rzędu szaf bibliotecznych wisiał niewielki obraz: Trzeci Król, znajdujący się na wysokości oczu ludzkich i oprawny w ciężką, może nieco zbyt przytłaczającą złotą ramę.

— Właściciele pałacu otrzymali ten obraz od carowej rosyjskiej przed mniej więcej stu pięćdziesięcioma laty... — powiedział pan Gruber. — Od tej pory, jeśli nie liczyć drobnych zabiegów konserwatorskich, wisi on bez przerwy w bibliotece pałacowej. Za chwilę przedstawię wam usytuowanie biblioteki w pałacu, a później przejrzymy sobie wszystkie notatki, jakie mamy na temat muzeum w Borach i pracujących tam ludzi. Oczywiście może okazać się, że niektóre nasze informacje są przedawnione. Proszę o kliszę numer cztery...

4

Historycy sztuki, wystap!!!

Pokój był duży, ale stojące pod trzema ścianami i sięgające sufitu szafy zmniejszyły go wydatnie. Pośrodku stało biurko, a na nim trwał nieruchomy tłum siedzących drewnianych postaci, fraszobliwie opierających głowy na dłoniach, jak wielka grupa zmęczonych wędrowców, którzy przysiedli na chwilę i nie mają siły powstać, aby ruszyć w dalszą drogę.

Na pół ukryte pomiędzy szafami niewielkie drzwi otworzyły się, pchnięte z rozmachem, i na progu stanęła młoda dziewczyna w mundurze porucznika milicji. Była ładna, jasnowłosa i modnie uczesana. Prosto zwisające, długie włosy

opadały na naramienniki munduru. W ręce trzymała plik papierów.

— Masz tu swoje akta — powiedziała zamykając drzwi za sobą. — Nie wiem, dlaczego ktoś położył mi je na biurku, jeżeli w nagłówku. pisze jak wół: kapitan Stefan Wieczorek... — Urwała i rozejrzała się. Pokój był najwyraźniej pusty.

— Połóż obok tych Chrystusków — powiedział cicho jakiś głos.

— Gdzie jesteś? — nadal nie dostrzegła nikogo. — Jeżeli chcesz się bawić w chowanego, musisz najpierw doliczyć do dwudziestu i zawołać „Szukam!”.

Kapitan Stefan Wieczorek ciężko dźwignął się z klęczek i wynurzył spoza biurka, trzymając delikatnie w palcach postrzępioną chorągiew cerkiewną, na której złocisty święty Jerzy godził czerwoną włócznią w niebieskiego smoka.

— U nas liczyło się do pięćdziesięciu...

Westchnął i odsunawszy łokciem najbliższego zasmuconego Chrystusa położył chorągiew na biurku.

— Jeden facet... — wskazał oczyma — wychował sobie trzech chłopaczków: siedemnaście, osiemnaście i dziewiętnaście lat, żeby mu to znosili Płacił po setce, po dwie, jak leci, i sprzedawał po dwa tysiące cudzoziemcom. Przedwczoraj wpadł na granicy jeden Anglik, który wiózł trzy. Powiedział zresztą od razu, od kogo to ma. Resztę znalazłem w czasie rewizji.

— No i co?

— Nic. Anglik pojechał do Anglii bez świątków, a tamten siedzi. Chłopcy też. Sam nie wiem, co z nimi robić? Dosyć sympatyczni. Też ich chyba trzeba będzie puścić...

— Żeby znowu zaczęli?

— No nie. Rodziców zawiadomiłem, byłem nawet tam. Poszedłem pieszo. Potworny mróz. Dobrze, że dzisiaj zelzał — zerknął w okno. — Matki płakały, dzieciaki płakały, chociaż to prawie dorośli ludzie. Koszmar... — rozłożył ręce. — Tego faceta przekazuję prokuratorowi. Właściwie sprawa prosta. Świątki z Podhala i z Krakowskiego, trochę cerkiewnych pamiątek z Bieszczadów, to wszystko.

— A tu masz tę Desę... Wiesz, z tymi dywanami...

— Dobra... Trzeba będzie pojechać do Krakowa i do Wrocławia. Chyba ciebie poślę. Przejdziesz się?

— Świetnie! — dziewczyna zdecydowanie przytaknęła ruchem głowy. Włosy rozsypały się i powróciły do poprzedniego stanu. Lekkim ruchem dłoni poprawiła grzywkę nad czołem. — Mróz, nie mróz, wolę sto razy delegację gdziekolwiek niż siedzenie w Warszawie. Na tydzień przed Bożym Narodzeniem. Kiedy mam jechać?

Kapitan Wieczorek otworzył usta, ale podwładna jego nigdy nie dowiedziała się, co chciał powiedzieć.

Dyżurny milicjant wsunął głowę do pokoju i powiedział:

— Obywatel kapitan i obywatelka porucznik Rogalska mają się zgłosić do szefa.

— Zaraz?

— Tak by wyglądało, bo nie powiedział kiedy.

— Dobra. Już idziemy.

Milicjant zniknął. Wieczorek opuścił zawinięte rękawy koszuli, z westchnieniem zawiązał krawat i włożył bluzę.

— Czego stary chce, jak myślisz, Kasia?

— Dowiecie się we właściwym czasie, obywatelu — powiedziała porucznik Katarzyna Rogalska obojętnym, bezosobowym tonem, którego używała wyłącznie wobec przesłuchiwanym przestępców.

Wyszli na korytarz. Przed drzwiami szefa wydziału operacyjnego spotkali jeszcze jednego oficera.

— Odprawa, o tej porze? — Kapitan Tadeusz Półtorak był wysokim, spokojnym, młodym człowiekiem, tak wysokim, że często, kiedy występował w cywilu, brano go za koszykarza. Pośród kolegów nosił, dla nieznanym bliżej przyczyn, przydomek „Telewizor”.

— Wchodź, Telewizor, pierwszy... — powiedziała półgłosem Rogalska, cofając się o pół kroku.

— Jak to? — Kapitan Półtorak zrobił półokrągły gest dłonią.

— Szanuj swoje dziewczęce przywileje... — Nacisnął klamkę i popchnął ją lekko.

Po chwili wszyscy troje znaleźli się w gabinecie pułkownika. Widok, który przedstawił się ich oczom, był tak nieoczekiwany,

że w pierwszej chwili Rogalska zaniemówiła. Szef był człowiekiem towarzyskim, ale gdyby komukolwiek z jego podwładnych powiedziano, że zostanie go pijącego alkohol na służbie, uznaliby opowiadającego za obłąkanego. Nic takiego nie mogło się zdarzyć na terenie wydziału.

A jednak zdarzyło się. Pułkownik siedział wygodnie rozparty w fotelu, a naprzeciw niego, po drugiej stronie stołu siedział równie wygodnie rozparty, ubrany w elegancki szary garnitur młody człowiek o różowej buzi dziecka i niewinnych błękitnych oczach. Pomiędzy siedzącymi stała wypróżniona do połowy butelka czerwonego wina i kieliszki.

Na widok wchodzącej kobiety w mundurze młody człowiek szybko zerwał się z miejsca, a pułkownik, nieco wolniej, poszedł w jego ślady. Uciszył ruchem ręki Wieczorka, który chciał się zameldować, i powiedział:

— To jest pan Galeron, komisarz francuskiej policji bezpieczeństwa, delegowany do Interpolu. Przybył do nas w pewnej sprawie, w którą wszyscy troje zostaniecie zamieszani już od dzisiaj i dlatego chciałem, żebyście przyszli tu od razu. Kasiu, sekretarka ma kieliszki. Powiedz, żeby dała jeszcze trzy, dobrze?

Młody człowiek, uśmiechając się serdecznie i kiwając radośnie głową, jak gdyby fakt spotkania trojga oficerów milicji w gmachu Komendy Głównej tejże milicji uważał za niezwykle szczęśliwy zbieg okoliczności, ucisnął ich ręce. Katarzyna wyszła na chwilę i powróciła z kieliszkami. Pułkownik nalał.

— Siadajcie.

Zwrócił się do młodego człowieka i szybko powiedział kilka słów po francusku. Wieczorek uśmiechnął się niedostrzegalnie i spoważniał natychmiast. Fakt, że pułkownik był synem górników reemigrantów z Nordu, mógł być nie znany francuskiemu gościowi. Jeżeli na tej podstawie przypuszczał, że wszyscy polscy milicjanci tak płynnie władają obcymi językami, za chwilę dozna lekkiego rozczarowania.

— Otóż pan komisarz przyleciał do Warszawy dziś rano, poprzedzony zresztą wymianą telegramów pomiędzy naszymi instytucjami. Żeby nie przedłużać tego, co was bezpośrednio

nie dotyczy, muszę tylko powiedzieć, że Interpol przed kilkoma miesiącami zdobył informacje, na skutek których przypuszcza, że w najbliższej przyszłości jeden z największych gangów, zajmujący się kradzieżą dzieł sztuki, a znany pod nazwą „Syndykatu”, będzie chciał podjąć próbę wykradzenia pewnego obrazu znajdującego się w Polsce. Obraz jest bardzo cenny, wart kilkaset tysięcy dolarów i istnieją przesłanki na to, że pewien południowoamerykański milioner-kolekcjoner gotów jest zapłacić bardzo wiele osobie, która zdobędzie dla niego ten obraz. Agent tego milionera przyleciał do Europy w sierpniu i wszedł w osobisty kontakt z jakimś panem Gruberem, człowiekiem, na którym ciąży poważne podejrzenie, że jest szefem „Syndykatu”. Interpol rozpoczął śledztwo i dowiedział się, że agent ten zbierał przed przyjazdem do Europy informacje na temat naszego obrazu. Policja międzynarodowa bardzo liczy w tym wypadku na naszą współpracę i chce zastawić pułapkę na szefa „Syndykatu” właśnie u nas w Polsce. Niestety ani Interpol, ani my nie posiadamy żadnych konkretnych informacji, kto, kiedy i w jaki sposób będzie chciał obraz ukraść. Wiemy tylko, że gang posiada rozległe stosunki, że ma znakomitych fachowców i chyba tęgie głowy, jeśli chodzi o planowanie akcji, bo z tego, co mi opowiadał pan komisarz Galerón... — zwrócił się w kierunku Francuza, który uśmiechnął się uprzejmie i skinął głową, chociaż najprawdopodobniej nie zrozumiał ani jednej sylaby z tego, co zostało właśnie powiedziane — można wnosić, że mimo dokonania wielu kradzieży na wielką skalę, organizacja ta działa dotąd właściwie bezkarnie, a jeśli udaje się schwytać pojedynczych przestępców zamieszanych w którąś z jej sprawek, to wszyscy milczą i trop urywa się na nich. Z obserwacji Interpolu wynika, że uderzenie bandy powinno nastąpić w najbliższej przyszłości. Dlatego podczas telegraficznej wymiany poglądów w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin ustaliliśmy wspólny plan, do którego wykonania Interpol dostarczył nam pewnego niezbędnego przedmiotu. Przedmiot ten znajduje się w tej chwili tam... — wskazał ruchem ręki biurko. Leżała na nim płaska, niemal

kwadratowa walizka.

Pan Galeron chrząknął cicho. Pułkownik urwał i zerknął na niego. Francuz uniósł rękę. Wskazującym palcem prawej dłoni dotknął złotego zegarka na przegubie lewej. Potem rozłożył ręce i podniósł się.

— Niestety pan komisarz musi jeszcze dziś odlecieć do Paryża i ma za godzinę, samolot...

Uniósł kieliszek. Pan Galeron trącił się ze wszystkimi, błysnął czterokrotnie zębami w oślepiającym uśmiechu i zniknął wraz z pułkownikiem, który ruchem ręki kazał im wszystkim pozostać na miejscu.

Drzwi zamknęły się.

— Zrozumieliście coś z tego? — zapytała Rogalska.

— Jeszcze nie... — kapitan Półtorak uniósł butelkę i zwrócił ją pod światło. — Zostało jeszcze trochę. Fi oponuje, żebyśmy załatwili przynajmniej tę sprawę, zanim stary wróci.

I zgodnie wychylili kieliszki, a później odstawili je ostrożnie na stół w tej samej chwili, w której szef wydziału operacyjnego nacisnął kławkę, powracając do pokoju.

5

„To bałoby nieuczciwe!”

Cztery miesiące minęły od chwili, gdy pan Gruber przebywał po raz ostatni w tym pokoju. Ale nic nie zmieniło się tu od owego dnia. Za oknem w rosnącym zmroku jaskrawo pulsował czerwony neon zachwycający się urodą kobiet, które myją włosy szamponem E-L-I-D-A, E-L-I-D-A, E-L-I-D-A...

Zimowy, pochmurny dzień za oknem rzucał nikły blask na twarze trzech mężczyzn siedzących naprzeciw pana Grubera. Byli to ci sami trzej mężczyźni, z którymi rozstał się przed czterema miesiącami.

Pan Gruber także stał teraz w tym samym miejscu, w jakim pozostawiliśmy go wówczas. Jedynym szczegółem, który zmienił nieco wygląd wnętrza pokoju, było zniknięcie

wiszącego wówczas na ścianie ekranika. Stał on teraz pod ścianą, zwinięty w rulon. Miejsce jego zajął Trzeci Król!

— Helmuth — powiedział pan Gruber, wskazując dłonią obraz — wie pan dobrze, że nie lubię sypać pochwałami. W naszym zawodzie najwyższą pochwałą jest stosowny udział w zyskach. Ale tym razem chciałbym panu osobiście pogratulować: załatwił pan to wszystko znakomicie. „Syndykat” nigdy panu tego nie zapomni. Znalazł pan, jeśli wolno mi się wyrazić w sposób poetycki, sprzymierzeńca w samym sercu twierdzy wroga. Dzięki zdjęciom i analizom dostarczonym przez pana i zdobytym w sposób, nad którym nie będę się w tej chwili rozwodził, mogliśmy w ciągu stosunkowo krótkiego czasu zakończyć wszystkie przygotowania do akcji...

— Dziękuję, szefie — powiedział człowiek nazwany Helmuthem. Zarumienił się przy tym. — Ale to był tylko mój obowiązek.

Gruber uciszył go ruchem dłoni.

— To naprawdę doskonała robota! Dzięki pańskim zabiegom mamy tu oto kopię, która, szczerze mówiąc, nie jest kopią! Ani lampa kwarcowa, ani żadna z najszczegółowszych i najnowocześniejszych metod analizy płótna lub farby nie odkryją najmniejszej różnicy pomiędzy naszym, wiszącym tu arcydziełem, a oryginałem Ribery. Teraz, proszę panów, pozostało nam już tylko jedno zadanie: przewieźć nasz obraz do Polski, wymienić go na oryginał i powrócić do Wiednia z prawdziwym Trzecim Królem. Na tym praca nasza zostanie zakończona, bo reszta to już tylko formalność polegająca na przekazaniu zamówionego towaru klientowi. Przypominam sobie, że kiedy po raz ostatni zebraliśmy się tu wszyscy, była mowa o tym, w jaki sposób możemy uniknąć skandalu i nie wywołać reakcji władz polskich. Oto odpowiedź!

Jego wyciągnięte ramię raz jeszcze zatoczyło łuk. Wprostowany wskazujący palec znieruchomiał przed rozmodloną twarzą czarnego monarchy. Wszystkie oczy podążyły w ślad za nim. Przez chwilę było zupełnie cicho. Wreszcie pan Gruber chrząknął.

— Jeśli chodzi o plan działania, omówimy go za chwilę w

najdrobniejszych szczegółach. Rządzą nami zawsze dwie generalne zasady, od których nie może być żadnych odstępstw:

1) Nigdy nie przelewać krwi ludzkiej i nie splamić się zbrodnią, gdyż jak wiadomo kodeksy karne całego świata mają zupełnie inny stosunek do przestępstw popełnianych przez osoby bezbronne, nie dokonujące gwałtu, a działające wyłącznie przy pomocy intelektu. Poza tym uważamy zabójstwo za rzecz absolutnie niedopuszczalną. Nie wolno jest jednemu człowiekowi odbierać życia innemu człowiekowi. Jest to niezgodne z etyką chrześcijańską. Wyjątek stanowią oczywiście zdrajcy. Ale nie będziemy ich wspominali w naszym gronie.

2) Postępować tak, aby nigdy w żadnych okolicznościach nie dawać policji najmniejszych szans odkrycia naszej organizacji.

W związku z tym drugim punktem nasz szczegółowy plan przewiduje błyskawiczną wymianę obrazu. Maksimum bezpieczeństwa i pewność uniknięcia skandalu osiągniemy wówczas, gdy obraz, nazwany przez nas Trzecim Królem, zniknie ze ściany muzeum nie dłużej niż na kilka minut potrzebnych do wymienienia go na kopię. Stanie się to w nocy.

Gdybyśmy tę kopię wysłali wcześniej i pozwolili naszemu sprzymierzeńcowi dokonać wymiany, zanim przyjedziemy po oryginał, wtedy, być może, operacja nasza trwałaby krócej, ale sam plan mógłby runąć w gruzy i konsekwencje byłyby bardzo ciężkie, aż do kompletnej niemożności wykonania zadania i aresztowania osoby, która z naszego ramienia uda się do Polski. Bowiem kopia i oryginał przebywałyby zbyt długo pod jednym dachem, poza naszą kontrolą. Przypadek mógłby zdekonspirować naszego sprzymierzeńca. Muzeum, jak panowie już wiecie, jest w tej chwili nieczynne, nie ma więc mowy o jakimkolwiek tricku z odwróceniem uwagi pilnujących osób. Ale mniejsza o to. Później przekażą panom cały mój plan do dyskusji. Teraz chciałbym omówić szczegółowo całokształt zagadnienia. Panowie, jak zwykle, bądźcie łaskawi słuchać z najbardziej wyteżoną uwagą i jeśli cokolwiek w przedstawionym przeze mnie projekcie wyda wam się wątpliwe albo godne dyskusji, albo jeśli będziecie mieli na którykolwiek

z punktów mego planu inny pogląd niż ja, obliguję was do zabrania głosu. Cztery głowy to zawsze więcej niż jedna, choćby najbardziej doświadczona. Zresztą panowie także nie jesteście przecież nowicjuszami...

Urwał na chwilę. Trzy głowy skinęły w niemym potwierdzeniu jego słów.

— Wyjaśniliśmy już sobie poprzednio — podjął pan Gruber — na czym polega, generalnie rzecz biorąc, nasze zadanie. Chodziło o to, żeby pozyskać sobie w Polsce kogoś, kto w okresie naszego, nazwijmy je militarnie: „natarcia” na pałac w Borach, będzie się znajdował we wnętrzu i będzie posiadał odpowiednią swobodę ruchów. Taka osoba wydawała nam się nieodzowna do sprawnego przeprowadzenia naszych zamiarów. Otóż osoba taka znalazła się. Ofiarowaliśmy jej za pomoc bardzo poważną sumę. Osobą tą jest...

Jeden z siedzących uniósł dłoń. Pan Gruber urwał w pół zdania.

— Tak? Słucham pana, doktorze?

— Czy można o coś zapytać, szefie, zanim przystąpimy do omawiania pańskiego planu? Wydaje mi się, że wpadłem na pewien... jakby to powiedzieć... prosty sposób wykonania naszego zadania.

— Ależ oczywiście. Niech pan pyta. Słuchamy pana.

— Chciałem po prostu zapytać, czy ten obraz jest absolutnie identyczny z prawdziwym Trzecim Królem?

— Hm... — pan Gruber zawahał się na ułamek sekundy. — Nie wiem, co pan rozumie pod słowem absolutnie? Nie ma na świecie dwóch absolutnie jednakowych przedmiotów. Jeśli powiedziałem, że obrazy te są identyczne, miałem na myśli, że są niemal identyczne, to znaczy, że kopia nasza została wykonana z najwyższą doskonałością i posiada wszystkie cechy oryginału z fakturą materiału włącznie. Każde najmniejsze pęknięcie farby, niewidoczne gołym okiem, a tylko przez lupę, zostało wzięte pod uwagę i wprowadzone z jak największą starannością. Zarówno farby jak i płótno nie dadzą przy próbie prześwietlania ani przy zastosowaniu reakcji chemicznej innej odpowiedzi, niżby ją dał prawdziwy obraz. Słowem: kopia

nasza może wprowadzić w błąd nawet eksperta, pod warunkiem, że... nie postawimy naszego obrazu obok prawdziwego Trzeciego Króla i nie damy ich badać równocześnie. Wówczas sytuacja wyglądałaby prawdopodobnie w ten sposób, że eksperci w krótkim czasie, ale po bardzo żmudnych badaniach stwierdziliby prawdopodobnie, że nasz obraz nie jest prawdziwy, a tamten jest. Ale, powtarzam, mogę ręczyć, że nikt nie jest w stanie zakwestionować autentyczności naszej kopii, nie tylko na pierwszy rzut oka, ale nawet po powierzchownej analizie. A już nie ma mowy wykryciu fałszerstwa w chwili, gdy nie ma się obu obrazów dla przeprowadzenia badań porównawczych. Zresztą, jak panowie sami rozumiecie, te dwa obrazy nigdy przecież nie znajdą się razem. Przez chwilę, to prawda, będą w tej samej okolicy, ale natychmiast oddalą się od siebie i będzie je dzieliło tysiące kilometrów. A jeśli nawet za sto lub więcej lat koło historii, które wyprawia najdziwniejsze harce z dziełami sztuki, rzuci je w jeden punkt, wówczas... — rozłożył ręce — wówczas niech troszcą się o to ci, którzy przyjdą po nas. Nasze zadanie jest proste: przekazać obraz klientowi i pozostawić Polaków w przekonaniu, że są posiadaczami Ribery. Nikt ich z tego błędu przecież nie będzie wyprowadzał, a najmniej nasz klient.

— Tak, szefie, tak właśnie myślałem — powiedział doktor von Heitz. — I właśnie dlatego chciałbym zapytać: czemu, jeśli nikt, kto nie posiada obu tych obrazów równocześnie, nie mógłby stwierdzić fałszerstwa, nie pośle pan naszej kopii ternu kolekcjonerowi z Ameryki Południowej, który — jak wszyscy prywatni kolekcjonerzy — nie ma zapewne wielkiego pojęcia o sztuce i nigdy nie miałby nawet cienia wątpliwości, że to, co otrzymał, jest autentycznym Trzecim Królem? Zamiast wykonać to zadanie, wystarczyłoby po prostu dać do zrozumienia, że zostało ono wykonane. Ryzyko zmniejszyłoby się wówczas oczywiście do zera, a zysk byłby ten sam, prawda?

— Jak to, doktorze?! — Pan Gruber potrząsnął głową z wyraźnym niezadowoleniem. — Odpowiedź na pytanie pana jest bardzo prosta: To byłoby nieuczciwe. Gdybyśmy mieli postępować w ten sposób, rzecz za którymś razem wydałaby

się, stracilibyśmy wszystkich potencjalnych klientów i stanęlibyśmy w obliczu bankructwa. Nie, moi drodzy, gdybym stracił zaufanie mojego klienta, jutro zdradziłbym wasze, a pojutrze wy uważalibyście, że was także nie obowiązuje lojalność wobec kolegów. Zapamiętajcie sobie panowie jedno: nikt nie musi być tak uczciwy jak człowiek żyjący poza prawem. Ale dość już o tym. Powróćmy do naszego zadania. Mówiliśmy o osobie, która dokona zamiany obrazów. Jest nią...

6

„Oryginał ukradniecie wy...”

Pułkownik wrócił do gabinetu, zamknął za sobą drzwi i podszedł do biurka.

— Jak wam się podobał ten facet?

— Krawat miał śliczny — powiedziała Katarzyna z przekonaniem. — Niewiele więcej umieliśmy stwierdzić.

— Chodzi, oczywiście, o ten obrazeczek. — Szef wydziału śledczego obszedł biurko, pochylił się, otworzył futerał i zdjął warstwę syntetycznej gąbki, pod którą ukryty był znajdujący się w głębi obraz. — Oto on! A raczej kopia, podobno znakomita i zupełnie nie do odróżnienia, którą podarowali nam Francuzi, żeby przy jej pomocy przeprowadzić nasz wspólny plan.

Wieczorek podszedł powoli, zerknął tylko na obraz i spojrzał z niedowierzaniem na pułkownika.

— Przecież to Czarny Król Ribery, szefie — powiedział ze zdumieniem. — Czy Interpol serio myśli, że ktoś może go nam ukraść? To bardzo znany obraz.

— Wszystko wskazuje na to, że chcą nam go ukraść. Francuzi, jak powiada ten komisarz, dowiedzieli się o tym niemal przypadkiem i teraz chcą wyzyskać niespodziewaną szansę, żeby zdemaskować szefa „Syndykatu” i doprowadzić do rozbicia gangu. Na tej kopii znajduje się tajny, absolutnie niewidoczny znak, który pokażę wam za chwilę. Uzgodniliśmy wspólnie, że zamienimy obrazy, wyeksponujemy tę kopię w

muzeum jako oryginał, pozwolimy „Syndykatowi” na dokonanie kradzieży, damy złodziejowi wywieźć łup z Polski, pozwolimy mu dostarczyć obraz owemu panu Gruberowi, a tam dopiero wkroczy Interpol i pochwyci go na gorącym uczynku przekazywania odbiorcy ukradzionego dzieła sztuki.

— Niby trudne to nie jest, jeżeli wszystko pójdzie tak, jak sobie ci panowie w Paryżu zamarzyli — Półtorak wzruszył ramionami. — Nasza rola ograniczy się właściwie do pilnowania obrazu, wystarczy zauważyć moment kradzieży, dyskretnie odprowadzić złodzieja do granicy i przekazać go komu innemu do obserwacji. Tak?

— Nie tylko... — pułkownik uśmiechnął się. — Bo prawdziwy obraz także musi zostać ukradzony.

— A kto go ma ukraść? — Katarzyna najwyraźniej nie rozumiała.

— Wy! — powiedział pułkownik tryumfalnie. Wyciągnął przed siebie obie ręce. Wyprostowane wskazujące palce zatrzymały się przed Wieczorkiem i dziewczyną. — Wy! — powtórzył. — I musicie zrobić to tak, żeby nikt na świecie nie mógł zorientować się, że zamiana została dokonana.

— Ale... — powiedziała Katarzyna.

Wieczorek położył jej lekko dłoń na ramieniu.

— Zaczekaj chwilę i pozwól szefowi dojść do słowa — powiedział z uśmiechem.

— Przepraszam, towarzyszu pułkowniku... — zarumieniła się lekko.

— Drobiazg! — pułkownik oddał jej uśmiech. Mam dwie dorosłe córki.

Katarzyna zarumieniła się jeszcze bardziej. Szef wydziału śledczego otworzył szufladę biurka, wyjął z niej dużą kopertę i wysypał z niej kilkanaście wielkich zdjęć.

— Tu macie pałac w Borach, gdzie w tej chwili znajduje się nasz obraz. Można powiedzieć, że jest to największe nasze muzeum na odludziu. Powstało w dawnej rezydencji księżęcej, pośród lasów, w pobliżu wsi o tej samej nazwie. Kiedy państwo przejęło pałac po dawnych właścicielach, postanowiono pozostawić całość nietkniętą, jako swego rodzaju skansen

arystokratyczny. Po to, żeby przyszłe pokolenia wiedziały, jak wyglądało życie w takim pałacu, jakie były w nim sprzęty i tak dalej. Galerii obrazów i zbiorów innych dzieł sztuki także nie ruszono. Powstało muzeum, które ściąga tysiące wycieczek rocznie, bo chociaż linia kolejowa przebiega o ładnych parę kilometrów od Borów, krzyżują się w pobliżu dwie ważne szosy. Dojazd autokarem i samochodem jest dobry... — urwał na chwilę. — Wasze zadanie polega na tym, żeby wyprzedzić złodziei, pojechać do Borów i podmienić w absolutnej tajemnicy przed wszystkimi tę oto kopię na wiszący w bibliotece pałacowej oryginał.

— Jak to: podmienić? — Wieczorek potrząsnął głową z niedowierzaniem. — Chcecie powiedzieć, szefie, że każdy może wejść do muzeum w Borach, zdjąć ze ściany obraz wart kilkaset tysięcy dolarów i powiesić na jego miejsce, co zechce?

— Nie każdy. Praktycznie biorąc: nikt, bo muzeum jest od pół roku zamknięte dla zwiedzających, ze względu na remont wewnątrz. Na szczęście mają tam kilka pokoi gościnnych dla pracowników sztuki i innych ludzi kultury, korzystających na miejscu ze zbiorów i biblioteki muzealnej. To zresztą praktykuje się na całym świecie. Przydział tych pokoi znajduje się w gestii gabinetu Ministra Kultury i Sztuki. Postarałem się... — uśmiechnął się znacząco — udostępnić wam dwa z tych pokoi na pewien czas. Pojedziecie jako małżeństwo: literat z żoną, opracowujący, powiedzmy, poemat historyczny. W Borach jest także wielka zbrojownia, więc spodziewacie się tam znaleźć wiele rekwizytów, których zbadanie i opisanie „z bliska” pomoże wam w uzyskaniu większego realizmu w waszym utworze. Taki poemat wymaga zapewne poważnych studiów...

— Jaki poemat? — jęknął Wieczorek. — Jaka żona? Ona?

— Tak, ona, nasza nieoceniona towarzyszką, porucznik Katarzyna Rogalska, tu obecna. — Uśmiech pułkownika był niemal promienny w tej chwili. — Nie macie chyba nic przeciwko temu, tym bardziej że będzie ona waszą żoną tylko na jedną noc?

— To brzmi prawie jak brukowy romans — westchnęła

Katarzyna. — Sądźcie, szefie, że nikt by ze mną dłużej nie wytrzymał?

— Jestem przekonany, że znajdzie się ktoś, kto zechce spędzić całe życie przy waszym boku, nie odchodząc ani na krok, ale na razie będzie to niemożliwe... — pułkownik spoważniał. — Nasz plan przewiduje, że pojedziecie we dwójkę do Borów, podmienicie w nocy obraz, a rano wyślemy pod byle jakim pretekstem wóz po porucznika Rogalską. Powiedzmy, że jesteście, Kasiu, pracownikami instytutu chemii czy fizyki i chociaż dano wam właśnie urlop, muszą go odwołać ze względu na jakieś eksperymenty. Z żalem odjedziecie na powrót do Warszawy, pozostawiając w Borach męża, a zabierając ze sobą ten futerał, ale zawierający już nie kopię, tylko oryginał Czarnego Króla.

— Rozumiem — Katarzyna skinęła głową. A Stefan? — wskazała Wieczorka.

— Towarzysz kapitan zostanie nadal w Borach: musimy tam mieć wewnątrz kogoś, kto zwracałby na wszystko uwagę. Kapitan Półtorak zajmie się ochroną pałacu od zewnątrz.

— A jak mam się porozumiewać z wami, szefie? — Wieczorek uniósł brwi. — Telefon chyba jest wykluczony, bo ktoś mógłby coś usłyszeć, prawda?

— Dostaniecie małą krótkofalówkę i zapakujecie ją do walizki. Jest słaba, ale wystarczy do kontaktu z kapitanem Półtorakiem, który będzie się znajdował o kilka kilometrów od Borów, a może nawet bliżej.

— To zabawne — Wieczorek spojrział na Katarzynę. — Nie będziemy aresztowali nikogo, nie wolno się nam zdekonspirować, mamy tylko ukraść jeden obraz i dbać o to, żeby komu innemu udało się ukraść drugi. Jedno mnie tylko martwi...

— Co takiego?

— To, że literatów nie jest w Polsce znowu tak wielu...

— Ale wcale nie tak niewiele, jakby się wydawało. A poza tym kto teraz czyta historyczne poematy? Ufajcie mi, że nikt. Wszystko będzie w porządku.

— Mam nadzieję... — Kapitan nie był zupełnie przekonany.

— I jeszcze jedno — Katarzyna wysunęła dłoń i zatrzepotała palcami. — Obrączki? Co to za małżeństwo bez obrączek?

Pułkownik bez zastanowienia ujął słuchawkę.

— Połączcie mnie z depozytem... tak, tu pułkownik Wala. Zgłoszą się do was dzisiaj porucznik Rogalska i kapitan Wieczorek... Dacie im dwie złote obrączki... na miarę.. Co?... A czy nie ma czegoś na przechowaniu... Co?... A cóż to za różnica? Niech będzie z topielicy... Co?... Nieznany samobójca przejechany przez pociąg?... A obrączka cała?... No, to i dobrze! Tak... za rewersem... Sami zwróćą... W porządku!

Położył słuchawkę na widelki.

— Później zgłosicie się do depozytu. Muszę mieć wymiary palców. Mówią, że znajdzie się kilka obrączek do wyboru.

— Po nieznaney topielicy... — Katarzyna obdarowała swego szefa wdzięcznym uśmiechem. — Jakie to miłe z waszej strony, szefie, że nie zapominacie o uczuciach panny młodej! Prezent Komendy Głównej dla dziewczyny-oficera... Mam nadzieję, że obrączka tej biedaczki była złota i nie zardzewiała w wodzie.

— Kiedy jedziemy? — zapytał Wieczorek.

— Jeszcze dzisiaj oczywiście. Zaraz powinien się tu pojawić profesor Gawroński, który obiecał mi, że zawiezie was autem ministerstwa na miejsce i przedstawi kustoszowi

— Gawroński?

— Tak. Historyk sztuki. Jest kuratorem muzeum w Borach z ramienia ministerstwa. Chcę, żebyście pamiętali, że jest jedyną osobą, której musiałem zdradzić, że jedziecie do Borów jako ochrona Czarnego Króla.

— I profesor Gawroński wie, oczywiście, że mamy zamienić te obrazy?

— Nie — powiedział pułkownik z naciskiem. — I nie może się o tym dowiedzieć.

— Nie rozumiem? — Półtorak spojrział na Wieczorka, potem szybko przeniósł spojrzenie na zwierzchnika. — Jeżeli wie jedno, dlaczego nie wie reszty?

— Sprawa wygląda w ten sposób, że Interpol na skutek kilkuletniej analizy metod działania „Syndykatu” doszedł do wniosku, że niemal zawsze szajka działa w oparciu o kogoś, kto

nie wzbudza podejrzeń i ma dostęp do obiektów, które mają zostać ukradzione. Gdyby nie fakt, że musiałem natychmiast umieścić was w Borach, bo Interpol wierzy, że szajka zechce uderzyć już w najbliższej przyszłości, starałbym się nie wtajemniczać nawet profesora Gawrońskiego. Musiałem to zrobić, ale wtajemniczyłem go tylko o tyle, o ile było to konieczne. Oczywiście nie chcę powiedzieć, że podejrzewam profesora Gawrońskiego o kontakt z jakąkolwiek szajką. Osobiście jestem przekonany, że stoi on ponad wszelkimi podejrzewaniem. Ale... — pułkownik urwał na chwilę — jest jedną z osób, które mają stały dostęp do muzeum w Borach i w związku z tym, chociaż to bardzo nieprawdopodobne, musimy także brać go pod uwagę. Dlatego chciałbym, żebyście nie sprawiali na nim wrażenia doskonale działających i sprawnych oficerów milicji. Na wszelki wypadek, rzecz jasna.

— Stefanowi przyjdzie to z łatwością! — powiedziała Katarzyna ze śmiertelną powagą. — A ja postaram się zrobić, co mogę, ale nie ręczę za skutek: jestem zbyt sprawna.

Rozległo się pukanie do drzwi. Dyżurny milicjant wsunął głowę do gabinetu.

— Profesor Gawroński do obywatela pułkownika!

— Niech chwileczkę zaczeka.

— Tak jest!

Milicjant zniknął.

Pułkownik otworzył szybko walizkę, wsunął do niej leżącą na biurku warstwę gąbki, zamknął wieko, sprawdził zamki i podał Wieczorkowi dwa małe kluczyki o skomplikowanym rysunku.

— Postawcie to pod ścianą... — powiedział półgłosem, wskazując futerał. Wieczorek wziął ostrożnie kopię Trzeciego Króla i postawił ją we wskazanym miejscu.

Pułkownik ruszył ku drzwiom, otworzył je i skinął na milicjanta. Potem cofnął się.

— Z wami, towarzyszu Półtorak, ustalimy wszystko później. Wyruszycie w dwie godziny po nich...

Półtorak skinął głową. Rozległo się ponowne pukanie. Pułkownik otworzył drzwi na całą szerokość.

— Proszę! Bardzo proszę, panie profesorze! Nasi ludzie już

czekają na pana!

Profesor Gawroński wszedł i uścisnął wyciągniętą dłoń szefa wydziału śledczego. Był wysoki, opalony i przystojny, liczyć mógł najwyżej pięćdziesiąt lat, ale Wieczorek osądził na pierwszy rzut oka, że ma ich zapewne nieco mniej. Profesor uśmiechnął się ku stojącym, ukazując piękne, zdrowe zęby.

— Dzień dobry państwu! Bardzo się cieszę, że chcecie nam dopomóc w tej sprawie, chociaż przyznam .się, że nie bardzo wierzę w to wszystko. Kradzież w Borach! Międzynarodowa szajka! To brzmi trochę zbyt fantastycznie. No, ale wszystko jest możliwe... — ostatnie zdanie wypowiedział bez najmniejszego przekonania. Katarzynie wydało się, że w intonacji jego głosu odkryła niedostrzegalną prawie nutkę ironii.

7

„Odpocznę sobie...”

Pan Gruber spojrział na zegarek.

— Twój samolot odlatuje za dwie godziny, Helmuth. Wieczorem będziesz w Warszawie, a dokładnie o godzinie dwudziestej trzeciej trzydzieści, na pół godziny przed północą, masz znaleźć się... o, tu, po czym...

Odwrócił się i ukazał ogromne, perspektywiczne zdjęcie. Widoczna na nim była, znajdująca się na pierwszym planie, szosa, tuż za nią zarośla okryte śniegiem i rosnące przed wysokim, pałacowym murem. W głębi, nad krawędzią muru, widać było odległy dach i najwyższe okna pałacu w Borach, pośród ośnieżonych drzew.

— ...zgasisz silnik i reflektory. Nasz sprzymierzeniec spotka cię w tym miejscu. Nie wolno ci się spóźnić, bo zarówno jego bezpieczeństwo, jak i twoje, zależne są od tego. Weźmiesz od niego oryginał i wręczysz mu kopię, która w kilka minut później zawisnąć musi na ścianie biblioteki pałacu. Tu oto leży specjalnie skonstruowana walizka, która posłuży ci do przewiezienia kopii, a później do powrotu wraz z oryginałem.

Jutro rano odlecieś z Warszawy do Wiednia. A z Wiednia ktoś inny już przywiezie walizkę do Stuttgartu, gdzie wieczorem wręcę obraz naszemu klientowi. Sprawa jest absolutnie prosta, wszystko zostało ustalone w najdrobniejszych szczegółach i nie mogą zaistnieć żadne komplikacje. Bądź łaskaw zbliżyć się teraz do zdjęcia i pokazać nam miejsce, gdzie masz zatrzymać wóz.

Wysoki, młody człowiek wstał i zbliżył się do fotografii.

— Punktualnie o dwudziestej trzeciej trzydziści... o tu, szefie... Ze zgaszonymi wszystkimi światłami...

Z wolna przeciągnął palcem po odcinku szosy tuż przed bramą pałacową. Palec jego znieruchomiał...

Samochód zwolnił. Po lewej stronie, w świetle dogasającego dnia zimowego dostrzegli bramę pałacu. Padał gęsty śnieg, gnany porywistym wiatrem. Wycieraczki wozu pracowały ciężko, odmiatając w górę i w dół białe wachlarzyki kryształków lodu, spadających na przednią szybę.

— Bory przed nami — profesor Gawroński, który siedział obok kierowcy, odwrócił się i uśmiechnął ku Katarzynie. — Jeszcze dzień, dwa takiej śnieżycy i nie będziemy musieli się o nic kłopotać. Zasypie nas!

Czarna, ministerialna „wołga” skrzyła z lekkim poślizgiem, minęła wysoką, kamienną bramę o barokowym zwieńczeniu i misternej kracie, otwartej w tej chwili na oścież. Wjechali w długi, zasypywany śniegiem podjazd, ciągnący się pośród ogromnych drzew ku drzwiom wejściowym pałacu. Za drzewami po lewej stronie dostrzegli biały piętrowy budynek, a dalej niskie zabudowania dawnych czworaków. „Wicher przeleciał z wyciem ponad samochodem, zasłonił na chwilę pałac, unosząc ogromne tumany sypkiego, białego pyłu i ciskając je w mroczne paszcze dwóch kamiennych lwów, strzegących sieni.

„Wołga” zakrzyła raz jeszcze i zatrzymała się.

— Oto miejsce naszego przeznaczenia — powiedział profesor Gawroński.

Najprawdopodobniej ani on, ani żadna ze słuchających go osób nie zdawała sobie sprawy, że wraz z nimi Przeznaczenie wstąpi za chwilę do głębokiej, sklepionej sieni. Najbliższa przyszłość niosła im obrazy z owych koszmarnych snów, jakie czasem nawiedzają ludzi i z których budzą się krzycząc, złani zimnym potem.

Lecz na razie sen był przyjemny: padał śnieg, wiatr dął w szyby pałacu, a kiedy wysoki, siwy człowiek w narzuconym luźno na plecy kożuchu otworzył drzwi, wybiegł i wziął walizki, które kierowca wyjmował z bagażnika, wszyscy byli w jak najlepszych humorach. Wieczorek wyszedł i podał rękę wysiadającej Katarzynie, która uśmiechnęła się do niego.

— Śnieg... — szepnęła. Odpowiedziała lekkim przymrużeniem oka. Nie liczyli na urlop przed lipcem. A chociaż dla niej miało to być tylko ten wieczór, noc i poranek, była szczęśliwa oddychając świeżym, zimnym powietrzem i widząc wokół siebie olbrzymie, białe, bezlistne drzewa. Była na wsi. A Katarzyna Rogalska pochodziła ze wsi.

— To Gołos, dozorca nocny — powiedział Gawroński wskazując im plecy znikającego już na schodach człowieka, który niósł ich walizki. — Hej, panie Gołos, a gdzie to pan kustosz?

Człowiek zatrzymał się.

— Pewnie u siebie w gabinecie, panie profesorze.

Ruszył i zniknął na zakręcie schodów. Wszyscy troje poszli za nim ogromną, szeroką klatką schodową, po białych, marmurowych stopniach. Schody kończyły się na piętrze, wychodząc na wielki hall, z którego podwójne otwarte drzwi prowadziły najprawdopodobniej do sal muzealnych. Przechodząc Wieczorek dostrzegł długą amfiladę pokoi, na odległej ścianie błysnął obraz, bliżej załśniło szkło wielkiej szafy. Rozejrzał się. Hall był od sufitu do wysokości oczu zawieszony portretami mężczyzn i kobiet w strojach, które świadczyły, że obrazy przybywały tu w równych mniej więcej odstępach! czasu od około trzystu, a może trzystu pięćdziesięciu lat. Przy jednej ze ścian biegły w górę proste, palisandrowe schody o wysmukłej, prostej poręczy i niknęły w

otworze sufitu.

— Zjrzą najpierw do gabinetu kustosza — powiedział profesor — a państwo rozgośćcie się. Zaraz przyjdę i zapoznam was z gospodarzem pałacu. Panie Gołos! Pokaże pan państwu pokoje, dobrze?

Człowiek w kożuchu był już w połowie drewnianych schodów. Zatrzymał się i skinął głową. Gawroński pożegnał Katarzynę uprzejmym skinieniem głowy, wszedł w pół otwarte drzwi, obok których przeszedł przed chwilą Wieczorek, i zniknął, nie zamykając ich za sobą. Kapitan i Katarzyna ruszyli w górę.

Wieczorek głęboko wciągnął powietrze. Zapach umarłego świata, cisza, lekko skrzypiące, ciemne schody... Gdzieś w tym gmachu wisiał wizerunek czarnego króla, namalowany przed trzystu laty przez ubogiego malarza, który do końca życia walczył z długami i konkurencją przeciętnych, ale o wiele szybszych mistrzów pędzla, zaludniających tak gęsto jego ojczyznę. Teraz obraz ten wart był więcej, niż człowiek ów mógł zarobić pracując przez tysiąc lat bez wytchnienia. I przyciągał złodziei z końca świata, bo gdzieś w innym końcu świata był człowiek dość bogaty, żeby ich opłacić i dość bezwzględny, żeby zaprzagnąć go tylko dla siebie za wszelką cenę.

Wieczorek uśmiechnął się.

Powinienem być mu wdzięczny — pomyślał przelotnie. — Gdyby nie on, siedziałbym teraz przed telewizorem. Kiedy wracam z pracy, jestem tak zmęczony, że nie mam na nic ochoty, na nic zupełnie. Gapię się w telewizor i śpię z otwartymi oczami. A tu jest miło... Daj Boże, żeby ci złodzieje przyjechali za dwa, trzy tygodnie. Odpocznę sobie za wszystkie czasy...

Był „nie dokończonym” historykiem sztuki. Po trzech latach studiów zgłosił się do szkoły oficerów MO, po przeczytaniu ogłoszenia w którymś z dzienników. Był absolutnie zdziwiony, kiedy go przyjęto. Ale wiedział, że dobrze się stało. Niespokojny charakter nie pozwalał mu tkwić godzinami nad klasyfikacją waz greckich. Kryminalistyka pochłonęła go zupełnie. Mimo to, chcąc nie chcąc, pozostał wierny sztuce, bo wzmianka o nie

dokończonych studiach, która tkwiła w jego aktach personalnych, spowodowała, że z roku na rok powierzano mu coraz więcej spraw związanych z kradzieżami dzieł sztuki, z przemytem ich za granicę i łamaniem ustawy o ochronie zabytków. Dziś miał trzydzieści sześć lat i był specjalistą. Dlatego przysłano go tu. I dlatego był szczęśliwy. Urlop na terenie muzeum! Była to jedna z tych niespodzianek, jakie los tak rzadko zsyła ludziom.

Weszli na drugie piętro. Długi korytarz, który biegł z jednego końca gmachu na drugi, oświetlony był tylko słabymi żarówkami umieszczonymi w starych kutych latarniach, przerobionych na lampy elektryczne. Dawały one mglisty, łagodny blask, tak że krańce korytarza niknęły w półmroku.

— Tu będzie pokój pani — człowiek w kozuchu postawił walizkę Katarzyny przed pierwszymi drzwiami, potem przeszedł kilka kroków, minął następne drzwi i postawił walizkę Wieczorka przed trzecimi — a tu będzie pokój pana...

— A co jest pomiędzy nimi? — zapytała Katarzyna z lekkim niepokojem.

— Łazienka, ale te drzwi to zabili jeszcze za czasów księcia, bo się wchodzi do niej przez oba pokoje.

Cofnął się i wyczekująco spojrzął na kapitana, który po sekundzie wahania szybko sięgnął ręką do kieszeni i podał mu dziesięciozłotówkę.

— Dziękuję panu! — powiedział człowiek w kozuchu z godnością. Skłonił się w sposób, którego już nikt w Warszawie nie pamięta, i ruszył z wolna w dół po schodach.

Kiedy zniknął im z oczu, Katarzyna zasalutowała Wieczorkowi ręką do gołej głowy, ujęła energicznie walizkę i wmaszerowała do swego pokoju.

8 Święty Sebastian

Stefan Wieczorek postawi! przy drzwiach walizkę i ów płaski

neseser—futurał zawierający kopię Czarnego Króla. Przyjrzał mu się podejrzliwie. Futurał był bardzo niepolski, ogromnie elegancki, szary i posiadał narożniki z jasnobłękitnego zamszu. Kapitan westchnął. Zamszowe narożniki walizki wydały mu się nieco obrzydliwe.

Powoli podszedł do okna. Śnieg padał nadal, tak gęsto, że najdalsze drzewa alei podjazdu były niemal niewidoczne. Dzień dogasał. Czarna „wołga”, która przywiozła ich do Borów, wypłynęła bezgłośnie na podjazd i oddaliła się, malejąc i niknąc za firanką śniegu. Samochód minął bramę i przepadł za murem, skręcając na prawo w kierunku Warszawy.

Wieczorek patrzył przez chwilę w tamtym kierunku. Odprowadził oczyma wielki płatek śniegu. „Wołga” odjechała. Odczuł to tak, jak gdyby przerwano jedyną więź łączącą go ze światem zewnętrznym. Naokół było zupełnie cicho — jak gdyby pałac leżał pod wodą albo we wspomnieniu, nierzeczywisty pośród nieskończonej, miękkiej, rosnącej białej ciszy. A do Bożego Narodzenia było jeszcze ładnych parę dni.

— Klimat się chyba zmienia — mruknął kapitan, chociaż niewiele obchodziły go zmiany klimatu. Wzruszył ramionami, oderwał spojrzenie od podjazdu i odwrócił się od okna. Powoli zdjął płaszcz, cisnął go na wielkie łoże o rzeźbionych głowach, musnął dłonią drewnianą głowę amorka, wyzierającą spod krawędzi kapy, zapalił papierosa i stanął pośrodku pokoju rozglądając się. W narożniku, w pobliżu drzwi wyrastał olbrzymi, sięgający sufitu piec, wykonany z wielkich, prymitywnie wypalonych kafli, ozdobionych godłami herbowymi pod lśniącą, miejscami wyszczerbioną glazurą. Na ścianach wisiały dwa obrazy: jeden z nich, późnoflamandzki, przedstawiał scenę pasterską z owcami uciekającymi przed zbliżającą się burzą. Pod drzewem pasterz i dziewczyna, nie dbając o wichur, który wyginał potężne konary nad ich głowami, obojętni na los owiec, stali objęci, jaśni i pogodni na tle ciemnych chmur, nadbiegających ponad poszarpanym błyskawicami widnokrzem. Drugi obraz, najprawdopodobniej o wiele wcześniejszy, był spokojny i niemal idylliczny w porównaniu z pierwszym, chociaż

przedstawiał śmierć człowieka ginącego właśnie przed oczyma widza. Na tle wesołego, barwnego miasta, rozłożonego na malowniczych wzgórkach, święty Sebastian stał przywiązany do słupa. Półnagi święty był spokojny, niemal uśmiechnięty, a jego różowa gładka skóra miała barwę skóry niemowlęcia. W piersi, nogach, rękach i szyi stojącego tkwiły długie, pierzaste strzały, a w miejscach, gdzie groty ich przeniknęły w głąb ciała, wykwitwały jasne, czerwone strużki krwi. Ale Sebastian był szczęśliwy. Spoglądał gasnącymi oczyma ku górze i najprawdopodobniej widział już niebo otwierające się i ogromną światłość, spływającą ku niemu. Pierwszy odbłask tej światłości malował się już na jego twarzy. Za chwilę drgnie i uleci, jeśli nie on, to dusza jego, .drwiąc z pęt i ran.

Wieczorek mimowolnie cofnął się o krok.

Nie, to nie było złudzenie! Święty najwyraźniej drgnął!

— Co, do diabła!?!... — szepnęła kapitan.

Dopiero teraz spostrzegł, że wraz z obrazem zaczął się cofać z wolna wielki, prostokątny wycinek ściany. Odruchowo wsunął dłoń do bocznej kieszeni marynarki i czekał pełen napięcia.

Ukazał się wąski otwór, powiększający się z każdą sekundą. Były to drzwi!

Ukazała się w nich dłoń kobieca, potem głowa.

— Bałam się — powiedziała Katarzyna — że to pomyłka i te drzwi prowadzą nie do ciebie... To byłoby nawet zabawne, gdybym weszła do cudzego pokoju!

Weszła. Wieczorek spokojnie zamknął drzwi, naciskając rzeźbioną, drewnianą klamkę, którą teraz dopiero dostrzegł w boazerii.

— Zobacz... — wskazał jej ścianę i obraz.

Pokiwiała głową.

— Ładne! Okropnie lubię takie zamaskowane przejścia!

— A widziałaś już kiedyś coś takiego?

— Nie! — potrząsnęła zdecydowanie głową. — Ale sto razy wyobrażałam sobie. Przeczytałam chyba wszystkie książki kryminalne, do jakich mogłam się dorwać. W co drugiej jest coś podobnego.

Wieczorek otworzył drzwi na całą szerokość. Za nimi była

łazienka, wspaniała i staroświecka, z kolosalną wanną i zajmującym całą ścianę lustrem, w którym mógłby się przejrzeć z łatwością cały batalion wykąpanych nagusów. Dalej były otwarte drzwi do pokoju Katarzyny. Zajrzał tam i wolno wrócił do siebie, rozglądając się.

— Pięknie sobie mieszkamy... — powiedziała dziewczyna. Poglądziła kafle pieca. — Ale wszystko tu wydaje mi się na wyrost, jakby oni mieli po trzy metry wzrostu. — Uniosła zaciśniętą dłoń. — Gdzie ci to położyć?

— Co? — spojrzał na nią nie rozumiejąc. — Co tam masz?

— Ołówki, oczywiście. Przecież przyjechałeś tu pisać, prawda?

— Rzeczywiście. Zupełnie zapomniałem.

Roześmiał się.

— Och, nie musisz pamiętać o takich .drobiazgach — powiedziała ze śmiertelną powagą. — Masz przecież od tego kochającą żonę, która zna cię od lat i uprzedza każde twoje życzenie, zanim zdążysz je wypowiedzieć.

— To prawda... — Wieczorek zdecydowanie przytaknął ruchem głowy. — Jesteś prawdziwym skarbem. Mój Boże, ileż to razy tylko dzięki tobie nawiedzało mnie natchnienie... Nawet teraz, kiedy patrzę na twoją dziewczęcą, jakże lekką sylwetkę i spoglądam w twoje niewinne, kochające oczy, słyszę natychmiast szelest skrzydeł muzy ulatującej nad głową...

Katarzyna uniosła oczy. Potem wskazała palcem.

— Tak. Widzę ją. Pulchna, niebieskie oczy, żadnych znaków szczególnych.

— Nie przeszkadzaj... — powiedział niemal szeptem. — To już nadchodzi!... Jeszcze chwileczkę!... O, mam już! — Przymknął oczy: — „Litwo, ojczyzno moja...”

Klasnęła w dłonie z podziwem.

— Czy wymyśliłeś to w tej chwili?

— Wszystko napisałem tak jak do was gadam... — odparł Wieczorek skromnie. — A ty jesteś jak. zdrowie. Dziękuję za ołówki.

— Dziwne. Wydaje mi się, że nawet i to gdzieś już słyszałam...

— podeszła do okna. — Jesteśmy na drugim piętrze, prawda?

— Tak, wyżej już nic nie ma, tylko dach, a na dachu śnieg... — Stał obok niej. Kruk przefrunął ponad śniegiem, ważąc się nieruchomo na wielkich, czarnych skrzydłach. Ktoś zapukał cicho do drzwi.

Wieczorek odwrócił się na pięcie.

— Proszę!

— Można? — profesor Gawroński stał w progu, trzymając dłoń na klawce.

— Ależ prosimy!

— Jeżeli państwo już się rozgościliście prowizorycznie, chciałbym przedstawić was kustoszowi muzeum, panu Janasowi... — Wszedł do pokoju i zamknął drzwi za sobą. Zniżył głos. — Oczywiście powiedziałem, że jest pan literatem, ale Władek... to znaczy, kustosz Janas, jest takim dystraktem, że wątpię, czy dokładnie usłyszał, co powiedziałem...

— Błagam, nie eksponujmy zanedo tego tematu! — Wieczorek prosząco złożył ręce. — Sam pan chyba rozumie, panie profesorze, że podczas pobytu tutaj będę się czuł jak tancerka na linie. Każde pytanie na temat mojej twórczości będzie jak szarpnięcie tej liny.

— Oczywiście, oczywiście... — profesor zbliżył się do niego i skinął porozumiewawczo głową. — Chciałem tylko jeszcze o coś zapytać: nie mogłem tego zrobić w samochodzie ze względu na kierowcę, a później nie chciałem już wracać do tego tematu — ostatnie słowa wypowiedział oglądając się na drzwi i mówiąc tak cicho, że stojąca nieco dalej Katarzyna z trudem chwyciła sens tego, co mówił.

— Tak? Słucham pana? — Wieczorek mimowolnie pochylił się ku niemu.

— Widzi pan, chodzi przecież o tego Czarnego Króla Ribery... Urwał na chwilę i pokręcił głową z niezdecydowaniem.

— Proszę, niech pan mówi. Chyba tu nikt nas nie słyszy?

— Oczywiście że nie. Ale nie wiem, jak sformułować to moje pytanie. Nie chciałbym być nieuprzejmy.

— Nieuprzejmy? — kapitan uśmiechnął się lekko. — Zupełnie nie mogę sobie tego wyobrazić.

— Nie rozumie mnie pan. Ten Czarny Król to nie tylko chluba

galerii w Borach. To prawdziwe arcydzieło, obraz, w który ja na przykład mógłbym wpatrywać się godzinami i myśleć o nim bez względu na to, ile jest wart i jakie jest jego znaczenie w świecie uznanych dzieł sztuki... — znowu urwał. — Mam do niego niemal osobisty stosunek, jakby był kimś, a nie czymś. Rozumie mnie pan?

Kapitan bez słowa skinął głową.

— Nie chciałbym nawet dopuścić do siebie myśli, że ktoś niepowołany mógłby, chociaż przez chwilę, mieć ten obraz w ręce, a cóż dopiero ukraść go! Nawet gdyby obraz natychmiast odzyskano, mógłby zostać uszkodzony! W tej chwili kończę książkę o Riberze, a ten wspaniały obraz zajmuje w niej, oczywiście, bardzo ważne miejsce...

— Rozumiem... — Wieczorek w dalszym ciągu niewiele rozumiał.

— Bardzo się cieszę. Pytanie moje jest proste: chciałem zapytać, czy... czy ma pan dokładnie opracowany plan ochrony obrazu? Oczywiście nie chciałbym być niedyskretny. Milicja na pewno ma swoje sposoby, których nie chce przekazywać osobom postronnym. Ale usnę spokojnie dopiero wtedy, kiedy będę przekonany, że może pan zagwarantować absolutne bezpieczeństwo Trzeciego Króla.

— Hm... — Wieczorek zastanawiał się przez chwilę. Profesor patrzył na niego z rosnącym zdumieniem. Kiedy kapitan zaczął mówić, wyraz ten nie uległ zmianie. — Po to tu jesteśmy. Oczywiście, dołożymy wszelkich starań. Ale panie profesorze, nikt na świecie nie może niczego zagwarantować w takich sprawach. Jestem przekonany, że nic się nie może stać. Jesteśmy tu, wewnątrz, razem z personelem, który także przecież dba o zbiory. Muzeum jest zamknięte dla obcych, kraty macie solidne, instalacje alarmowe nowoczesne. Nikt z zewnątrz nie może wejść bez zaalarmowania nas. Nocą, jak mówią mi moje dane, gmach jest zamknięty niemal hermetycznie od wewnątrz, a na zewnątrz strzeże go dozorca nocny i groźny pies, który zaatakowałby każdego obcego. Czy myślę się?

— Nie, nie... — profesor skinął głową. — To wszystko prawda.

Ale czy to wystarcza?

— Nie widzę możliwości kradzieży w tych warunkach — Wieczorek rozłożył ręce. — Zresztą, jeżeli mam być szczerzy, w ogóle nie jesteśmy pewni, czy ktoś chce ukraść Czarnego Króla. To są tylko przypuszczenia na skutek pewnych informacji... — zawahał się. — Jesteśmy tu oboje tylko na wszelki wypadek. Komenda Główna nie ma prawa zlekceważyć otrzymanych informacji, ale zwykle na sto alarmów jeden bywa prawdziwy...

Uśmiechnął się i położył rękę na ramieniu uczonego.

— Niech mi pan wierzy, panie profesorze: zarówno pan, jak i my mamy rozbudzoną wyobraźnię, ale cudów nie ma. Złodzieje nie wchodzą kominem i nie wylatują poddaszem na miotłach. Tym niemniej gwarantować niczego nie można, ponieważ nie istnieje nigdy w tych sprawach nic pewnego... nic absolutnie pewnego. Zdarzały się już kradzieże nieprawdopodobne. Tajemnica niektórych z nich nie została dotąd wyjaśniona.

— Dlaczego w takim razie nie przewiezie się obrazu do Muzeum Narodowego w Warszawie? Tam byłby bezpieczny w magazynach za pancernymi drzwiami i pod stałą ochroną straży.

— Po pierwsze nie można by go było wiecznie trzymać w magazynach i w końcu zostałby ponownie wystawiony, bo jest zbyt znany, żeby mógł na długo zniknąć z ekspozycji. Wtedy wszystko zaczęłoby się od nowa i obawy pana byłyby takie same jak w tej chwili. A po drugie czy jest pan pewien, że obraz byłby bezpieczniejszy w Warszawie? Zwykłej kradzieży my także nie pozwolimy nikomu popełnić tu, w Borach, a jeśli chodzi o te niewytłumaczalne zagadki, o których wspomniałem, to w historii kryminalistyki można je policzyć na palcach. Taka kradzież może się zdarzyć równie dobrze tu, jak i w Warszawie. Nie, panie profesorze. Jeżeli zostaliśmy uprzedzeni, że ktoś chce obraz ukraść, lepiej jest pozwolić złodziejowi spróbować szczęścia. Nasza przewaga polega na tym, że jesteśmy ostrzeżeni, a on o tym nie wie.

— Ale... — Gawroński znowu urwał. Potem bez przekonania z wolna pokiwał głową. — Zapewne ma pan słuszność. W końcu to pańska specjalność, nie moja. Ale nie odpowiedział mi pan

na moje pytanie. Nie ma pan żadnego planu ochrony obrazu?

— I mam, i nie mam... — Wieczorek westchnął. — Jak powiedziałem panu profesorowi, dołożymy oboje wszelkich starań, żeby nie oddalać się z pałacu i czuwać nad całością wydarzeń. Ale przecież nie można nieustannie pilnować obrazu, bo wtedy złodziej... nie zechce go ukraść...

— Przeraza mnie pan! — powiedział Gawroński szczerze. — Przecież to jest właśnie to, czego się lękam!

— Zobaczymy, panie profesorze. Trochę zaufania do milicji, a zaraz usnie pan spokojniej, prawda?

— Zapewne... zapewne... — Gawroński ożywił się nagle. — Czy chcecie państwo zejść teraz i zapoznać się z kustoszem?

— Oczywiście! Gotowa jesteś? — Wieczorek zwrócił się do Katarzyny.

— Zaraz! Tylko się uczeszę...

Zniknęła w drzwiach łazienki, zamykając je cicho za sobą. Święty Sebastian powrócił na miejsce, przez chwilę kołysał się leciuteńko, potem znieruchomiał.

— Bardzo piękny obraz, o ile mogę osądzić z całą moją niewiedzą — Wieczorek podszedł do obrazu. — I bardzo wczesny. Wygląda na piętnasty wiek.

— A tak! Bardzo piękny... — Gawroński był jak gdyby roztargniony. Kapitan zauważył, że profesor z pewnym wysiłkiem poszedł za jego spojrzeniem. — Ale to kopia, oczywiście... Niezła nawet... Mantegna, wie pan. Oryginał jest w Luwrze. O wiele większy, prawie dwa metry. Postać jest wielkości naturalnej. A to wykonano sto lat temu. Pradziadek ostatniego właściciela pałacu lubił wizerunki śmierci. Nie było wtedy reprodukcji, trzeba było zrobić kopię, a właściwie miniaturę obrazu.

Ruszył powoli ku drzwiom. Wieczorek raz jeszcze zerknął na obraz. Nie lubił wizerunków śmierci.

9 „Zasłużony Hefajstos PRL...”

Przez chwilę stali obaj w milczeniu na korytarzu, który wydał się Wieczorkowi nieskończenie długi. Profesor odruchowo przygładził włosy i poprawił krawat, ale kapitan miał wrażenie, że Gawroński nie myśli w ogóle o tym, co robi w tej chwili. Wydało mu się nawet, że wargi profesora poruszyły się, jak gdyby powiedział coś do siebie. Najwyraźniej uczoney zauważył to, bo chrząknął głośno i roześmiał się:

— Pozostawiłem masę nie załatwionych spraw w Warszawie i przyłapałem się nagle na tym, że w tej chwili wydaję mojemu zastępcy dyspozycje, których nie zdążyłem wydać przed wyjazdem...

Ale śmiech zabrzmiał nieszczerze.

— Wszyscy jesteśmy potwornie przepracowani — powiedział Wieczorek, żeby coś powiedzieć. — Ale taki pałac chyba znakomicie działa na nerwy? Czy pan profesor ma zamiar długo tu zostać teraz?

— Czy długo? Kilka dni. Może krócej, jeżeli będę musiał wrócić. Nie wiem. Uciekam tu zwykle, żeby coś napisać. W Warszawie nie ma mowy o prawdziwej pracy. Telefony, rodzina... — rozłożył ręce beznadziejnym ruchem. — Ma pan słusność, w Borach już po jednym dniu zmieniam się w zupełnie innego człowieka. Przystaję być nerwowy, spaceruję po parku, odzyskuję apetyt. Sam pan się przekona, jak to działa na nas, ludzi z miasta. Poza tym architektura...

Wskazał oczyma korytarz, na krańcu którego odcinał się blade kontur okienka wypełniony szarym blaskiem zmierzchu.

— Wszyscy tu mieszkają: na tym piętrze jest szesnaście czy osiemnaście pokoi, część stoi pusta. — Przesunął ręką w powietrzu, jak gdyby chcąc podkreślić obecność dwu szeregów drzwi. — Ale ja mieszkam tam... — odwrócił się i wskazał drugi koniec korytarzyka, niknący za załomem muru. — Tam jest wieża, pozostałość po renesansowym zamku, który stał tu przed przebudową. Mury grube na półtora metra, nie dociera do mnie żaden dźwięk poza szumem drzew zza okna. Jest to

chyba jedyne miejsce na świecie, gdzie jestem naprawdę szczęśliwy...

Umilkł, jak gdyby zawstydzony nadmierną szczerością wobec niemal nieznanego człowieka.

— Przepraszam bardzo... — powiedziała zdyszana Katarzyna, wynurzając się z drzwi swego pokoju. — Zdaje się, że trwało to trochę dłużej, niż chciałam.

— Ale za to skutki wynagrodziły nam tych kilka chwil — profesor skłonił głowę. — Proszę tędy.

Wskazał im balustradkę, która w odległości kilkunastu kroków zwiastowała obecność schodów. Były to te same schody, którymi dostali się tutaj. Naprzeciw nich, niewidoczny niemal z korytarza, był szeroki, oświetlony rzędem wysokich okien hall. Zaczęli schodzić. O piętro niżej był drugi hall, położony tuż pod pierwszym, także zakończony balustradą, lecz z białego marmuru. W jednym miejscu otwierała się ona na szerokie marmurowe stopnie głównej klatki schodowej.

— Tędy weszliśmy — pomyślał Wieczorek i mimowolnie obejrzał się. Tymi stopniami z góry będą musieli dziś w nocy zejść tu, do marmurowego przedsionka, z którego otwierały się naprzeciw głównych schodów podwójne drzwi biblioteki. A w niej był Czarny Król!

Profesor zatrzymał się u podnóża schodów.

— Nie ma go tutaj... — westchnął. — Powiedział, że spotka nas za pięć minut, ale na pewno przeczytał się i zapomniał. Pójdę go poszukać, a państwo może tymczasem zaczekacie łaskawie w bibliotece?

Wskazał im ruchem ręki otwarte podwójne drzwi, a sam zaczął szybko schodzić w dół po marmurowych stopniach.

Wieczorek i Katarzyna stanęli pośrodku hallu. Kapitan przesunął oczyma po szeregach portretów zalegających ściany. Kilkadziesiąt twarzy patrzących obojętnie spod peruk i odsuniętych przyłbic. Portrety były nienadzwyczajne: sztuka dworska, jaką napotkać można ciągle jeszcze w setkach egzemplarzy: nudni wążacze i kobiety, o twarzach pełnych dostojnego osłupienia. Z pokrytego klasycystycznym malowidłem plafonu zwisał, jeszcze późniejszy, olbrzymi

świecznik.

— Tam jest... — Katarzyna za ledwie poruszyła wargami, ale wydało się jej, że słowa zabrzmiały jak grzmot w pustej sali. Mimowolnie zasłoniła usta ręką. Wieczorek ujął ją pod rękę i weszli do biblioteki.

Pokój był olbrzymi, biegł wzdłuż środkowej, poprzecznej osi pałacu i okna jego wychodziły na obie strony gmachu. Dziewczyna ze zdumieniem przesunęła oczyma po dwóch kolosalnych globusach, bardzo starych i przedstawiających mapy Ziemi i Nieba. Dalej pod ścianami stały dwa rzędy wielkich oszklonych szaf bibliotecznych, a nad nimi z rytmiczną regularnością biegły portrety europejskich głów koronowanych z przełomu osiemnastego i dziewiętnastego stulecia. Pośrodku sali stały dwa długie stoły, fotele i ogromna, obita purpurową skórą kanapa naprzeciw kominka, nad którym wisiał wizerunek założyciela pałacu.

Wieczorek uniósł brwi.

— Gdzie on może być? — szepnął. Jeżeli czarny monarcha Ribery był chlubą galerii muzeum w Borach, nie eksponowano go widocznie tak, jak na to zasługiwał.

Pozostawiając Katarzynę pośrodku pokoju, kapitan cofnął się niemal do ściany, chcąc objąć wzrokiem całą przeciwległą ścianę. Dotknął plecami jakiegoś twardego przedmiotu i odwrócił się szybko.

Ów twardy przedmiot była to wystająca krawędź ramy obrazu. A obrazem tym, niemal ukrytym za ostatnią na skraju szafą, był

Trzeci Król.

— Zobacz!... — skinął na Katarzynę.

Podeszła, idąc cicho po puszystym dywanie. Przez chwilę stali oboje zupełnie nieruchomo. Potem spojrzeli na siebie i wymienili leciuteńkie uśmiechy.

— Jest zupełnie taki sam jak nasz... — szepnęła ledwie dosłyszalnie Katarzyna. Mrugnęła porozumiewawczo i ścisnęła rękę stojącego przy niej mężczyzny.

— Chodźmy... — powiedział Wieczorek. Nie należało

interesować się zanadto Królem. Ruszyli, rozglądając się, ku następnym drzwiom, także podwójnym, ale zamkniętym w tej chwili. Wieczorek po krótkim wahaniu nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły łatwo z głośnym skrzypnięciem.

Uchylił jedno ze skrzydeł. Zajrzeli.

Pokój, który mieli przed sobą, był chyba równie wielki jak biblioteka. Sądząc po dwu pogodnych amorkach zdobiących supraport drzwi w ą przeciwległej ścianie, musiał on mieć kiedyś inne przeznaczenie niż to, które spełniał w tej chwili. Najwyraźniej został stosunkowo niedawno obrócony na zbrojownię. Pod ścianami stało kilka zbroi, a na wprost drzwi prowadzących z biblioteki wisiały ukośnie rzędem smukłolufe arkebuzy. Wieczorek uniósł głowę. Tuż przed sobą, po obu stronach drzwi zauważył dwie rury stalowego rusztowania, a podłoga sali była do połowy wyłożona grubymi płytami tektury.

Katarzyna weszła pierwsza.

— Tu pewnie przeprowadzają ten remont... Popatrz na te halabardy! A co to jest? — wskazała miejsce pomiędzy oknami.

— To łuki? Nie, bo nakręcane...

— To nie łuki, proszę pani! — zagrzemiał nagle nad nią basowy, głęboki głos i odbiwszy się potężnym echem o sklepienie, ucichł. Odwrócili się oboje jak na komendę i zadarli głowy. — To kusze! Można z nich było dwóch ludzi przebić i jeszcze trzeciego w nos połaskotać!

Nad nimi, na rusztowaniu, dotykając niemal głowami sufitu, stało troje ludzi w białych, ale bardzo brudnych kombinezonach. Z pewnym zdumieniem kapitan zauważył, że jedną z tych osób była wysoka, młoda kobieta, na pierwszy rzut oka bardzo ładna i mająca głowę szczelnie obwiązaną błękitną chustką, jak gdyby pod stropem nie było ciepło, ale panował tam wielostopniowy mróz. Za stojącymi wyłaniały się spoza pasma oskrobanego tynku fragmenty kwietnego fresku z medalionami, zawierającymi uwieńczone profile kobiece.

Wszyscy troje, oparci o poręcz rusztowania, patrzyli na stojącą w dole parę, jak gdyby widok ludzi w tej sali dziwił ich ogromnie.

— Dzień dobry! — Katarzyna skłoniła głowę ku posiadaczowi

głębokiego głosu. — Dziękuję za informację. Może się okazać bezcenna. Odtąd nie będę się chowała za nikim, widząc złego człowieka z kuszą.

— Dzień dobry państwu!

Ale odpowiedź ta nie pochodziła od stojących na rusztowaniu. Tymi samymi drzwiami, którymi przed chwilą weszli Katarzyna i Wieczorek, wszedł teraz do zbrojowni profesor Gawroński, a tuż za nim wysoki, szczupły człowiek o ascetycznej twarzy, której ostre rysy złagodzone były nieco wyrazem oczu, uśmiechniętych, szarych i jak gdyby wiekuiście zmęczonych.

— To właśnie jest pan Janas, kustosz i gospodarz tego muzeum — powiedział profesor. — A to państwo Wieczorkowie. Pan Wieczorek jest poetą...

Kustosz podał rękę Katarzynie i natychmiast spojrzenie jego prześliznęło się na twarz kapitana.

— Bardzo nam będzie miło, że państwo...

Nie dokończył.

— Poeta! — huknęła przerażony bas. — Jezus Maria! Słyszycie? Będzie nam deklamował te rzeczy i pytał skromnie, czy są dobre!

Wieczorek uniósł ku niemu głowę i roześmiał się tak szczerze, że nikt nie mógł mieć wątpliwości, jak przyjął tę uwagę.

— Nie ma obawy! Jeszcze nigdy w życiu nie deklamowałem moich wierszy. Mogę panu dać na to słowo honoru! — dodał z przekonaniem. — Nie pozwalam nawet nikomu mówić o nich w mojej obecności.

— Bogu najwyższemu niech będzie chwała! — Bas uniósł ręce, wypuścił przy tym służącą za oparcie rurę i omal nie runął na głowy stojących.

— Jak widzę, znacie się już państwo! — Kustosz uśmiechnął się i Wieczorek pomyślał przelotnie, że podoba mu się uśmiech tego człowieka. — Ale na pewno formalnej prezentacji jeszcze nie było. Może zacznę od góry... — I udając głos zawodowego przewodnika, zalecającego dokładne przyjrzenie się eksponowanym dziełom sztuki, wyrecytował:

— Oto bezcenna trójka malarzy-konserwatorów z Warszawy, których profesor Gawroński zesłał nam tu łaskawie przed czterema miesiącami dla przywrócenia dawnej świetności freskom ukrytym dotychczas pod powłoką ordynarnego tynku! — Zmienionym, naturalnym głosem dokończył: — Jak przystało na prawdziwych konserwatorów, pracują solidnie, spokojnie i powoli, co oczywiście uniemożliwia wycieczkom zwiedzanie muzeum, ale w zamian za to umożliwia nam odpoczynek i zajęcie się pracą naukową... Panna Małgorzata Sądecka, pan Jerzy Marczak — wskazał właściciela basowego organu głosowego — i pan Witold Ziętara... A to są państwo Wieczorkowie, czyli poeta i natchnienie poety.

— Pięknie powiedziane, szefie, ale późno już — panna Sądecka wyprostowała się. — Może pracujemy powoli i solidnie, ale nie więcej niż osiem godzin! Fajrant, panowie!

I przewinęła się przez rurę na zewnątrz. Wieczorek odruchowo cofnął się o krok, ale dziewczyna skoczyła w dół tak lekko, jak gdyby miała nad sobą spadochron. Odbiła się leciuteńko palcami od podłogi, wyprostowała, rozwiązała chustkę i potrząsnęła głową. Długie, jasne włosy rozsypały się w nieładzie.

— Przepraszam bardzo — powiedziała śmiejąc się i błyskając nieprawdopodobnie białymi zębami, które wydawały się jeszcze bielsze na tle jej okrytych ciemnym pyłem policzków — że się nie witam, ale poplamiałabym wszystkich dokoła. Uciekam do siebie. Kolacja wcześniej dzisiaj, prawda? — zwróciła się do kustosza.

— Tak — Janas nadal uśmiechał się. — Sobota. Trzeba zwolnić personel.

Z góry opadła stalowa drabinka sznurowa. Najwyraźniej obaj mężczyźni nie chcieli pójść za przykładem koleżanki. Zaczęli schodzić.

— Sobota! — powiedział młodszy z nich, którego kustosz przedstawił jako Witolda Ziętareę. — To znaczy: kominek po kolacji! Drzewo jest już na górze.

Marczak, starszy z malarzy, zaczął powoli schodzić po drabince. Wieczorek natychmiast dostrzegł, że schodzący ma

sztywną nogę. Była wyprostowana w kolanie i najwyraźniej nie mógł jej zgiąć. Kiedy znalazł się na podłodze, sięgnął po stojącą za drzwiami grubą laskę z gumowym zakończeniem i kołysząc się, wsparty na niej, podszedł ku stojącym.

— Trzeba będzie panią oddać na przeszkolenie do Wilczkiewicza! — powiedział wskazując oczyma Katarzynę. — Zapytała pani, wchodząc tutaj, co to za nakręcane łuki? Zwariowałby chyba biedaczek, gdyby usłyszał!

— W życiu nie widziałam niczego podobnego! — powiedziała szczerze Katarzyna, wskazując wiszące na ścianie kusze. — Ale pan mnie natychmiast oświecił — zwróciła się ku Wieczorkowi. — Na pewno skompromitowałam cię na wieki. Pisać poemat historyczny w ośmiu księgach z prologiem i mieć żonę, która nie odróżnia kuszy od łuku to hańba, prawda?

— Przysiągłem przecież kiedyś, że nie opuszczę cię nawet w najtrudniejszych chwilach życia... — Wieczorek objął ją lekko ramieniem i zaraz opuścił rękę.

— Ba! — Gawroński uśmiechnął się. — Nigdzie nie dowie się pani o kuszach tego, co u nas! Kusze to w pewien sposób specialité de la maison w Borach. Mamy tu nawet mały, własny zakład produkcyjny. Załoga jest jednoosobowa, stanowi ją pan Wilczkiewicz, zastępca kustosza i zbrojmistrz nadworny muzeum. Jest on jednocześnie projektantem, stolarzem, strzelcem, kowalem i monterem. Sam produkuje repliki starych kuszy, które rozsyłamy potem po kraju. Mamy masę zamówień, bo oryginalne kusze niemal już nie istnieją. Wilczkiewicz napisał zresztą o nich książkę: pięćset bitych stron druku, plus ilustracje wykonane własną jego ręką! Nawet w tej chwili, zdaje się, urzęduje w lochach zamkowych.

— Zasłużony Hefajstos PRL! — powiedział Ziętara z lekką ironią, która nie uszła uwagi kapitana.

— Nazywamy miejsce, w którym pracuje, „kuszarnią” — kustosz wskazał palcem podłogę. — Ma tam swój podziemny poligon i warsztat. Ponieważ mamy zamiar pokazać państwu całe nasze księstwo, więc chyba zajrzemy i tam, jeśli państwo zechcą...

— Oczywiście! — powiedziała Katarzyna z entuzjazmem. — A

jutro okaże się, że jestem jedną z nielicznych kobiet w Polsce, które wiedzą wszystko... to znaczy więcej niż inne kobiety — o kuszach!

Nie wiedziała, jak złowieszczego brzmienia nabiorą jej słowa po kilku godzinach.

10

Ostry świst...

Z ogromnej, beczkowatej sieni pałacu prowadziły niskie, ostro sklepione odrzwia w dół. Kustosz otworzył ciężkie, okute drzwi z ciemnego dębu.

— Pójdę pierwszy, tu jest trochę stromo...

Ruszył przodem, a inni zaczęli schodzić za nim po mrocznych, kamiennych stopniach, rozjaśnionych tylko nikłym blaskiem żarówki zwisającej na sznurze. Schody zakreśliły raz, potem drugi i przed idącymi otworzył się podziemny korytarz, oświetlony w oddali drugą żarówką, która wydawała się bardzo daleka. Poszli w jej kierunku. Idąc, Katarzyna potrąciła o zwisający ze ściany potężny, zardzewiały łańcuch, którego przeznaczenia nikt zapewne nie umiałby już określić.

— Zupełnie jak w bajce... — szepnęła do Wieczorka, rozglądając się ciekawie.

Gawroński, który szedł ostatnią usłyszał i dodał:

— Jak w bajce o bazyliżku. Można by w tych lochach trzymać nawet sporego smoka.

Umilkli. Korytarz odbijał głucho odgłos kroków i echo odbiegało w daleki półmrok, powracało i gasło pod lśniącym wilgocią półkolistym stropem. Minęli okratowane drzwi, prowadzące do pogrążonego w ciemności pomieszczenia.

— Skład koksu — powiedział Janas. — Kiedyś trzymano tu nieposłusznych chłopów z okolicy.

Zatrzymał się i położył palec na ustach. Przystanąłi.

Po prawej stronie były uchylone drzwi. Wieczorek zajrzał ponad ramieniem kustosa, wyciągając szyję. Zobaczył niski i

rozległy loch, a raczej salę, która kiedyś musiała być chyba składem win, bo w bocznych ścianach widniały w murze okrągłe wielkie wgłębienia, które służyły prawdopodobnie za oparcie ogromnym beczkom. Sala oświetlona była dwoma silnymi lampami i najwyraźniej przeprowadzono tu przewód centralnego ogrzewania, bo z otwartych drzwi napływała do korytarza fala ciepła.

Ktoś dotknął ramienia kapitana. Katarzyna wśliznęła mu się pod ramię i także zajrzała. Ku swemu zdumieniu zobaczyła, że na najbardziej oddalonej od drzwi ścianie, która obita była od góry do dołu deskami, wymalowano białe jak duchy sylwetki* naturalnej wielkości: rycerza na koniu i z kopia w dłoni, pędzącego jelenia oraz dwu pieszych ludzi, jednego w szerokim kapeluszu z piórem, trzymającego w ręce muszkiet, i drugiego, biegnącego do natarcia z dzidą pochyloną ku przodowi.

W tej samej chwili rozległ się ostry, przenikliwy świst i krótki pierzasty bełt utkwił dokładnie tam, gdzie powinno było znajdować się oko w głowie konnego rycerza.

— Znakomicie! — powiedział z głębokim przekonaniem suchy, dobitny głos. — Znakomicie! Nie odchyła ani o włos!

Kustosz zapukał lekko i wszedł.

— Przyprowadziłem ci gości, Karolu.

Otworzył szeroko drzwi. Zobaczyli niskiego, łysego człowieka w czarnych spodniach i czarnym, okrywającym szyję swetrze. W rękach trzymał kuszę i wpatrywał się w ugodzoną sylwetkę na ścianie. Z wolna zwrócił głowę w kierunku stojących na progu ludzi i dopiero wtedy dostrzegli wyraz jego oczu. Oczy te były czarne, lśniące i fanatyczne jak oczy wędrownego mnichakaznodziei w wiekach średnich. Po chwili światło ich przygasło.

— Proszę! Bardzo proszę... — powoli przełożył kuszę do lewej ręki, opuścił ją i, jak gdyby przypominając sobie, że przecież do pracowni weszli obcy ludzie, nazbyt żywo ruszył ku drzwiom.

— Państwo przyjechali do nas przed godziną na parutygodniowy pobyt — powiedział kustosz. — Pan Wieczorek jest poetą i ma zamiar zebrać u nas nieco dokumentacji historycznej do poematu, który chce napisać. Pomyślałem, że w tych okolicznościach będziesz zadowolony mogąc państwu

pokazać swoją „kuszarnię”. Dlatego tu jesteście.

— Ależ oczywiście, oczywiście! Jestem zaszczycony... — urwał na chwilę, jak gdyby szukając słów, uniósł swoją kuszę i opuścił ją znowu prędko. — Bory to prawdziwa kopalnia najrozmaitszych rodzajów dokumentacji historycznej, jeżeli tylko ktoś zada sobie nieco trudu, żeby poznać nasze zbiory i archiwum! Pan Wieczorek, prawda? Dobrze usłyszałem?...

Stefan skłonił głowę. Wilczkiewicz jeszcze raz spojrzął na kuszę szukając ratunku. Uniósł głowę.

— Oczywiście! Czytałem! No tak... Bardzo piękne są te pana utwory... Bardzo piękne!... — znowu urwał i nagle z wylaniem potrząsnął dłonią skamieniałej z wrażenia Katarzyny, a potem ujął rękę kapitana. Uścisk jego dłoni był nadspodziewanie silny. — I będzie pan zapewne zbierał informacje dawnej broni? Jeśli chodzi o te sprawy, jestem przez dwadzieścia cztery godziny na dobie do dyspozycji. Może mnie pan nawet obudzić o północy i pytać, o co pan zechce. Przyjechał pan do właściwego miejsca w naszym kraju, jeżeli szukał pan informacji tego rodzaju. Nigdzie indziej nie miałby pan okazji zobaczyć, jak nasi przodkowie razili wrogów!

Szybko cofnął się, podniósł z ziemi płócienny, oparty o nogę stołu kołczan wypełniony bełtami o pierzastych drzewcach, wyrwał jeden z nich, ułożył w kuszy i naciągnął mechanizm, który odpowiedział cichym zgrzytem. Błyskawicznie wymierzył.

Świst był ostry i przenikliwy jak krzyk konającego ptaka. Wieczorek zaledwie zdążył oczyma za uciekającym pociskiem. Grot utkwił precyzyjnie w miejscu, gdzie czerwoną farbą, a może szminką ktoś wymalował serce człowiekowi biegnącemu z pochyloną dzidą.

— No, proszę! Tak właśnie to wyglądało! — W suchym głosie zastępcy kustosa brzmiała nieklamana duma. — Jest to nowa kusza. Właśnie ją wypróbuję.

— Tylko nie zapomnij o kolacji — powiedział Janas. — Chcemy cię widzieć za kwadrans na gorze, bez kuszy, oczywiście!

— Będę punktualnie za kwadrans! — Wilczkiewicz ponownie sięgnął do kołczanu.

Już za drzwiami usłyszeli świst i tępe uderzenie beltu w deskę.

Wynurzyli się kolejno ze schodów i Katarzynie, która szła pierwsza, wydało się, że jest tu bardzo widno i przytulnie, chociaż dwie wiszące pod stropem latarnie dawały więcej nastroju niż światła. W ciemności, za oszklonymi, okratowanymi misternie, ale potężnie, drzwiami wejściowymi wył wicher uderzając w szyby. Zadymka rosła najwyraźniej z każdą godziną. Świst zawiei zdawał się przelatywać przez pałac, chociaż powietrze wewnątrz było ciepłe i spokojne. Zaczęli wchodzić po szerokich marmurowych stopniach głównej klatki schodowej, prowadzących do hallu na wprost drzwi sali bibliotecznej.

— Jakże się pani u nas podoba? — zapytał Janas. — Ja dziś tego może już tak nie odczuwam, po dwudziestu latach pobytu, ale ktokolwiek przebywał tu chociaż przez kilka dni, zwykle powraca do Borów, bo podobno nasz pałac „wchodzi w krew”.

— Na razie wszystko wydaje mi się trochę niesamowite... — dziewczyna uśmiechnęła się. — Ale już teraz zaczynam wierzyć, że kiedy tylko wyjadę, na pewno będę chciała tu wrócić i...

Urwała. Znajdowali się na wprost biblioteki. Rozległ się ostry huk i przez półotwarte drzwi błysnęła wielka jasność, która natychmiast przygasła.

— A cóż to takiego?

Janas szybko podszedł do drzwi. Wieczorek dopędził go i weszli niemal razem. Zobaczyli stojący na statywie aparat fotograficzny, a obok niego ładną, smukłą i ciemną młodą kobietę, której kapitan dotąd nie spotkał. Stała z wyrazem przerażenia na twarzy przed wizerunkiem Czarnego Króla, wpatrując się w biały obłoczek dymu, rozwiewający się ponad dywanem.

— Lampa mi eksplodowała — powiedziała bezradnie, zwracając się ku wchodzącym. — To już szósta w tym miesiącu. Trzeba będzie zadzwonić w poniedziałek do Warszawy, żeby przysłali nowy zapas.

— Bój się Boga, Wandziu! — Kustosz pochylił się i podniósł półokrągły kawałek szkła. — Za kwadrans kolacja, a ty

rozstawiasz aparat!

— Pan profesor prosił mnie o zdjęcie tego króla Ribery. Nie mamy ani jednego wielkiego zbliżenia na bardzo drobnym ziarnie. Chciałam zrobić teraz, a po kolacji wywołać i powiększyć, żeby było gotowe na rano.

— Och, nie zależało mi tak bardzo na pośpiechu... — Gawroński mimowolnie spojrzął na Wieczorka i szybko odwrócił wzrok. Kapitan zauważył to spojrzenie kątem oka, chociaż przyglądał się w tej chwili z wyraźnym zainteresowaniem dziewczynie i jej przyborom.

— Nie martwcie się! W końcu to naprawdę nic pilnego... — kustosz znowu pochylił się i podniósł jeszcze jeden kawałek zbitej żarówki.

— Ja sama posprzątam! — powiedziała prędko dziewczyna.

— Pomożemy pani! — Gawroński uśmiechnął się do niej serdecznie. — Właściwie to ja powinienem posprzątać, bo to pośrednio moja wina. Ale państwo się przecież jeszcze nie zdążyli poznać, prawda? To jest panna Wanda Szczęśniak, sekretarka muzeum i główny, jedyny archiwista Borów.

Szczęśniakówna z wyraźną nieśmiałością przywitała się z Katarzyną, a kiedy Wieczorek pocałował ją w rękę, zaczerwieniła się.

— Właśnie z panią i z docentem Wilczkiewiczem gospodarujemy tu we trójkę — powiedział kustosz. — Wandziu, pospiesz się teraz, kochanie, bo trzeba wcześniej zwolnić służbę po kolacji, zamknąć gmach, sprawdzić wszystko i rozpalić w kominku.

— Zapomniałam zupełnie, że dziś sobota... — Wanda podeszła do statywu i zaczęła odkręcać aparat. — Znowu sobota... Jak ten czas leci... — Uśmiechnęła się nieśmiało i znów zaczerwieniła. Spojrzała na Gawrońskiego.

— Chyba rzeczywiście będziemy musieli poczekać do wtorku z tą fotografią, panie profesorze. Bez tysiąca watów nie wyjdzie tak wyraźnie, jakbym chciała.

— Tak... — Gawroński podszedł do obrazu i przyjrzał mu się uważnie. — Potrzeba tu co najmniej tysiąc watów...

W półmroku, pośród wycia wichury, dobiegającego spoza

drżących leciuteńko i melodyjnie szyb, oblicze Czarnego Króla zdawało się jaśnieć wewnętrzną, łagodną światłością.

11

„Usłyszałem dzwonienie owo złowieszcze...”

Kolację jedli w wielkiej, białej sali na parterze, która kiedyś służyła biesiadującym rzeszom, a teraz, kiedy jadła w niej niewielka grupka ludzi, mówiących przyciszonymi głosami, przytłaczała ogromem tak, że Wieczorek czuł się podczas posiłku jak mysz ogryzająca kawałek sera nocą pośrodku katedry.

Wstając od stołu, kustosz podniósł nieco głos:

— Prosimy wszystkich państwa na górę. Zgodnie z tradycją, tym razem już tylko naszą, nie książęcą, w każdą sobotę wieczorem rozpalamy w kominku bibliotecznym. Pracownicy fizyczni mają wolne do poniedziałku rano, ale zawsze jakoś sami dajemy sobie radę. Prawda, panie Witku?

Młody malarz Ziętara skinął głową, ostrzyżoną niemal do gołej skóry.

— Oczywiście, generale! Ale niepotrzebnie pan to mówi. Drwa i bierwiona — jak określali pańscy nieodżałowani książęta, drzewo na opał — są już złożone przy kominku. Przyniosłem je rano z drewni. Powinniście zrobić coś z tym przeklętym psem. On tu jest uwiązany za dnia i podszedłem niechęć na odległość łańcucha. Zdążyłem uskoczyć, ale gdybym nie zdążył... Jezu Chryste! — w głosie jego brzmiało absolutne przerażenie. — Ten kundel rozszarpałby mnie na szmaty! Nie wiem, jak się to dzieje, że nie zagryzł jeszcze nikogo?!

— Jesteś ty sobie cudo, mój Witeczku! — panna Małgorzata Sądecka pokiwała jasną główką, doprowadzoną w zdumiewający sposób w tak krótkim czasie do wyglądu „wieczorowego”. — Zwierzęta, tak jak mężczyźni, oswajają się stosunkowo łatwo, ale nie znoszą obcych. Kobiety nie mają

tego poczucia obcości w stosunku do nikogo...

— Może tylko troszeczkę... do innych kobiet? — powiedział Wieczorek. — Ale to zapewne nie jest reguła. Nie chciałbym powiedzieć nic ujemnego o tak dobrej, słabej i małej połowie ludzkości.

— To jest reguła, proszę pana! — Małgorzata roześmiała się. — Ale to wy, poeci, nauczyliście ludzkość czcić i szanować w kobiecie sto cech, których w ogóle nie posiadamy. A my wcale nie jesteśmy ani dobre, ani słabe, ani miłe, ani płochliwe.

— ...a w końcu dojdziemy okrężną drogą do tego, co powiedziałaś przed chwilą o mężczyznach — Ziętara rozłożył ręce. — Kobiety to dzikie zwierzęta, podobnie jak mężczyźni, z tą małą różnicą, że nie mają instynktownej niechęci do obcych.

— Fakt! — mruknął Wilczkiewicz.

— Pięknie określicie państwo nasz gatunek. — Kustosz ruszył z wolna ku drzwiom i zatrzymał się, otworzywszy je na całą szerokość. — Dobrze, że nie zdążyliście porozmawiać o dzieciach.

— Dzieci! — Marczak wzruszył ramionami. — Mam czworo dzieci. Dwóch synów i dwie córki: to po prostu mali mężczyźni i małe kobiety. Kiedy patrzę na nich, wydaje mi się, że wiem, jak będą wyglądali i co będą mówili za czterdzieści lat, chociaż mam nadzieję, że nie dożyję tego dnia!

— Ale przyznacie panowie chyba, że pracować umiemy lepiej, spokojniej i wytrwalej niż mężczyźni? — powiedziała Małgorzata.

— Wielki, jedyny Boże... — Ziętara westchnął. — Na to daliśmy im równouprawnienie, żeby nas poniżały przy pracy nawet w ślicznych, zaspanych śniegiem pałacach na końcu świata, gdzie wydawałoby się, że człowieka nie może nic złego spotkać."

— Wszędzie człowieka może spotkać coś złego... — powiedział sentencjonalnie Marczak, a głos jego odbity od sklepienia powrócił głębokim echem. Zamilkli wszyscy na chwilę. Malarz ruszył ku drzwiom, kołysząc się na swej sztywnej nodze i zatrzymał, żeby przepuścić Katarzynę, Wandę Szczęśniak i Małgorzatę. — Ale trzeba się starać, żeby nie było tego złego,

które by nie wyszło na dobre. Nasza Małgosia, na przykład, ma wrodzony talent do pracowania z rękami wyciągniętymi ku górze. A ja tego nie-na-wi-dzę! Rozumiem Michała Anioła, że malował Sykstyne leżąc na wznak na rusztowaniu. Wydawało mu się pewnie, że stoi i maluje normalnie. Dlatego, jak powiedziałem, nawet z kobiety może być wielka korzyść, jeżeli się odpowiednio podejździe do podziału obowiązków i radości w życiu.

— Ale może mamy trochę za mało radości i za wiele obowiązków? — Wanda Szczęśniak uśmiechnęła się do niego. Mówiła cicho i miała bardzo piękny, niski głos.

Dopiero teraz Wieczorek uświadomił sobie, że nie odezwała się ani jednym słowem w czasie kolacji. Uniósł głowę i napotkał spojrzenie Katarzyny, która obejrzała się wychodząc z sali jadalnej. Zrozumiał znaczenie ukryte w wyrazie jej oczu. Ona także zauważyła, że słowa Szczęśniakówny były wypowiedziane z większym naciskiem, niżby mogło wynikać z tak lekkiej, nieobowiązującej wymiany zdań. Były wypowiedziane zapewne do kogoś, kto miał je zrozumieć inaczej niż pozostali. Ale do kogo? Może po prostu do kustosza? Był przecież jej zwierzchnikiem. Może miała zbyt wiele pracy i za mało wypoczynku?

Ale wychodząc za innymi, mijając ciemny, niewielki hall łączący jadalnię z sienią, a potem wchodząc po szerokich, marmurowych stopniach, prowadzących ku bibliotece, kapitan nadal miał niejasne uczucie, że słowa te posiadały ukrytą treść. Ale po chwili zapomniał o tym. W końcu .było to tylko nie znaczące zdanie, nie miało ono żadnego powiązania z zadaniem, które go tu sprowadziło, a zresztą mógł zupełnie fałszywie interpretować sposób wyrażania się osoby, której przecież wcale jeszcze nie znał. Nikt inny nie zwrócił na to uwagi.

Marczak szedł ostatni. Idąca przodem Katarzyna słyszała wyraźnie stuk, stuk, stuk, stuk jego laski, którą pomagał sobie zręcznie przy wchodzeniu, drugą ręką chwytając za poręcz marmurowej balustrady. Kustosz wyminął ich w połowie schodów, wszedł pierwszy i zapalił światła, a kiedy zasiedli

półkolem przed kominkiem i Ziętara przytknął zapalną do jakże prozaicznej gazety, którą umieścił pośród żywiczych szczapek podpalki, Janas wstał, przekręcił kontakt i sala biblioteczna zatonała w mroku. Siedzieli wszyscy przez chwilę w milczeniu, patrząc w rosnące, migotliwe języki ognia.

Ile razy Stefan Wieczorek wspominał później tę upiorną noc i to wszystko, co w myśli nazywał: Tragedią Trzeciego Króla — zawsze powracał właśnie do tej chwili, kiedy nic się jeszcze nie zaczęło dziać, kiedy wszystko nadal było możliwe, a przebieg wydarzeń kryła przyszłość, dająca się przecież kształtować, jeżeli wie się, że... Zastanawiał się później, czy wypadki potoczyłyby się inaczej, gdyby...

Ale tego, co nastąpiło, nikt nie mógł przewidzieć: łańcuch działań ludzkich był tak powikłany, prawda tak nieprawdopodobna i tak bardzo przekraczająca chłonność wyobraźni normalnego człowieka, że nie tylko przewidywanie, ale nawet samo rozwikłanie sprawy, odtworzenie biegu wypadków i wskazanie palcem mordercy wydawało się przez długi czas niemożliwe. Później zrozumiał nagle, że wszystko to było straszliwie proste. Nawet poszczególne słowa poszczególnych ludzi ułożyły się później w jasne zapowiedzi nadchodzącej tragedii. Tak, później to wszystko wydawało się łatwe do powstrzymania. Ale trzeba było, aby on albo Katarzyna zrozumieli to, co się działo naokół nich, gdy siedzieli wszyscy półkolem wokół ogromnego bibliotecznego kominka, pałacu w Borach.

Ale w owej chwili nawet morderca nie przewidywał jeszcze tego wszystkiego, co musiało nadejść. A ofiara? Ofiara była w doskonałym humorze. A druga osoba, której śmierć wydała się mordercy, być może, jeszcze bardziej konieczna? Ta druga osoba nie podejrzewała nawet, że ktokolwiek może źle jej życzyć.

Ogień na kominku rósł. Blask jego rozjaśnił oblicze Czarnego Monarchy, zapalił jasne, migotliwe płomyki na misternych wygięciach złocistej ramy i — przygasając na chwilę — zanurzył ścianę wraz z obrazem w cieniu.

Zagłębiając się w miękkim fotelu Wieczorek patrzył spod

przymrużonych powiek w twarz Trzeciego Króla i leniwie zastanawiał się, czy przyjazd do Borów w ogóle miał jakikolwiek sens. Najprawdopodobniej nic się nie stanie. Cała sprawa oparta była na przypuszczeniach, a zresztą dzisiejszej nocy on i Katarzyna zdejną ze ściany ten obraz, zawieszą kopię i od tej chwili wszystko ograniczy się do czujnej obserwacji i oczekiwania na przybycie złodzieja, który może się nigdy nie pojawić. Wieczorek westchnął. Miał o sobie dość wysokie mniemanie, rozwiązał w czasie swej dziesięcioletniej kariery kilka naprawdę trudnych problemów kryminalnych i mógł traktować obecne zadanie w najlepszym razie jako nadliczbowy urlop ofiarowany mu przez dobrego szefa. Może należało to właśnie tak potraktować? Jak urlop...

Na kominku z trzaskiem pękła szczapa drzewa i ciemnoczerwone iskry rozsypały się szeroko po kamiennym przedprożu. Jedna przeskoczyła kratę. Wilczkiewicz pochylił się w fotelu i lekkim uderzeniem paznokcia wpędził ją na powrót w żar.

— Nastrój, że tylko duchy wywoływać — powiedział Ziętara.

— Mówcie sobie, co chcecie — Sądecka potrząsnęła głową ze zdecydowaniem. — Ja wiem, że duchów nie ma, wiem tak samo dobrze, jak wy wszyscy, ale to nie przeszkadza mi bać się ich. Czy pani wie, co oni mi zrobili w zeszłym miesiącu? — zwróciła się gwałtownie ku Katarzynie, a potem wskazała uśmiechniętego szeroko młodego Ziętare i Marczaka, którego mefistofelesowskie rysy drgały tajoną uciechą, a wyprostowana sztywna noga sięgała niemal dogasających płomieni. — Postawili mi zbroję w pokoju, pomiędzy kontaktem a drzwiami! Potem śmieli się, że krzyknęłam! Ciekawa jestem, kto by nie krzyknął, gdyby wchodząc do ciemnego pokoju wysunął przed siebie rękę i z całym zaufaniem dotknął lodowatej twarzy ludzkiej! Cofnęłam się i szeroko otworzyłam drzwi. Światło z korytarza wpada akurat tyle, ile trzeba, żeby sobie zębów nie powybijają, bo widocznie arystokracja umiała dawniej poruszać się po omacku, a Polska Ludowa nie wkręciła do tej pory mocniejszej żarówki na tym zakręcie schodów! I co widzę: stoi czarny facet i nagle wali się na mnie i zatrzymuje w

powietrzu! A to oni wzięli go na blok i przywiązali sznur do drzwi. Kiedy się otworzyło na całą szerokość, zbroja leciała do przodu! — roześmiała się mimowolnie. — Takie jest życie kobiety, proszę pani, kiedy musi pracować z dużymi dziećmi! I to mają być dorośli mężczyźni, artyści, kwiat narodu!

— Namęczyliśmy się wtedy trochę, to fakt... — powiedział Ziętara poważnie. — Ale takiego krzyku nawet ja się nie spodziewałem. Zapłaciłaś nam uczciwie za nasz trud.

— Drugi raz mnie nie nabierzecie! Żadnych duchów już się nie złęknę.

— Chyba, żeby to był prawdziwy duch... — powiedział Marczak dramatycznym szeptem. — Wtedy to co innego, prawda?

— Och, przestań! — Ale w głosie jej było o wiele mniej pewności, niż chciała okazać. — Nikt nigdy naprawdę nie widział ani nie słyszał ducha! Prawda, panie kustosz?

— Hm... — kustosz Janas uśmiechnął się w mroku. — Zapewne ma pani słuszność.

— Jak to: zapewne?

— Ponieważ nie mamy żadnych racjonalnych przesłanek, aby wierzyć w zjawiska nadprzyrodzone. Ale jako kustosz pałacu w Borach mam obowiązek strzec nie tylko mebli, rzeźb i obrazów, ale także tradycji miejsca, prawda? — uśmiech jego pogłębił się. — W kronikach rodzinnych pałacu mamy kilkanaście notatek, od których mógłby się zjeżyć włos mniej cdpornemu badaczowi...

Zawiesił głos. Wieczorek zerknął na Katarzynę. Siedziała bardzo poważna i wpatrzona w Janasa z wyrazem niedowierzania, połączonym jednak z czymś, co kapitan nazwał w duchu oczekiwaniem.

— Nie ma kobiety, która nie uwierzyłaby we wszystko, co najbardziej nonsensowne, jeżeli powie się jej to w odpowiednich okolicznościach — pomyślał. — A czy mógłby ktoś wymyśleć odpowiednie okoliczności do opowiadania o duchach?

Odwrócił głowę. Za ogromnymi oknami pełnia księżyca siała nad czarną linią koron drzew parku, rzucając biały, metaliczny

blask. Przez potężne kraty światło wpływało do biblioteki nie docierając w głąb sali i gasnąc na dywanie. Szyby narożnych szaf bibliotecznych lśniły migotliwie, a ciemność pomiędzy nimi wydawała się jeszcze ciemniejsza. I to uczucie pustki! Pustka za wszystkimi drzwiami: szeregi pustych sal, martwych mebli, portretów oświetlonych chłodnym blaskiem odbitym w ich oczach, spoglądających nieruchomym spojrzeniem dawno umarłych ludzi. Blask księżycy na broni, która zabijała przed wiekami. I schedy, zakamarki, framugi Ciemne, tak bardzo inne nocą.

— Jeżeli ma pani na myśli duchy — powiedział kustosz swobodnie — posiadamy dość zapisków, żeby zadowolić najwybredniejszego spirytystę. Właśnie przeglądałem je dzisiaj w związku z książką o pałacu, którą zamówiło u mnie jedno z wydawnictw. Bardzo zabawne. Zresztą my tutaj znamy je, a profesor Gawroński także, no i pan... — zwrócił się do Marczaka. — Odczytywaliśmy je tu sobie nieraz podczas pańskich poprzednich bytności. Dlatego nie chciałbym panów nudzić powtarzaniem tego...

— Ale myśmy nie słyszeli — Małgorzata Sądecka złożyła ręce.

— Będę się okrrrrropnie bała, ale niech pan nam o tym przeczyta! Prosimy bardzo! Państwo przecież też są tu pierwszy raz i na pewno także tego nie słyszeli, i ja też nie, i Witek!

— Oczywiście, panie kustoszu. Przecież to szalenie ciekawe!

— Wieczerek zauważył, że oczy Katarzyny są pełne blasku.

— Dobrze, jeśli państwo sobie życzą... — Widać było, że kustosza nie trzeba było zbyt długo namawiać. — Odczytamy sobie kilka fragmentów, które są najcharakterystyczniejsze dla sposobu myślenia w początkach zeszłego wieku i nieco później nawet. Chciałbym dodać, że nie pochodzą one od osób niewykształconych, ale bezpośrednio od członków rodziny książęcej. Zresztą zaczekajcie państwo...

Wstał i stąpając bezgłośnie po puszystym dywanie podszedł do jednej z szaf i otworzył ją.

Ziętara uniósł się z fotela i ująwszy dwa wielkie bierwiona leżące pod kratą, położył je ostrożnie na rozżarzonych głowniach. Kominiek przygasł, ale po chwili jasne wężyki, pnące

się coraz szybciej w górę, otoczyły polana. Zrobiło się jaśniej.

— To dla ciebie! — powiedział Ziętara do Marczaka. — Będziesz miał gorąco jak u Pana Boga za piecem.

Kustosz powrócił do kominka, niosąc pod pachą dwa oprawne w miękką skórę grube zeszyty. Przysunął fotel do ognia, opuścił zeszyty nisko na kolana, tak aby padał na nie blask kominka, i szybko przewrócił kilkanaście kartek.

— Zapisków o sprawach nadprzyrodzonych mamy tu więcej, niż można byłoby się spodziewać. Ale może to nic dziwnego? W końcu autorzy pamiętników zapisywali to, co wydawało im się niecodzienne: klęski żywiołowe, wizyty, bale, przebieg wojen, urodziny, zgony, a czasem nawet sprawy tak intymne jak miłość, pragnienie zemsty albo rozważania nad stanem majątkowym. Duchy, oczywiście, nie należą do zjawisk codziennych nawet w pałacu z takimi tradycjami jak ten. Jednym z głównych zjawisk, jak można sądzić z zapisków, był sygnał, jeśli można go tak nazwać, dawany przez tego oto Trzeciego Króla Ribery. Obraz pojawił się w Borach stosunkowo późno, jako prezent od Katarzyny Drugiej, otrzymany od niej przez rodzinę książęcą za zasługi przy elekcji Stanisława Augusta i stłumieniu konfederacji. Nie był to oczywiście jedyny dar, ale najbardziej wiąże się on z zapiskami, które za chwilę państwu przeczytam. Zaraz... chwileczkę... Wszyscy państwo przyjrzelicie się tym dzwoneczkom, które on ma na płaszczu, prawda? Otóż to, co odczytam, napisał młody książę Michał. Jest rok tysiąc siedemset osiemdziesiąty dziewięć, czas Rewolucji Francuskiej... Proszę posłuchać:

...Jako że ojciec mój, Jaśnie Oświecony Książę chorzał był od czasu dłuższego, frasowaliśmy się wielce wszyscy, a to ja, Matka moja i Siostry obie: Barbara i młodsza, Helena. Wszelako przed tygodniem polepszyło mu się niespodzianie tak, iż całkiem do przytomności przyszedłszy, wezwał nas do łoża swego i rozmawiał długo ze wszystkimi, po czym jadła zażądał, a to ulubionej mu sarniny w winie czerwonym i z grzybami, których, choć medyk nasz odradzał i zaklinał się,

że przyczyną wielkiej szkody być mogą, zjadł miśę całą, z chwilą każdą wesołość odzyskując i Bogu Najwyższemu dziękując, że go do żywota tego z łoża śmiertelnego przywrócić raczył. Wspominać pewnie i nie trzeba, iż my także wszyscy radowaliśmy się, a Matka moja i Siostry obiedwie wnet potem do kaplicy pałacowej udały się i tam krzyżem leżąc do południa, dziękowały Stwórcy i błagały Go, aby to polepszenie we zdrowiu Ojca mego ułudą się nie okazało. Aleć dnia następnego Książę, Ojciec mój, w łożu podparty na poduszkach siadł o siłach własnych raz pierwszy od miesięcy dwu, jedząc, pijąc odwar pokrzepiający, żartując, a Panu dziękując nieustannie. Medyka naszego, Niemca Holza, prześmiewał przy tem, mówiąc, że wiedza jego pewnie dobra jeno do wyprawiania ziomeków jego na lepszy świat, ale polskiego pana zabić jest niezdolna. Niemiec, człeczyna poćciwy, co cieszył się jako inni, choć poprawa przecie nie z medykamentów jego najwyraźniej pochodziła, jeno ze szczególnej łaski bożej, wszelako chciał co i raz za pulsy Księcia Ojca mego łapać, co ów mu wzbraniał, mówiąc, żeby poszedł ku stajniom i tam dziewczę jaką za rączkę chwycił, co pewnie i jej, i jemu radości dać nieco może, gdy tu nie ma i co badać, bo Zbawiciel największym jest lekarzem, a gdy On zechce, to i umarły z łoża się dźwiga, a cóż dopiero chory. Przed wieczorem zdrowie już mu najwyraźniej powracało więcej i więcej, i usnął smacznie. Takóż i my usnęliśmy po raz pierwszy spokojnie, jako że od dwu miesięcy widmo blade z kosą krążyło wkoło pałacu i pewnie tylko modły Matki mojej i Sióstr moich powstrzymały je do tej pory, aby owego Człowieka cnót największych nie ścięła i nie zagarnęła jako kłos dojrzały do spichrza Bożego. Ja tu ze wstydem i bólem przyznać muszę, że mnie znużony był nieco tą chorobą Ojca mego, bo mnie nudziło na wsi tak długo pozostawać, z dala od przyjaciół i wesołej kompaniji w Warszawie. Lecz powróćmy do nocy owej... Usnąłem, jako się rzekło, aże tu niespodzianie budzi mnie ktoś za ramię potrzęsając. Był to pokojowiec Jan. „Jaśnie Panicz?..” „Com miał słyszeć?” „Dzwoniło!” —

Porwałem się na nogi, bom wiedział już, co by to znaczyć miało, choć sam nie sięgałem pamięcią ku temu wypadkowi. Było to, gdy Dziad mój, Jaśnie Oświecony Książę Janusz umierał w tejże sypialni, co teraz Ojciec mój. Dzwonki na obrazie, który dostał w najłaskawszym darze od Jej Cesarskiej Mości Katarzyny, zadzwoniły. Nikt temu wiary dać nie chciał, bo słyszała to jeno Marcelka, stara piastunka ojca mego, ale klęła się na wszystko, że dzwonki owego króla, którymi płaszcz jego jest obszyty, dzwoniły i kolebały się, gdy patrzyła na nie. Pomiędzy służbą poszło wtedy, że pewnie obraz ten dzwoni, kiedy pan pałacu umrzeć ma. „Coś słyszał?” — powiadam i znak krzyża robię na koszuli. — „Dzwoniło, Jaśnie Paniczu! Jak pragnę zbawienia dożyć! Z biblioteki! Cichuśko zadzwoniło w tym kącie, gdzie O n wisi...” „A długo dzwoniło?” „A nie wiem, bom ledwie z trwogi nie omdlał i wraz tu przybiegłem obudzić Jaśnie Panicza, bom nie wiedział, co mi czynić trzeba” „Dobrześ zrobił!” powiadam. Przeżegnałem się po raz wtóry i Bożej opiece powierzwszy się ruszyliśmy ku bibliotece. Wstyd przyznać, ale świeca mi w ręce dygotała, jakobym sam febrę miał właśnie. Stanęliśmy przed wizerunkiem. Patrzyłem, lecz obraz, jako zwyczajnie, wisiał i nie poruszał się, a o dzwonieniu żadnym i mowy nie było. Zawróciliśmy tedy z Janem i ruszyliśmy ku sypialni Ojca mego, alem się przed drzwiami wstrzymał, bo mnie nagły lęk zdjął. Oddawszy świecę Janowi, aby mi drogę ukazywał, ostrożnie drzwi pchnąłem i weszliśmy. Strzelec ulubiony, który zawsze w rogu komnaty przy nim sypiał, zerwał się zaraz, ale poznawszy mnie, położył palec na ustach, głową łoże wskazując. „Pan, jak usnął z wieczora, ani się ruszył, Bogu dziękować...” — powiada szeptem, a mnie zimny dreszcz przejął i ku łożu co prędzej przystąpiwszy nachylałem się i Jana ze świecą przyzywam ręką. Podeszedł drżąc jako i ja. Ojciec mój spał, jak się nam wydało, ale kiedym pochylił się niżej nad nim, tchnienia żadnego nie usłyszałem. Dopiero wówczas ważyłem się ręką tknąć czoła jego. Ciepłe było jeszcze, ale już nie jako czoło żywego człowieka bywa. Wyprostowałem się i rzekłem do Jana: „Nie

przesłyszaleś się, jakom sądził. Ojciec mój, ksiązę i pan nasz, Bogu duszę swą oddał...

Kustosz przestał czytać i odłożył książkę na kolana. Przez chwilę panowało milczenie.

— Nie uwierzę, aż nie usłyszę! — powiedział Ziętara pogodnie. Czar prysnął. Katarzyna poruszyła się w fotelu i wyprostowała gwałtownie.

— A może chcecie państwo usłyszeć relację o śmierci autora tego zapisu, który wam przed chwilą odczytałem? Tym razem pisze siostra, będąca już wówczas kobietą w średnim wieku. Oto jej relacja, krótsza nieco:

... A kiedy był już wielce osłabiony i zdało się nam wszystkim, że nie masz dla niego żadnego ratunku, przyzwał mnie skinieniem dłoni pewnego ranka i rzekł: „Czy wcześniej dziś wstałaś, pani siostrzyczko?” „Jak co dnia” odparłam patrząc nań z niepokojem, bom myślała, że już zmysły go zawiodą i zaczyna mówić od rzeczy. „A toś pewnie nie mogła słyszeć...” „Czego słyszeć?” — „Obudziłem się przed samym świtaniem, gdy szaro być poczynąło. Chciałem na pokojowca dzwonić, by mi dał wina z wodą, jako że pragnienie mnie paliło, ale ręka tak mi osłabła, że nawet do dzwonka sięgnąć nie mogł. Leżałem tedy, czekając, aż się obudzi i podejździe do mnie, aż nagle słyszę, a oto dzwonek sam zadzwonił...” — „Jakże to, bracie mój?” — zapytałam cała zatruwiona. — „A zadzwonił. I nie jeden, ale jakoby wiele maleńkich dzwoneczków dzwoniło... w bibliotece.” — Nie dodał już ni słowa więcej, jeno uśmiechnął się ku mnie i pokiwał głową, jakoby chciał rzec, że rzecz ta stała się po jego myśli. We łzach odeszłam od łoża i nie czekając posłałam pokojową po księdza kapelana, który, jakoby przewidziewszy, że zbliża się chwila, gdy swą smutną powinność odprawić będzie musiał, czekał już na pokojach. Lecz gdy wszedł i zbliżył się do łoża, za późno było na wszelką pociechę. Brat mój, ksiązę, zmarł tak rychło, że nie minęło

nawet pacierzy dwoje od owej chwili, gdym się z nim rozstała, a oto już przed sądem bożym znajdował się, nas tu w płaczu nieutulonym zostawiając... Obrazów po pogrzebie przykazałam księdzu kapelanowi wodą święconą skropić i modły należne przy nim odprawić, bowiem nie wiemy, gdzie Zło mieszka, a i wiedzieć nie mogliśmy, czy dzwonienie owo Niebiosa nam zsyłają, czy z Piekła jest ono rodem. Ale że na płótnie tym jeden z Trzech Króli jest wyobrażony, więc raczej spodziewać się trzeba, że moc boża owym namalowanym dzwoneczkom dzwonić każe...

— Tyle, jeżeli chodzi o pierwsze dwa pokolenia... — kustosz spojrzął na obraz. Płomienie strzeliły wyżej i maleńkie dzwoneczki na płaszczu czarnego władcy zakółsały się jak gdyby.

— Ta druga sprawa jest prostsza — Wieczorek wstał i podszedł do obrazu. — Młody książę miał w podświadomości zapisaną ową noc śmierci ojca i to wyznanie starego Jana. Kiedy poczuł, że śmierć się zbliża, zaczął mimowolnie myśleć o tamtej, odległej już śmierci. Nad ranem, bliski agonii, wyczerpany chorobą, mógł nawet słyszeć, to znaczy doznawał absolutnie realistycznego złudzenia, że słyszy te dzwoneczki. Widział przecież ten obraz setki, tysiące razy, na pewno przyglądał mu się, jakże dokładnie, po śmierci ojca. Człowiek może sobie przecież wyobrazić, jakim głosem mogą dzwonić takie maleńkie, złote dzwoneczki. Potem, tuż przed śmiercią, granica pomiędzy tym, co sobie wyobrażał, a tym, co słyszał i widział naprawdę, zatarła się w owej godzinie przedświt, kiedy leżał sam, tak osłabiony, że nie mógł nawet ręki wyciągnąć po dzwonek.

— Oczywiście, oczywiście... — Wanda Szczęśniak, ciemnowłosa sekretarka muzeum, która do tej pory nie odezwała się ani jednym słowem, wpatrując się wielkimi, oliwkowymi oczyma w ogień, uniosła głowę. — Wydaje mi się, że raz puszczoney w ruch system halucynacji może działać w nieskończoność. Ludzie zwykle widzą i słyszą nie to, co się dzieje naprawdę, ale to, czego oczekują. Oszukać własne zmysły

w chwili wielkiego napięcia psychicznego jest łatwiej, niż się wydaje naszym przemądrzałym milicjantom, którzy nie rozumieją, że dziesięciu bezpośrednich świadków jakiegoś wypadku drogowego może zeznawać w dobrej wierze zupełnie sprzecznie z sobą!

Katarzyna otworzyła usta i zamknęła je. Wieczorek ledwie dostrzegalnie potrząsnął przecząco głową.

— Nie należy dziwić się milicjantom — powiedział szybko profesor Gawroński. — Muszą stwierdzić przebieg wydarzeń i zwykle jedyną drogą do tego jest przepytывanie ludzi. Myślę, że wcale nie są tacy głupi, przynajmniej ci, którzy mają trochę doświadczenia i wiedzą doskonale, że tak zwany naoczny świadek często odbierał wrażenia zupełnie przeciwne do tych, które w rzeczywistości się rozegrały.

— Bo prawda, jak wiadomo, jest rzeczą absolutnie względną i absolutnie nieosiągalną — Wilczkiewicz uśmiechnął się i założył nogę na nogę. — Możemy tylko wierzyć, że nasz sposób interpretowania rzeczywistości jest lepszy niż inne sposoby. Dlatego wierzymy, że te dzwoneczki nie mogły zadzwonić. Przecież są namalowane, więc jak mogłyby? Ale jak może drewniana skrzynka z paroma drucikami i lampkami w środku przekazywać nam rysy i głosy ludzi odległych o tysiące kilometrów?

— Co, na miłość boską, chce pan przez to powiedzieć? — Gawroński rozłożył ręce ruchem wyrażającym tyleż zdumienia, co oburzenia.

— Och, tylko tyle, panie profesorze, że jako człowiek nowoczesny nie jestem nie tylko w stanie uwierzyć w cokolwiek bez dowodu, ale także zaprzeczyć czemukolwiek bez dowodu.

— Czy pan naprawdę chce powiedzieć, że te dzwoneczki mogły zadzwonić? — Katarzyna wydawała się na pół przerażona, a na pół rozśmieszona obrotem rozmowy.

— Ależ nie! — Wilczkiewicz roześmiał się swobodnie. — Chcę tylko powiedzieć, że pewnego rodzaju przekonania mogą wytworzyć w umyśle ludzkim zjawiska, o których nie śniło się tak zwanym racjonalistom w wąskim pojęciu tego słowa. Co za tym idzie, nie byłbym w stanie przysiąc, że zbliżająca się śmierć

człowieka nie może w jakiś sposób oddziaływać na przedmioty albo na psychikę otaczających umierającego osób w ten sposób, że bądź następuje jakaś bliżej nieznaną reakcja w przedmiotach, bądź w umysłach tych osób, która może spowodować najdziwniejsze konsekwencje na pograniczu tego, co potocznie nazywano spirytyzmem, telepatią, mesmeryzmem, ezoteryzmem i Bóg wie czym jeszcze, a co teraz jest przedmiotem najściślejszych badań we wszystkich cywilizowanych krajach świata. Mogę państwu zaręczyć, że tego rodzaju fakty, jak dzwonienie dzwoneczków tego obrazu, także są rejestrowane przez uczonych i nikt już tego z góry nie odrzuca, ale nauka stara się wprowadzić jakiś porządek, oddzielający popisy szarlatanów, złudzenia chorych mózgow, figle natury — od zjawisk, które choć są niewytłumaczalne, ale przecież z dużym prawdopodobieństwem mogły nastąpić. Czy taki fakt mógł nastąpić? Nie wiem. Nie jestem specjalistą. Nie znam się na tym. Nie znam się na niczym poza bronią i kilkoma wąskimi dziedzinami z historii sztuki, o których mogę powiedzieć, że im dłużej się nimi interesuję, tym większe mam wątpliwości Czy jestem wytłumaczony, panie profesorze?

— Czy jest pan? — Gawroński zastanawiał się przez krótką chwilę. — I tak, i nie. Teoretycznie wszystko zgadza się z pana poglądem na świat Ale jest pewna mała luka. Otóż nie każda sprawa, której nie możemy udowodnić, może być uznana za niepewną. Ja, na przykład, mogę wysnuć zarówno z zapisków, które nam odczytał kustosz, jak i z paru innych późniejszych relacji, jeden prosty wniosek: malowane dzwonki nie mogą dzwonić, bo nie są przecież dzwoneczkami, tylko podobiznami dzwoneczków! — Złapał się nagle za głowę. — I o czymże my tu mówimy? W dodatku — serio! Nie przypuszczałem, że w drugiej połowie dwudziestego wieku istnieć może grono normalnych, wykształconych ludzi, którzy choćby półzartem mogą dyskutować tego rodzaju problemy!

— Ano tak... — Marczak roześmiał się. — Słusznie, panie profesorze. Tylko w życiu to bywa tak: pan ma absolutną i bezwzględłą słuszność, walczy pan z przesądami i nonsensem, a dzwoneczki czasem dzwonią. Te dzwoneczki albo inne. Jak

wiadomo dzieją się rozmaite rzeczy, o których się nie śniło waszym filozofom.

— Nie mów tak! — pisnęła Małgorzata Sądecka. — Ja wiem, że w końcu wy wszyscy żartujecie. Ale ja biedna nie będę mogła usnąć do rana, a jutro jest niedziela. Chciałam pójść na długi spacer i odetchnąć po tych wszystkich farbach i tynkach. Tymczasem będę leżała przez pół nocy nad słuchując, a przez drugie pół będą drzemała, budząc się na każde skrzypnięcie deski. W starych pałacach powinno być napisane wielkimi literami: Rozmowy o duchach wzbronione!

— Zgoda! — kustosz skinął głową. — Idźmy spokojnie spać. Ale na końcu zapisu tej starzejącej się książeczki są słowa:

... Choć ludzie pewnie łatwo wiary sprawom takim nie dają, wiem dziś, że dzwonki owe zadzwonią znowu. A stanie się to pewnie, gdy moja godzina wybije...

Zegar na ścianie zazgrzytał głośno, a potem zaczął bić powoli i donośnie. Kustosz zamknął księgę i siedzieli przez chwilę wsłuchani: osiem... dziewięć... dziesięć...

Ucichł.

Marczak wstał, biorąc laskę i opierając się na niej.

— Godzina moja wybiła! — powiedział. — Dziesiąta! Spać, spać, spać!

Ruszył ku drzwiom postukując laską. Ziętara przeciągnął się i poszedł za nim. Zatrzymali się obok ogromnych globusów.

Profesor zwrócił się do kustosza, który wsuwał właśnie księgę do szafy.

— Mam jeszcze do ciebie małą sprawę, Władku...

— Dobrze — Janas zamknął drzwi szafy. — Wpadnij do mnie przed snem. Najlepiej teraz.

— A ja pójdę sobie jeszcze trochę popracować. — Wilczkiewicz spojrzął na Małgorzatę Sądecką. — Dlaczego pani się tak boi?

— Ja? — powiedziała Sądecka próbując się uśmiechnąć. — Ależ nie, nie! Skądże?

— Nie powinnyśmy się tego wstydzić — Katarzyna roześmiała

się. — Ja też się boję duchów, chociaż absolutnie w nie nie wierzę.

— Ale pani ma męża pod ręką i w razie czego... — Sądecka nie dokończyła.

— Tak — Katarzyna poważnie skinęła głową. — Jak wiadomo, poeci obcują z duchami za pan brat. Liczę w Borach na tę protekcję. Dobranoc państwu...

Pośród ogólnych „dobranoc” zaczęli iść w kierunku drzwi.

Profesor Gawroński usiadł na kanapie, czekając na kustosza, który podszedł do kominka i ogromnym pogrzebaczem rozrzucił dogasające główne. Zapadła ciemność.

12

„I wtedy usłyszał rozpaczliwy krzyk...”

Księżyc zniknął. Nadeszła nagła wichura niosąc ze sobą sypkie Chmury śniegu i omiatając na pół przysypane i zanurzone w mroku lwy przed pałacem.

Oświetlone okna drugiego piętra, gdzie kładli się teraz do snu mieszkańcy Borów, gaśły jedno po drugim.

Ukryty za załomem muru i osłonięty olbrzymim, uniesionym kołnierzem od porywów wichru, drzemał na stołku nocny dozorca w sięgającej aż do kostek baranicy, wojskowych butach i czapie, która przesłaniała mu niemal całą twarz. U nóg jego siedział potężny, kosmaty wilczur, nie zwracający najmniejszej uwagi na wiatr i śnieg. Patrzył w ciemność, poruszając czujnie głową.

Przed nim była długa aleja podjazdu, brama i dalej pola, a za nimi niewidzialna ściana lasu, od której biegła nawałnica.

Pośród pól, tak daleko od pałacu, że żadne, nawet najczujniejsze nozdrza zwierzęce nie były w stanie, podchwycić śladu ich obecności, trzech ludzi tkwili w milczeniu, kryjąc się za uchylonymi wrotami pustej szopy. Za „Szopą stała milicyjna „warszawa” ze zgaszonymi światłami. Kapitan Tadeusz Półtorak potarł nos rękawicą i westchnął, potem poprawił

czapę o opuszczonych nausznikach. Obok niego wąsaty sierżant w kozuchu także westchnął. Uniósł wielką, połową lornetę, zawieszoną na piersi, spojrzał w kierunku pałacu i opuścił ją.

Półtorak zaklął cicho, później wskazał ręką pałac:

— Dobrze im tam jest: ciepłutko, spokojnie...

— Szczęście, że wielkiego mrozu nie ma... — mruknął sierżant. — To tak co noc będzie, kapitanie?

— Ano co noc...

— Przydałoby się z pół litra.

Półtorak znowu westchnął.

— Oj, przydałoby się. Która godzina?

Sierżant z trudem odwinął rękaw kozucha.

— Pół do jedenastej.

— O rany, świt o siódmej albo później.

Kapitan znowu spojrzał na pałac i pomyślał, że jednym w życiu powodzi się znakomicie, na przykład tym, którzy śpią sobie spokojnie w puchowej, książęcej pościeli, a innym fatalnie, na przykład tym, którzy muszą strzec ich wypoczynku. Ale przecież Wieczorek nie spał, musi zamienić w nocy ten obraz. Na pewno mają oboje z Kasią straszego pietra. Co innego być policjantem, a co innego złodziejem w tej odwiecznej zabawie. No, ale mimo wszystko tam było ciepło i przytulnie...

I rzeczywiście w pokoju było ciepło, jeśli nawet nie nazbyt przytulnie. Kapitan Stefan Wieczorek leżał ubrany na łóżku, czytając powieść kryminalną i zzymając się na nieudolność detektywa, który sam sobie plątał tropy i zastawiał pułapki na niewinnych ludzi. Kapitan był w o tyle dobrej sytuacji, że po przeczytaniu kilkunastu pierwszych stron zerknął na ostatnią i stwierdziwszy, kto jest mordercą, mógł teraz spokojnie śledzić przebieg akcji. Mimo tego absorbującego zajęcia nadśluchiwał pilnie. Pałac kładł się do snu. Ale trudno było stwierdzić, czy nikt więcej nie krąży po gmachu. Będą musieli poczekać jeszcze co najmniej godzinę... może trochę mniej?... Trzeba będzie

przejsć kawałek korytarza, mając po obu stronach drzwi, za którymi będą spali ludzie, potem schody w dół, drzwi biblioteki... Jeżeli będą zamknięte, trzeba będzie otworzyć wytrychem. Mogą skrzypnąć... te schody też mogą skrzypnąć... drewniane, szkoda, że nie marmurowe, jak tamte niżej... — Odłożył książkę. Nie mógł sobie przypomnieć, czy po wyjściu z biblioteki ktoś zamknął drzwi. Ale przecież zostali Gawroński i ten kustosz. Chyba nie zamykają jej na noc?

Ciche pukanie spoza świętego Sebastiana.

— Proszę — powiedział półgłosem. — Wejdz! — Wstał.

Weszła. Ubrana była w długą nocną koszulę i szlafrok. Włosy miała rozpuszczone i wydały mu się o wiele dłuższe niż za dnia. A przecież nie nosiła koka.

— Umyłam głowę — powiedziała w odpowiedzi na jego spojrzenie. — Nie wiedziałam, czym zająć czas i pomyślałam sobie, że umycie głowy to najrozsądniejsze, co kobieta może zrobić, kiedy nie wie, co robić.

— Nie powinnaś do mnie pukać — powiedział szeptem. — To nie jest chyba raczej praktykowane w małżeństwie.

— We wszystkich wytwornych angielskich powieściach kryminalnych — jest. A ja się czuję jak bohaterka Agathy Christie. Ten pałac jest jak z bajki dla dorosłych.

— Widocznie u nas mały metraż wpłynął na to, że się nie puka. W połowie mieszkań, jakie znam, są tylko jedne drzwi, te z klatki schodowej do pokoju.

— Och, mniejsza o to. Żona poety może mieć dobre maniery. Czy masz jakąś malusieńką latarkę, bo nie zabrałam żadnej z sobą?

Skinął potakująco głową.

— Świetnie. Powinieneś się tylko przebrać w pyjamę i szlafrok.

Tym razem ruch głowy był przeczący.

— Wiem, że powinienem, ale nie lubię, kiedy wszystko mi się płacze — zrobił nieokreślony ruch ręką. — Zostawiłem zapalniczkę w bibliotece, wciśniętą w kąt fotela. Gdyby nas ktoś spotkał, powiemy, że poszliśmy jej szukać... to znaczy, gdyby mnie ktoś spotkał. Chcę iść pierwszy, a ty pójdziesz z obrazem

w pewnym odstępnie za mną. Jeżeli kogoś zobaczę, od razu zacznę mówić i będziesz mogła zawrócić.

Skinęła potakująco głową.

— Która godzina?

— Za piętnaście jedenasta.

— O której wyruszamy?

— Chyba za jakieś pół godziny. Trzeba pozwolić im usnąć na dobre. Pamiętaj tylko: po zamianie obrazów wracamy z biblioteki tak samo, jak przyszliśmy, ja pierwszy, a ty za mną. W pałacu nocą musi być wszędzie ogromne echo i jeżeli kogoś napotkam i będę do niego mówił, nawet półgłosem, usłyszysz z dołu, prawda?

Katarzyna uśmiechnęła się.

— Jestem pewna, że wrócimy razem i to jak najprędzej — powiedziała z przekonaniem. — Teoretyczne plany zawsze mnie zawodziły. Ale nie liczę na to, że spotkamy kogoś po nocy. Oni tu chyba wcześniej usypiają niż ludzie w Warszawie. Inny rytm życia, wiesz?

— Tak... — Wieczorek ziewnął. — Sam jestem śpiący, to znaczy, byłbym, gdybym mógł.

— Czy będziesz się teraz komunikował z Tadkiem? — wskazała oczyma walizkę kapitana.

— Nie. Dopiero wtedy, kiedy wszystko załatwimy. Umówiłem się z nim, że zawiadomi pułkownika. Gdyby się nam dla jakichś powodów nie udało, nie mogliby przecież przysłać rano auta po ciebie. Przełożylibyśmy to na poniedziałek.

— Tak, rozumiem. Dobrze się składa, że to noc z soboty na niedzielę. Wszyscy pracownicy fizyczni mają wolne do poniedziałku i nie ma portiera w łoży na dole. Dyżuruje tylko dozorca nocny z wilczurem, na zewnątrz. Odpadają nam różni dyżurujący nie wiadomo gdzie woźni i Bóg wie kto jeszcze.

— Skąd wiesz?

— Słyszałam, jak ta panna Szczęśniakówna mówiła do profesora Gawrońskiego, że musi sprawdzić instalacje alarmowe przed snem.

— Do profesora Gawrońskiego?

— Tak, kiedy wychodziliśmy z biblioteki, po kominku.

— Po cóż ona mu to mówiła?

— Och, oni się tu wszyscy świetnie znają. Nie wydawało mi się, żeby to była poufna wymiana informacji.

— Tak, zapewne... — Wieczorek potrząsnął głową. — To, że personel fizyczny ma wolne, to sprzyjająca okoliczność dla nas, ale przecież... nie tylko dla nas.

— Chcesz powiedzieć, że ewentualny złodziej też by wybrał taką noc, a nie inną?

— Nie wiem, ale na jego miejscu wolałbym zawsze mieć do czynienia z mniejszą liczbą pilnujących. To jasne, nawet dla dziecka.

— Słuchaj... Katarzyna podeszła do neseserka, uniosła go i położyła na stole. — Trzeba już przygotować obraz.

Bez słowa skinął głową, wyjął z kieszeni marynarki kluczyki o dziwnym kształcie, które uprzednio wręczył mu pułkownik, i wsunął je do obu zamków neseserka. Przekręcił równocześnie, sprężyny zaskoczyły i wieko walizki uniosło się trochę. Kapitan otworzył ją i odłożył na stół ochronną warstwę gąbki.

— Wygląda zupełnie jak tamten! — powiedziała Katarzyna szeptem. — Nigdy w życiu bym ich nie odróżniła. No, ale ja nie jestem ekspertem.

— Ekspert też by chyba na pierwszy rzut oka nie zakwestionował tego. — Wieczorek uśmiechnął się. — Może nawet i na „drugi rzut oka”. To jest świetnie wykonane. Nic dziwnego, że Amerykanie kupują setki falsyfikatów rocznie jako oryginały, jeżeli w Zachodniej Europie mają takich specjalistów na zawołanie. No, ale pomiędzy tymi obrazami jest ogromna różnica.

— Jaka?

— Na jednym jest zupełnie co innego namalowane, niż na drugim.

— Jak to?

— To znaczy, nie zupełnie co innego, ale popatrz, o tu... — wskazał jej palcem jeden z dzwoneczków na płaszczu Czarnego Króla.

— Widzę. I co?

— Przyjrzyj mu się dobrze i porównaj go z innymi.

— Jest... jest zupełnie taki sam... Nie, czekaj — mimowolnie podniosła głos i zakryła na chwilę dłonią usta, potem dokończyła: — On nie ma serca, ten dzwonek!

— Właśnie. Wszystkie te dzwoneczki, a jest ich z piętnaście, jak widzisz, rozsianych po całym płaszczu, mają wystające u dołu serduszka, a ten jeden nie.

— A na oryginale?

— A na oryginale, oczywiście, wszystkie są kompletne. To jest właśnie ten „tajny” znak Interpolu, dzięki któremu chcą zrobić niespodziankę owemu panu Gruberowi, kiedy nakryją go z tą kopią na gorącym uczynku.

— Ale czy nikt się nie zorientuje? Przecież to jest... bardzo widoczne?

— Nie. Wydaje mi się, że Francuzi mają słuszość. To jest widoczne, kiedy się na to zwróci uwagę. Ale pamiętaj, że nikt nie miał oryginału w ręce za granicą, a po drugie, te serduszka są przecież bardzo drobne. Jeżeli pan Gruber nie pozna, że to falsyfikat, nie zorientuje się w tym nigdy. Musiałby być zżyty z Czarnym Królem na co dzień i mieć idealną, fotograficzną odbitkę obrazu w mózgu, żeby to zauważyć. A oni mu nie dadzą wiele czasu na studia porównawcze. Na pewno chcą go ująć od razu, w chwili, gdy otrzyma obraz...

— Rozumiem... — Katarzyna zerknęła na zegarek. — Dziesięć po jedenastej... — Podeszła do drzwi i nadśluchiwała przez długą chwilę. Wieczorek nie poruszał się. Zawróciła na palcach.

— Zupełnie cicho wszędzie... Może załatwimy to od razu? Chciałabym mieć tę sprawę z głowy, muszę ci się przyznać. Usnęłabym jak dziecko. Powietrze tutaj... — odetchnęła głęboko, jak gdyby pragnąc zadokumentować, jak wspaniałe powietrze jest w Borach — upiło mnie trochę.

— Upijanie się powietrzem na służbie jest wzbronione — mruknął kapitan. — Zaczekajmy jeszcze chwilkę. Zresztą muszę zmienić buty...

Wyciągnął z walizki pantofle gimnastyczne o gumowych podeszwach i szybko zdjął buty. Po chwili był już gotów.

— Punktualnie piętnaście po wyruszamy — szepnął. — Czy masz jakąś chustkę? To znaczy dużą chustkę, taką jak na

głowę? Myślę, że lepiej będzie owinąć obraz. W końcu gdyby ktoś cię zobaczył, nawet z daleka, to ten obraz nie jest wielki i...

— Mam duży ręcznik. To chyba będzie najlepsze.

Bezszelestnie wysunęła się z pokoju i powróciła po chwili z łazienki, niosąc wielki, jaskraworóżowy ręcznik.

Wieczorek przymknął na chwilę oczy.

— Gdzie kupiłaś to... to cudo? — westchnął. — Kolor imponujący, trzeba przyznać... — Nie dodał, że za ręczniki tego rodzaju wymierzałyby zarówno producentom, jak i kupującym karę dożywotniego wycierania się nimi.

— Prawda, że wesolutki! — Katarzyna uśmiechnęła się niewinnie. — Wybierałam z siostrą. Obie lubimy żywe kolory.

Podeszła do obrazu, uniosła go i okryła ręcznikiem, a później luźno udrapowała materiał.

— Wygląda znośnie. Nawet nie bardzo widać, czy niosę tylko ręcznik, czy mam tam coś jeszcze. Położę sobie obraz na rękę, o tak... i możemy ruszać.

Wieczorek spojrział na zegarek. Duża wskazówka dotykała już fosforyzującej trójki. Skinął potakująco głową. Podeszedł do drzwi, powolutku przekręcił klucz w zamku, otworzył je, przelożył klucz na zewnątrz i cofnął się do pokoju.

— Zamknij za nami i weź klucz — powiedział niemal bezgłośnie.

Skinęła głową. Wrócił do drzwi i na palcach wyszedł na korytarz. Obejrzał się. Stała trzymając obraz i uśmiechnęła się do niego.

Oddał jej uśmiech i czując lekko przyspieszone bicie serca, zrobił pierwszy krok, stawiając ostrożnie nogę za progiem na kamiennej podłodze korytarza. Mała żaróweczka płonęła słabo, oświetlając drogę. Zatrzymał się. Było zupełnie cicho. Tylko szum zawiei za murami gmachu dochodził tu jak gdyby z ogromnej odległości, unosząc się i opadając miarowo. Pogoda była prawdopodobnie w tej chwili jeszcze gorsza niż przed godziną. Zrobił drugi krok, potem trzeci, patrząc z napiętą uwagą na dwa szeregi drzwi po obu stronach korytarza. Tam spali albo... nie spali jeszcze — ludzie. Ale drzwi było o wiele więcej niż mieszkańców Borów. Część tych pokoi musiała być

pusta. Szedł, nie czyniąc najmniejszego szelestu. Poręcz. Krawędź schodów. Obejrzał się.

Katarzyna była już na zewnątrz, dostrzegł, że wsuwa do kieszeni szlafroka klucz.

Świetna dziewczyna! — pomyślał. — Nawet ja, który jestem tu na zewnątrz, też nic nie usłyszałem.

Zerknął w dół. Fragment hallu widoczny z miejsca, w którym się znajdował, był pusty. Ale najważniejsze było to, że drzwi biblioteki stały otworem. Za nimi, o ile mógł się zorientować, była ciemność. Najwyraźniej ostatni wychodzący zgasił światło i nie zamknął sali.

Wieczorek odetchnął z ulgą. To oznaczało, że nie trzeba będzie dobierać wytrychów, otwierać drzwi, które mogły przecież skrzypnąć i powtarzać całej tej procedury wychodząc.

Spojrzał na drewniane schody, które dzieliły go od tych drzwi. Jeden, dwa, trzy... dwanaście stopni.

Postawił ostrożnie nogę... drugi stopień... trze... — cichy skrzyp. Szybko cofnął nogę. Przez chwilę wahał się, potem ostrożnie wparł palce stopy w miejscu, gdzie deska łączyła się ze ścianą. Cicho... piąty... szósty... stopień. —

I oto był na dole. Marmur hallu nie oddawał echa gumowych podeszew. Wieczorek obejrzał się i zerknął w górę. Katarzyna stała na krawędzi schodów. Skinął jej przyzwalająco głową i ruszył na palcach ku drzwiom biblioteki. W progu stanął. Schody skrzypnęły cicho. Zaklął w duchu i obejrzał się. Katarzyna była już na dole. Ruchem ręki osadził ją w miejscu.

Wszedł do ciemnej sali. Gruby dywan tak tłumił każde poruszenie, że mógł poruszać się niemal swobodnie. Rozejrzał się. W sali był półmrok rozjaśniony jedynie odbłaskiem światła padającego z otwartych drzwi. Przeciwny kraniec biblioteki, wraz z dwoma ogromnymi globusami, zanurzony był w ciemności. Kapitan szybko przeszedł tam, rozejrzał się i minąwszy zamknięte drzwi zbrojowni, zawrócił.

Cień przesłonił światło w progu. Katarzyna. Skinął na nią, ale nie było potrzeby, bo już podchodziła do obrazu.

— Szybko! — powiedział pochylając się do jej ucha. — Podejdź tu!

Odwinęła ręcznik i zarzuciwszy go sobie na ramię, stanęła w pogotowiu obok kapitana, trzymając kopię. Wieczorek podszedł do ściany, ujął oburącz ramę Trzeciego Króla i ostrożnie uniósł obraz zwalniając go z, haka, na którym był zawieszony. Płótno naciągnięte na prastary blejtram, łudzaco zresztą podobny do tego, który sporządzili Francuzi, zabezpieczone było z tyłu czterema płaskimi sztyfcikami, które utrzymywały obraz wewnątrz ramy. Wyjął je szybko, szczęśliwy, że nie stawiają nadmiernego oporu.

— Dawaj!

Podala mu kopię i z największą ostrożnością wzięła od niego oryginał, a potem delikatnie okryła go ręcznikiem. Pracowali niemal w ciemności.

Starając się działać bez nadmiernego pośpiechu, Wieczorek wsunął kopię w odwróconą, leżącą na dywanie ramę i umocował sztyfciki. W porządku. Sprawdził. Siedziały mocno.

Wyprostował się i zawiesił obraz, trafiwszy natychmiast kołkiem na gwóźdź. Wszystko szło dobrze, tak dobrze, że nagle cała sprawa wydała mu się błahostką i omal że nie roześmiał się. Ale to jeszcze przecież nie był koniec. Trzeba było wrócić.

— Już!

Odwrócił się. Światło z progu padało na zegar. Odruchowo odczytał: dwadzieścia pięć po jedenastej. A więc byli zaledwie od dziesięciu minut poza pokojem. Wydało mu się, że minęła co najmniej godzina.

— Idziemy! — szepnęła. — Razem!... — I uśmiechnęła się, bo Katarzyna przewidziała to. Wszystkie teoretyczne obliczenia traciły sens, kiedy szło tak dobrze. Nawet latarka nie była potrzebna. Wszystko było tak łatwe, że nie mógł w to jeszcze uwierzyć. Teraz tylko jak najszybciej znaleźć się w pokoju. I koniec.

Wyszli z biblioteki do hallu i razem ruszyli ku drewnianym schodom prowadzącym na drugie piętro.

— Ostrożnie... — wyszeptał Wieczorek i oczyma poprosił ją, żeby szła pierwsza.

Schody nie skrzypnęły ani razu! Poruszali się zupełnie jak duchy. Kiedy znaleźli się na górze i kapitan chciał ruszyć

korytarzem, nagle znieruchomieli oboje.

Wieczorek przykucnął za balustradą, pociągając za sobą dziewczynę.

Ktoś wchodził bardzo cicho z dołu po marmurowych schodach prowadzących z pałacowej sieni. Nie widzieli go jeszcze.

— Jeżeli skręci tu — doszedł go niemal niedosłyszalny szept Katarzyny — musimy wiać korytarzem... Chyba zdążymy wejść do pokoju i zamknąć drzwi, zanim wejdzie na górę?

Nie odpowiedział i gwałtownie ścisnął jej dłoń.

Człowiek znalazł się już na krawędzi marmurowych schodów. Zobaczyli go.

Szedł na palcach, rozglądając się, zatrzymując i nad słuchując. A człowiekiem tym był kustosz Władysław Janas.

Ale nie fakt, że gospodarz muzeum w Borach spacerował na palcach nocą po pałacu, kazał Katarzynie zagryźć wargi, żeby powstrzymać okrzyk zdumienia.

W prawej ręce Janas trzymał końcami palców krawędź niewielkiego obrazu. Nawet w tym oświetleniu mogli dostrzec wyraźnie, co to za obraz.

Był to Trzeci Król!!!

Kustosz rozejrzył się i na palcach wszedł do biblioteki. Wieczorek zsunął się o trzy stopnie w dół i kryjąc się nadal za poręczą spojrzął.

W smudze światła padającego z hallu w głąb sali bibliotecznej dostrzegł, że Janas zdejmuje ze ściany obraz, który przed chwilą tam zawiesili oboje!

— Chodźmy! Szybko! — szepnął do Katarzyny.

Sam nie wiedział, jak znaleźli się w pokoju. Nie mówiąc ani słowa do Katarzyny i wskazawszy jej tylko otwarty neseser, do którego złożyła ostrożnie oryginał Trzeciego Króla, kapitan podszedł do swojej walizki, otworzył ją i spod równo ułożonych koszul wyciągnął owalne, duże białe pudło z masy plastycznej. Nacisnął spusty pokrywy i ukazała się mała radiostacja. Wieczorek wyciągnął palcami składany, metrowej długości maszt antenowy, włączył mikrofonik i oczyma dał znak Katarzynie, żeby zajrzała do łazienki.

Dziewczyna wyszła i powróciła po chwili, zamykając drzwi ozdobione świętym Sebastianem, który nadal patrzył pogodnie w twarze niewidzialnych luczników.

— W porządku.

— Zgaś światło — powiedział szeptem — na wszelki wypadek, gdyby ktoś patrzył z zewnątrz. — A kiedy podeszła do łóżka, przekreśliła wyłącznik i nocna lampa zgasła, zaczął wywoływać cicho:

— Tu Indyk... tu Indyk... tu Indyk...

— Dwadzieścia pięć po jedenastej — powiedział cicho sierżant. Uniósł lornetę i z wolna przejechał po zasnutym pędzącym białą chmurą ciemnym widnokregu. Nagle wyprostował się i trącił łokciem Półtoraka, nie odejmując lornety od oczu.

— Jakieś auto, na drodze od Warszawy...

Kapitan szybko wyjął mu z rąk lornetę. W okrągłej podziałce dostrzegł migoczące niewyraźnie w zadymce reflektory samochodu. Auto zbliżało się do Borów.

— Że też mu się chce tłuc w taką zadymę... — mruknął sierżant. — Dawniej mawiali, że w taką pogodę nawet psa by nie wypędził, ale nie było mowy o...

— Cicho! — powiedział kapitan. — Zgasił światła! Za pół minuty będzie naprzeciw bramy pałacu...

— Szefie! — drzwiczki auta otworzyły się. — Jest sygnał wywoławczy: Indyk...

— Uważajcie na drogę! — powiedział Półtorak oddając lornetę sierżantowi. — Stąd może go zobaczycie, jeżeli się zatrzyma...

Szybko zbliżył się do samochodu i wszedł do środka zatraskując drzwiczki za sobą. Sierżant cofnął się i także stanął przy wozie, trzymając lornetę przy oczach.

— Tu Indyk... tu Indyk...

Półtorak uśmiechnął się.

— Myślał Indyk o niedzieli! — powiedział cicho do mikrofonu. — Co tam u ciebie?

W tej samej chwili sierżant cicho zapukał w szybę.

— Zaczekaj sekundę — powiedział Półtorak. Opuścił szybę.

— Wóz ze zgaszonymi światłami przystanął niedaleko bramy pałacu... — sierżant nie odrywał lornety od oczu. — Stoi tam, kapitanie, i nie rusza się. Nikt chyba nie wysiadł, bo mam go na tle śniegu... o tam... Widzę go wyraźnie.

Wieczorek także uśmiechnął się, słysząc owo sakramentalne zdanie o indyku, który nie dożył poniedziałku. Po sekundzie usłyszał przyciszony głos Półtoraka, lekko zniekształcony drganiem w eterze.

— Tak? Słucham cię. Tu Bocian.

Katarzyna podeszła do okna i stanęła wyglądając spoza firanki na zewnątrz.

— Załatwiliśmy całą sprawę — powiedział Wieczorek. — Wszystko w porządku, tak jak umówione. Więcej nawet. Mieliśmy szczęścia aż za wiele. Widzieliśmy zaraz potem, jak ktoś zamienił obrazy.

— Wiesz kto? — dobiegł go niespodziewanie wyraźnie i czysto głos, przyjaciela.

— Wiem.

— Dawno?

— Przed chwilą. Najwyżej pięć minut temu.

— Pytam, bo tu przed parkiem pałacowym na szosie zaparkował jakiś wóz ze zgaszonymi światłami. Zajechał przed chwileczką.

— Stefan! — Katarzyna syknęło cicho. Wieczorek uniósł głowę.

— Zaczekaj, Bocian. Coś się dzieje. Zaraz będę nadawał... — Wstał i podszedł do dziewczyny, która przyzywała go niecierpliwymi ruchami ręki, widocznej na tle prostokątu okna wynurzającego się z absolutnej ciemności, w której pogrążony był pokój.

— Co?...

— Tam... widzisz?... Przesunął się tam przed chwilą jakiś czarny cień! Kluczył od drzewa do drzewa. Potem coś pobiegło

za nim nisko. Chyba duży pies?... Teraz już nic nie widzę...

— Od pałacu w stronę bramy?

— Chyba tak, bo tu go zobaczyłam, a tam zniknął...

— Dobra... — Wieczorek wrócił do aparatu. Pochylił się nad mikrofonikiem. — Słuchaj, to chyba będzie to. Zdaje się, że nasz złodziej właśnie wyniósł obraz i idzie w waszą stronę... to znaczy do tego wozu. Czy dobrze go widzicie?

— Nieźle, ale jesteśmy o czterysta metrów, może nawet o pół kilometra i dmucha jak cholera...

— Uważaj, zaraz wyjdzie z bramy pałacu, jeżeli się nie mylę. Kasia widziała go przed chwilą i zanurkował w krzaki pod wysokie drzewa. Powinien za dwie, trzy minuty tam być.

— Ale wiesz na pewno, kto to jest? — powtórzył Półtorak.

— Wiem. Oboje widzieliśmy.

— No, to w porządku. Postąpię według instrukcji. Jeżeli się pokaże i poda mu paczkę, likwiduję punkt i przekażę wóz na skrzyżowanie, a potem odprowadzimy go do Warszawy z daleka, jeżeli pojedzie do Warszawy. Wziął kopię, oczywiście?

— No chyba! Obraz mam tu w pokoju, przy sobie.

— Świetnie! To cześć!

— Cześć! Nie zapomnijcie o wozie jutro rano dla Katarzyny... i chyba dla mnie, jeżeli to ten facet, o którego nam chodzi.

— Będę pamiętał. Zaraz zamelduję pułkownikowi wszystko przez radio, jak tylko się wyjaśni z tym wozem. Na razie stoi. Cześć!

— Powodzenia!

Wieczorek po omacku wsunął z wolna maszt anteny do pudła, zamknął aparat i włożył go do walizki. Wyprostował się.

— Wygląda na to, że załatwiliśmy wszystko...

Przeciągnął się i podszedł do dziewczyny. Stali teraz oboje przy oknie w ciemności.

— Zapalić światło? — zapytała cicho.

— Nie. Będzie przecież niedługo wracał. Nie powinien przypuszczać, że ktoś się obudził w pałacu.

Wysunął przegub zgiętej dłoni ku oczom i w bladym blasku, płynącym od nieskończonej powierzchni śniegów, zerknął na fosforyzujące wskazówki:

— Trzy minuty po pół do dwunastej... Powinniśmy może zejść i stwierdzić, że zamiana została dokonana... Ale jeżeli on będzie wracał teraz, a będzie oczywiście, może się natknąć na nas. Nie wolno go spłoszyć.

— Ale dlaczego? Teraz, kiedy tamten facet odjechał, moglibyśmy spokojnie aresztować pana kustosza i mielibyśmy spokój.

Wieczorek potrząsnął głową.

— Mamy przecież wyraźne instrukcje. Nie ujawniać się pod żadnym pozorem. Pułkownikowi chodzi o to, że moglibyśmy popsuć plan Interpolu. Pana Janasa i tak mamy pod ręką. Nie ucieknie przecież. Gdybyśmy go przymknęli, ktoś trzeci, kto może być także w kontakcie z Syndykatem, mógłby przy pomocy jakiegoś szyfru albo nawet ustnie, jeżeli w Warszawie ci ludzie mają ekspozyturę w tej chwili, zawiadomić ich o wpadce polskiego współpracownika. Wtedy na pewno albo od razu zniszcziliby obraz, albo przypadli do ziemi na długo i nasza kopia nie dotarłaby do pana Grubera.

— W takim razie co zrobimy?

— Nic... — Stefan roześmiał się cicho. — Jutro najprawdopodobniej wrócimy do Warszawy, jeżeli wszystko odbyło się tak, jak na to wygląda. Nie dla nas pałace, towarzyszek porucznika. Przeciwnik skrócił nam wczasy przez swój pośpiech.

Katarzyna znowu spojrzała w ciemność. Biała równina ciągnąca się w kierunku bramy, obramowana czarnymi pniami drzew i na pół przysypanymi krzewami, była zupełnie pusta. Nie poruszało się na niej w tej chwili nic, żaden ciemniejszy kontur nie odcinał się od jednolitego tła. Wiatr zdawał się cichnąć. Śnieg sypał dalej, bezgłośnie, mięciuteńko padając na szyby okna.

— Krótko mówiąc, wszystko jak w bajce dla dorosłych. Miałam słusność: jutro zawiozę do Warszawy oryginał Czarnego Króla, który leży tu bezpiecznie w naszym pokoju. Widzieliśmy na własne oczy złodzieja, kiedy zamieniał obrazy, a Tadek Półtorak upilnuje tego faceta, który odjechał samochodem, wioząc kopię, którą mu podrzuciliśmy prawie w

ostatniej chwili — przytaknęła sobie ruchem głowy. — Czy wyobrażałeś sobie dziś rano, że to wszystko tak pięknie się ułoży?

— Nie. Przeraza mnie to nawet trochę. W tej chwili zastanawiałem się, czy nie znajdzie się gdzieś dziura w całym.

— Pomyśl, co by to było, gdybyśmy jutro rano zeszli na dół i zobaczyli, że ta kopia z dzwonkiem bez serduszka wisi sobie spokojnie tam, gdzie ją powiesiliśmy...

— Jak to? Przecież na własne oczy widziałam go, niosącego jakąś inną kopię i widziałam, jak zaczął zamieniać obrazy. Oczywiście oni też zrobili falsyfikat. Mamy teraz przepisowo Trzech Króli — roześmiała się i spoważniała natychmiast. — A ten samochód przed bramą? Przecież ten facet czekał na obraz.

Samochód mógł się, na przykład, popsuć, a kustosz mógł wziąć obraz tylko na chwilę, albo na parę godzin, bo może siedzi u siebie w gabinecie i pisze coś o nim? Te zdarzenia mogą być nie powiązane ze sobą.

— Za dużo dobrego naraz. Sam wiesz, że odbyło się tak, jak widzieliśmy. Założę się, że wszystko poszło w ten sposób, jak sobie pułkownik i ten facet z Paryża zaplanowali.

— Byłby to najpiękniejszy zbieg okoliczności w mojej karierze milicyjnej — mruknął Wieczorek. — Szkoda, że nie możemy zejść w tej chwili i przekonać się. Trzeba mieć trochę cierpliwości — cofnął się od okna i siadł w ciemności na krawędzi łóżka. — Ale pewnie masz słuszość. Jutro pułkownik mnie odwoła i wrócę do moich świątków. Mam nadzieję, że stary nie przekazał od razu komuś moich nie ukończonych dochodzeń? Narobią mi bałaganu i potem przez miesiąc będą się wyplątywał.

— Głupstwo! — Katarzyna usiadła obok niego. — Zawsze są jakieś nie ukończone sprawy. I zawsze ktoś coś na— knoci, kiedy człowiek się odwróci plecami. Zresztą jutro niedziela. Nie było nas w komendzie wszystkiego pół dnia. Nie myślę o tym.

— A o czym myślisz?

— O tym, że jutro rano my, oficerowie milicji, będziemy jedli śniadanie z przestępcą, którego szczerze mówiąc, przyłapaliśmy na gorącym uczynku. I będziemy udawali, że nic

nie wiemy.

— Och, to chyba będzie najprzyjemniejsze z tego wszystkiego — powiedział Stefan zupełnie serio. — „Czy mógłbym poprosić o cukier, panie kustoszu?” — „Dziękuję bardzo, panie kustoszu.” — „Może trochę dżemu, panie kustoszu?”

— A wygląda tak przyzwoicie. Nigdy bym go nie podejrzewała, gdybym sama nie zobaczyła. Spokojne, mądre, szare oczy... jak piszą w powieściach. Wzbudza odruchowe zaufanie.

— Pozory myślą — mruknął Stefan sentencjonalnie. — Ciekaw jestem, ile mu zapłacili? Chyba dużo, właśnie dlatego, że tak nieprzekupnie wygląda.

— Pewnie z pięć tysięcy dolarów albo może nawet dziesięć?

— Myślę, że o wiele więcej. Ten obraz jest wart paręset tysięcy, a on o tym dobrze przecież wie. Nie gorzej niż ta szajka.

— Gdyby nie wpadł, byłby bogatym człowiekiem do końca życia. — Katarzyna westchnęła. — Chciałabym kiedyś być bogata, nawet na krótko, wiesz? Chociażby na miesiąc. Wiedzieć, że się ma forszę na absolutnie wszystko, czego się zapragnie.

— No, to wybrałaś sobie bardzo odpowiedni zawód. Do pierwszego zawsze wystarczy — roześmiał się.

— Mnie nie zawsze. Ty nie musisz kupować sukienek.

— Możesz chodzić w mundurze.

— Nie mogę! — mimo woli podniosła głos i natychmiast powróciła do szeptu. — Żadna kobieta nie może... — Wstała i podeszła do okna. — Ale z drugiej strony zwariowałabym, gdyby mi kazali żyć samej w takim wielkim pałacu, nawet, żeby był mój własny.

— Kwestia przyzwyczajenia. Oni się tu rodzili i nie wyobrażali sobie, że można mieć mniejszy metraż niż tysiąc metrów na osobę.

— Stefan! — szepnęła. — Ten pies znów tu jest!

Wieczorek wstał i wyjrzał. Ciemny, smukły kształt mignął pędząc wzdłuż podjazdu, zatoczył wielkie koło na śniegu i zwolnił.

— Wielka bestia jak smok — Katarzyna nie odrywała oczu od

widocznego w dole zwierzęcia, które znieruchomiło z uniesionym łbem, stanąwszy pomiędzy oboma kamiennymi lwami.

— Tak, nieznajomy miałby z nim masę kłopotu. Nic dziwnego, że woleli sobie wyszukać współnika na miejscu w pałacu.

Pies ruszył idąc powoli przez głęboki śnieg i zniknął im z pola widzenia pod ścianą pałacu.

— On już pewnie wrócił — szepnęła Katarzyna. — Szkoda, że to się wszystko tak układa. Można go było aresztować na dole, kiedy wchodził.

— Ładnie byśmy wyglądali. Zanim tamci nie wpadną, dowód rzeczowy, to znaczy: nasz Król bez dzwonka jest nieosiągalny. Zresztą mówiłem ci już, że pułkownik by nam głowy pourywał. Nie bądź bardziej krwiożercza, niż tego wymagają od ciebie zwierzchnicy i okoliczności... Chyba możemy już zaświecić.

Zapalił nocną lampkę.

— W takim razie koniec na dzisiaj?

— Koniec. Teraz tylko spać, spać, spać! A rano, jeżeli zechcesz, a myślę, że na pewno zechcesz, obejrzymy sobie zbiory tego muzeum dokładniej, zanim przyjedzie po ciebie samochód. Szczególnie polecam ci Czarnego Króla. To chluba muzeum w Borach,

— Możemy go sobie zaraz obejrzeć — Katarzyna podeszła do zamkniętego futerału. — Pracowaliśmy tam prawie po ciemku i nie zdążyłam mu się nawet przypatrzeć z bliska.

Wieczorek potrząsnął głową.

— Dajmy spokój teraz. Niepotrzebnie tyle mówimy. Jest tak cicho w pałacu, że ktoś może podchwycić nawet — szept. Diabli wiedzą, jaką tu jest akustyka? Głos może płynąć przez stare przewody kominowe, czy przez coś podobnego. Naokoło

mieszkają ludzie. Idź już teraz do siebie. — Uśmiechnął się do niej. Podali sobie ręce.

— Dobranoc, mężusiu — powiedziała Katarzyna. — Nie napisałeś dzisiaj ani słowa. Jestem niepokieszona.

— Petrarka też co dzień nie pisał.

Odprowadził ją do drzwi łazienki. Kiedy wyszła, stał przez

chwilę wpatrując się w świętego Sebastiana, potem zawrócił, uniósł książkę kryminalną, odłożył ją ze zniechęceniem, podszedł do walizki, wyjął z niej żółtooprawny tomik sonetów Shakespeare'a, położył książeczkę na łóżku i zaczął czytać. Znowu zerknął na zegarek. Za minutę północ.

Przytrzymując zamykające się stronicę palcem jednej dłoni, drugą opuścił i zaczął rozwiązywać sznurowadło.

Z wielkiej odległości nadbiegło uderzenie zegara:

Raz...

Dwa...

Trzy...

Cztery...

Nagle palce kapitana znieruchomiały na opornym węźle sznurowadła. Potrząsnął głową. Nie. Dźwięk nie mijał.

Wieczorek zerwał się z łóżka i stał nad słuchując.

Z dołu, od strony biblioteki, niosło się na tle uderzeń zegara ciche, przenikliwe dzwonienie, jak gdyby wiele maleńkich dzwoneczków poruszało się łagodnie.

A cóż to...

Kapitan nigdy nie dokończył rozpoczętej myśli, bo właśnie wtedy usłyszał straszliwy, przejmujący krzyk.

Krzyczała kobieta, a w głosie jej była rozpaczliwa, śmiertelna trwoga.

Przez ułamek sekundy Wieczorek stał jak skamieniały.

Głos urósł wysoko i urwał się nagle, jak gdyby zdławiono go gwałtownie.

Nastąpiła cisza.

Stefan rzucił się ku drzwiom, otworzył je i wybiegł na korytarz.

13

Pan pałacu w Borach

Otworzyły się drzwi na lewo i ukazała się w nich Katarzyna. Zamarła z ręką na klamce. Nad słuchiwali przez chwilę. Było zupełnie cicho.

— To chyba było bardzo blisko — rozejrzała się niepewnie wzdłuż korytarza. — Tam, zdaje się, mieszka panna Szczęśniakówna...

Ruszyła szybko i minawszy dwoje drzwi zatrzymała się przy trzecich. Zapukała cicho, potem otworzyła ostrożnie. W tej samej chwili Wieczorek znalazł się przy niej.

W pokoju nie było nikogo. Zasłane na noc łóżko było nie tknięte. Kapitan rozejrzał się błyskawicznie i cofnął na korytarz. Wszystko to działo się w tak szybkim tempie, że dopiero teraz pomyślał, dlaczego nikt inny nie zainteresował się tym przeraźliwym krzykiem. Równocześnie dostrzegł Ziętareę. Młody malarz wyszedł na korytarz w pyjama i sprawiał wrażenie człowieka absolutnie zasnętego, który wie, że coś się wydarzyło, ale ciągle jeszcze nie może przedrzeć się przez granicę dzielącą sen od jawy.

— Jakaś kobieta krzyczała... — powiedział idąc w stronę Katarzyny i Stefana. — Pani jest tutaj, to znaczy, że krzyczała albo Szczęśniakówna albo Małgośka.

— Panny Szczęśniakówny nie ma w jej pokoju. Gdzie mieszka pana koleżanka?

Nie odpowiadając, Ziętara podszedł do drzwi leżących niemal na krańcu korytarza, już za schodami prowadzącymi w dół. Zapukał głośno.

— Małgośka!...

Stefan i Katarzyna zbliżyli się. Przez chwilę nadsluchiwali wszyscy troje. Z dala, w przeciwnym końcu korytarza, pojawił się rozczochrany profesor Gawroński, otulając się szlafrokiem.

— Co się stało?

Marczak wysunął głowę ze swego pokoju. Dostrzegł ich.

— Chwała Bogu. Myślałem, że to pożar... — podszedł kulejąc. Stanął przed drzwiami pokoju Sądeckiej i podrapał się bezceremonialnie we włochatą pierś, widoczną spod na pół rozpiętej kurtki pyjamy.

Wieczorek odsunął stojącego naprzeciw drzwi Ziętareę i zajrzał przez dziurkę od klucza. Klucz tkwił w zamku, ale na szczęście ustawiony był w bocznym położeniu i kapitan mógł dostrzec fragment pokoju. Palila się tam najprawdopodobniej

nocna lampka, gdyż światło padało tylko na łóżko, a reszta pokoju tonęła w mroku. Wieczorek dostrzegł spiętrzoną kołdrę i wystającą spod niej nogę, odsłoniętą od stopy po kolano i zupełnie nieruchomą.

Wyprostował się.

— Ona tam jest — powiedział półgłosem.

— Małgośka!!!

Ziętara zabębnił w drzwi pięściami. Opuścił ręce. Znowu nadśluchoiwali. Nic nie poruszyło się wewnątrz.

Wieczorek bez słowa odsunął się jak najdalej pod przeciwną ścianę korytarza, zrobił dwa szybkie kroki i uderzył ramieniem w drzwi, które pękły tuż obok zamka. Oderwała się od nich długa drzazga i upadła z trzaskiem na podłogę.

Kapitan wpadł do pokoju siłą rozpędu i zatrzymał się, chwytając równowagę. Inni stłoczyli się za nim w drzwiach. Podszedł do łóżka i szybko przesunął oczyma po powierzchni kołdry, jak gdyby spodziewając się znaleźć wielką plamę krwi albo porzucone w pośpiechu przez mordercę narzędzie zbrodni. Ale nie dostrzegł niczego. Dziewczyna leżała nakryta zupełnie, tylko pasmo włosów na poduszce ukazywało miejsce, gdzie spoczywała głowa.

Wieczorek pochylił się, zaczerpnął głęboko powietrza i uchylił rąbek kołdry, aby spojrzeć w twarz leżącej.

— Neeeeee!!!

Krzyk był tak przeraźliwy, że mimowolnie cofnął rękę, a stający w drzwiach zrobili krok wstecz i znaleźli się na korytarzu. Kapitan zobaczył otwarte szeroko, pełne przerażenia oczy i dwie dłonie przytrzymujące kurczowo skraj kołdry.

Odetchnął z ulgą. Potem cofnął się o krok.

M— usiało się pani chyba coś przyśnić — powiedział łagodnie. — Proszę się uspokoić. To tylko my. Usłyszeliśmy pani krzyk.

Leżąca nie spuszczała z niego oczu, z których nie zniknął wyraz przerażenia.

— On nie żyje... nie żyje... — powiedziała ochryplym szeptem.

— Kto nie żyje?'

— On... To dzwoniło... dzwoniło! — znowu głos jej przeszedł

w krzyk. — Ja słyszałam? Słyszałam! Dzwoniło! Tam, na dole!

— Kto nie żyje? Co dzwoniło? Zwariowałaś, Małgośka? — Ziętara wszedł do pokoju i stanął w głowach łóżka. — Coś ci się przyśniło i robisz ze siebie przedstawienie na cały pałac. Co miało dzwonić?

Wieczorek przeniósł wzrok z twarzy leżącej na mówiącego. Ziętara był najwyraźniej przestraszony.

— Nie wiem... — Sądecka zaczęła z wolna powracać do równowagi. Głos jej był ledwie dosłyszalny, ale oczy zmieniły wyraz. — Nie wiem? Przysięgłabym, że słyszałam takie małe, złote dzwoneczki z... biblioteki.

— Złote? — Ziętara wzruszył ramionami. — Złote, bo ten Król ma złote na płaszczu, a słyszałaś, bo kustosz czytał o nich wieczorem! Bądź dorosła,” Małgośka! Przebudziłaś wszystkich. Myśleliśmy, że cię ktoś zamordował. Darłaś się, jakby cię ze skóry obdzierali. Złote dzwoneczki! Szkoda, że nie Dzwon Zygmunta!

Leżąca usiadła. Zasłaniając piersi i ramiona kołdrą, spojrzała w kierunku drzwi. Widząc znajome twarze, potrząsnęła głową.

— Dzwoniło... — powtórzyła niepewnie. — Słyszałam przecież zupełnie wyraźnie, tak jak ciebie słyszę.

Marczak zapiął pyjamę i wzruszył potężnymi ramionami.

— O Jezu... Mażemy tam zaraz zejść i sama się przekonasz.

— Za nic! — Małgorzata skuliła się w łóżku.

— Może pan Marczak ma słuszność? — Katarzyna weszła do pokoju, minęła łóżko i stanęła przy oknie. Mimowolnie wyrzwała na zewnątrz. Ale pokój Sądeckiej leżał po przeciwległej stronie korytarza i okno jego wychodziło na park. Widać za nim było tylko biały krąg klombu. Dalej stała czarna ściana przystrzyżonego, starego szpaleru krzewów, a za nią olbrzymie drzewa, które przesłaniały czarne niebo nad niewidzialnym horyzontem. Śnieg padał teraz spokojnie, wielkimi płatkami. Katarzyna odwróciła się i zawadziła skrajem szlafroka o jedno z kilku zagruntowanych płócien stojących pod parapetem. Zerknęła na niewielki pejzażyk zimowy, umieszczony na przenośnych sztalugach w rogu pokoju. Pochyliła się nad leżącą.

— Myślę, że jeżeli wszyscy tam zejdziemy, to uspokoi się pani natychmiast po zobaczeniu, że obraz wygląda tak, jak wyglądał wieczorem.

— Ależ oczywiście! — W głosie profesora zabrzmiała nagła, tak szczerą gorliwość, że Wieczorek spojrzał na niego z zainteresowaniem i zaraz odwrócił oczy. — Powinniśmy wszyscy razem zejść do biblioteki! — Gawroński roześmiał się nieco wymuszenie. — Co prawda nikt poza panią nie słyszał tego dzwonięcia, ale zawsze będzie nam raźniej. Takie sprawy trzeba od razu zwalczyć w sobie, inaczej mogą się narodzić kompleksy. Chodźmy!

— Boże... — szepnęła Sądecka. — Ale czy człowiek może mieć tak wyraźne halucynacje?

— Pewnie, że może, kiedy śpi! — Marczak roześmiał się. — Ubieraj się i chodź! Spojrzymy sobie raz i drugi na tego Króla, wypalimy papierosa, i wrócimy do pokojów, a potem uśniesz jak nowo narodzone dzieciąteczko. Przecież jutro — a właściwie dzisiaj,, już niedziela, i możemy sobie pospać, do kiedy zechcemy.

— Oczywiście! — Katarzyna usiadła na krawędzi łóżka i objęła ramieniem drżącą ciągle jeszcze dziewczynę. — Wyjdźcie, panowie, na chwilę i postarajcie się zamknąć jakoś te drzwi, a ja zostanę z panią. Zaraz przyjdziemy tam.

Sądecka wahała się jeszcze przez krótką chwilę.

— Tam jest mój szlafrok... — powiedziała wreszcie cicho i wskazała krzesło. — Może pani mi go łaskawie poda...

Wieczorek, a za nim inni mężczyźni, zaczęli wycofywać się pospiesznie.

Kiedy znaleźli się na korytarzu i cofnęli o kilka kroków ku schodom, profesor uśmiechnął się niepewnie.

— Co za bzdura! Władek, to znaczy kustosz, nie powinien być może czytać tych nonsensów po kolacji. Ale on nie może się nigdy powstrzymać od zabawiania gości muzeum niesamowitościami tego pałacu.

— A gdzie jest pan kustosz? — Wieczorek rozejrzał się, chociaż wiedział, że Janasa nie było pomiędzy nimi. — Nie ma go tu ani pana Wilczkiewicza, ani panny Szczęśniakówny. Czy

mieszkają w innej części pałacu?

— Nie... — Gawroński był najwyraźniej zmieszany. — Tu, na tym piętrze. Ale może kustosz jeszcze pracuje? Kiedy pozostawiłem go, pisał jeszcze i powiedział, że ma trochę roboty, którą chce wykonać. A Wilczkiewicz może być na dole u siebie i tam nie usłyszałby nawet wystrzału armatniego. Do tych lochów nie dociera żaden głos z zewnątrz. Zresztą może śpią?

— Muszą mieć mocny sen... — mruknął kapitan.

— Właśnie — Gawroński zapukał lekko do drzwi tuż obok schodów. Potem, nie otrzymawszy odpowiedzi, nacisnął klamkę i zajrzał. Stojący obok niego Wieczorek także wsunął głowę do pokoju. Ziętara i Marczak stali milcząc. Młodszy malarz wyciągnął z kieszeni pyjamy paczkę papierosów i zapalki. Marczak wziął od niego „wawela” i wyciągnąwszy własne zapalki zapalił sobie, a potem podał ogień towarzyszowi.

Pokój kustosza był pusty. Na łóżku leżała kapa. Najwyraźniej gospodarz Borów nie kładł się jeszcze tej nocy.

— Na pewno jest jeszcze u siebie w gabinecie — powiedział Gawroński. — Mógł też usnąć przy pracy. Mnie się to czasem zdarza. Ja sam w zeszłym tygodniu obudziłem się przy biurku z głową na rękopisie. Wszyscy jesteśmy przemęczeni. A do urlopu jeszcze kilka miesięcy.

Wieczorek otworzył usta, chcąc zadać jeszcze jedno pytanie. Nie zadał go. Być może panna Szczęśniakówna pomagała kustoszowi przy pracy. Była przecież sekretarką muzeum. Ale dlaczego nikt z nich nie usłyszał dzwonięcia? Czyżby wszyscy spali tak mocno? Nie wiedział nawet, czy Katarzyna je słyszała. A jeśli to była jego, Wieczorka, halucynacja? Ale nie, przecież ta mała także je słyszała. Oboje nie mogli mieć złudzeń równocześnie, z dala od siebie.

Uśmiechnął się lekko. Gawroński nie pojął oczywiście tego uśmiechu i uniósł brwi.

W tej samej chwili usłyszeli za plecami głos Katarzyny:

— Jesteśmy...

Wynurzyły się obie z nie domkniętych drzwi pokoju

Sądeckiej. Małgorzata była nadal bardzo blada, ale na widok oczekujących mężczyzn spróbowała się uśmiechnąć.

— Strasznie przepraszam wszystkich państwa... — powiedziała nieco silniejszym już głosem. — Zachowałam się jak kompletna idiotka! To przecież nonsens, żeby nawet na chwilę w to uwierzyć. Taki namalowany król nie może dzwonić.

Znowu spróbowała się uśmiechnąć, ale nie udało się jej. Wzdrygnęła się i otuliła mocniej szlafrokiem.

— Zgadzam się z panią, że namalowane dzwonki miałyby pewien kłopot z dzwonieniem, ale coś w każdym razie dzwoniło.

— Co? — powiedział Gawroński. — Jak to? Chce pan powiedzieć, że pan także słyszał to dzwonienie?

Kapitan potwierdził skinieniem głowy.

— Punktualnie o dwunastej. Mogę stwierdzić to z całą pewnością, bo zegar na dole właśnie zaczął bić.

— Godzina duchów... — Marczak zatrzymał się z ręką na poręczy schodów. — Pan poeta, pan poeta. Poeci podobno słyszą przeważnie to, co pragną usłyszeć. Pomaga im to w nastroju. A może nastrój pomaga w słyszeniu? Nie wiem, nie jestem poetą. Ostatni wiersz czytałem na dwa dni przed maturą... hm... ładnych parę lat temu.

Ale Sądecka nie zwracała najmniejszej uwagi na to, co mówił. Wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w Wieczorka.

— Więc pan też słyszał? To znaczy, że to nie była halucynacja i ja naprawdę słyszałam te dzwonki?

— Ależ skąd! — . Gawroński próbował roześmiać się, ale i jemu nie udało się zbagatelizować słów kapitana. — Pan Wieczorek na pewno użył tu przerośni.

— Nie wiem, czego użył mój mąż — Katarzyna spojrzała na Wieczorka, a później wzrok jej spoczął na profesorze — ale ja byłam w innym pokoju niż on i chcę powiedzieć bez przerośni, że także słyszałam głos podobny do wielu malutkich dzwoneczków. I słyszałam także bicie zegara w tym czasie, a w chwilę później pani zaczęła krzyczeć.

— Coraz lepiej! — Ziętara klasnął w dłonie. — Co prawda ja spałem jak zabity i nic nie słyszałem, ale jestem osobą bardzo

nieuduchowioną i nie mogę się liczyć w tym wypadku. Szkoda że nie ma tu już książąt. Wtedy moglibyśmy od razu stwierdzić, kto ma rację. Albo pan pałacu zginąłby dziś w nocy, albo nie. Według zapisków, które ma kustosz, jest to jedyny i najlepszy sprawdzian, zdaje się?

— Ba! — Marczak rozłożył potężne ramiona. — Niestety książąt nie mogą nam już dostarczyć ani sny naszej nieocenionej Małgosi, ani wyobrażenia poety. Czas gospodarzy tego pałacu minął bezpowrotnie.

Wieczorek zaczął schodzić z wolna. Nie odpowiedział. Co to wszystko miało znaczyć? Czy ktoś oprócz nich dwojga spostrzegł kradzież Trzeciego Króla i chciał w ten sposób zwrócić uwagę wszystkich na obraz? Gdzie był kustosz? A Szczęśniakówna? Nie mogła przecież nocą pracować z kustoszem, jeżeli kustosz w nocy zamienił obraz i wyszedł z pałacu. Posłałby ją spać jak najwcześniej. O ile, oczywiście, nie była jego współniczką. Mogła nią być? Dlaczego w takim razie nie byli teraz oboje w swoich pokojach? Powinni byli natychmiast po zamianie obrazów wrócić, żeby uzyskać jak najlepsze alibi. To byłby naturalny odruch: po kradzieży wrócić do siebie i udawać, że nic się nie stało. A Wilczkiewicz?...

Potrząsnął głową. Schodzili w milczeniu. Pomimo pozornie wesołego tonu, w jakim prowadzona była rozmowa, wszyscy zamilkli nagle. Otwarte drzwi biblioteki były coraz bliżej.

— Musi to być jakiś fenomen spowodowany wiatrem albo może różnicami temperatur wewnątrz i na zewnątrz gmachu? W starych budynkach zdarzają się takie, pozornie niewytłumaczalne, zjawiska akustyczne... — powiedział kapitan znalazłszy się na ostatnim stopniu schodów i odwracając się do pozostałych. — Mogę przysiąc, że słyszałem coś, co bardzo przypominało dzwonienie „złotych dzwoneczków”, jak to określiła pani Sądecka. Ale mógł to równie dobrze być kawałeczek odgiętej rynny, uderzający o szybę, albo może przeciąg zadzwonił kielichami w tych oszklonych szafach salonu za zbrownią? Albo może...

Stał w drzwiach biblioteki. Smuga światła z hallu padała na dywan i biegła aż pod przeciwległą ścianę, gdzie po jednej

stronie drzwi wisiał wielki zegar, a po drugiej ^Trzeci Król

Na skraju tej smugi, wyraźnie odcinając się od ciemnego tła dywanu, widniała wynurzona z ciemności ręka ludzka, bardzo biała i nieruchoma. Palce jej były rozwarte i zgięte.

Wieczorek zagryzł wargi. Wiedział, że żaden żywy człowiek, śpiący lub pozostający w omdleniu, nie trzymałby dłoni rozwartej w ten sposób.

— Proszę zapalić światło! — powiedział spokojnie i głośno, zbliżając się w półmroku do leżącego na podłodze ciała. Ktoś krzyknął cicho za jego plecami. Jakaś ręka przekręciła wyłącznik.

Pochylając się usłyszał jeszcze Katarzynę. Znajdowała się w hallu i powiedziała do idącej obok Sądeckiej:

— Niech pani zapomni o tym, obróci sobie to wszystko w żart i...

Urwała. Klękając przy zwłokach kapitan usłyszał jej zdławiony okrzyk, nieludzki, niemal zwierzęcy wrzask Małgorzaty, a w sekundę później ciche:

— Jezus! Maria! — Zięтары.

Kustosz Władysław Janas leżał na dywanie z głową opartą na wyciągniętej ręce, jak gdyby doszedł tu, upadł i usnął.

Ale jego szeroko otwarte oczy patrzyły zupełnie nieruchomo, a w piersi tkwił krótki, pierzasty bełt — pocisk wystrzelony z kuszy.

14

„Jedno z nas jest mordercą...”

Wieczorek uniósł się z klęczek. Za sobą słyszał tylko przyspieszone oddechy grupki ludzi, ściśniętych w drzwiach biblioteki.

Odwrócił się ku nim.

— Okazuje się — powiedział cicho — że nie mieliśmy słuszności. Gospodarz pałacu nie żyje.

I, jak gdyby słowa jego posiadały czarodziejską siłę, grupka ludzi ożyła nagle.

Sądecka wybuchnęła płaczem i ukryła głowę na ramieniu Katarzyny, która stała bardzo blada, wpatrując się w leżące na dywanie zwłoki.

Ziętara powoli uniósł dłonie do twarzy i przetarł nimi oczy, jak gdyby nie mogąc uwierzyć, że to, na co patrzy, jest prawdą.

Marczak stał nieruchomo, z wyrazem osłupienia na twarzy.

Gawroński podszedł z wolna i zatrzymał się o krok od umarłego, wargi drżały mu konwulsyjnie, ale opanował się. Wpatrując się w martwą twarz Janasa wyjąkał to, co ludzie zwykle mówią, widząc w rzeczywistości coś, co nie może przecież na pewno mieć miejsca w żadnej rzeczywistości:

— To... to niemożliwe.

Cofnął się. Wieczorek wodził oczyma po stojących, myśląc gorączkowo. Śmierć ludzka nie była dla niego tym samym, czym była dla nich. Zbyt wielu widział już umarłych, których ktoś wyprawił przed czasem ze świata żyjących. Ale coś tu się nie zgadzało... Nic się nie zgadzało! Jeżeli Janas był przestępcą, to kto go zabił? Tamci z Syndykatu, żeby zatrzeć ślady? Ale po co? Przecież Janas był kustoszem i dostarczył na miejsce oryginału kopię. Nie mieli powodu do obaw. A jeżeli to była metoda? Zabijać każdego, kto mógłby wskazać ślad przestępców?... A może ta zbrodnia w ogóle nie była związana z Czarnym Królem?...

Uniósł wzrok i spojrzał na obraz, wiszący tuż obok jego głowy. Dzwonek na płaszczu miał serduszko! Obrazy zamieniono. Kopia Interpolu zniknęła!

Odwrócił się ku stojącym, Małgorzata łkała spazmatycznie na ramieniu Katarzyny. Pozostali trwali w miejscu, jak gdyby nie wiedząc, co mają zrobić ze sobą. Wszyscy wpatrywali się w umarłego, nie mogąc oderwać od niego oczu.

Marczak ożył pierwszy i kapitan zauważył, że oczy malarza powędrowały od zwłok ku obrazowi, jak gdyby w oczekiwaniu, że być może dzwonki głoszące śmierć gospodarza znowu zadzwonią.

Ale kiedy wreszcie spoczęły na płótnie, w twarzy Marczaka zaszła gwałtowna zmiana. Mimowolnie zrobił krok ku przodowi i zachwiał się, chwytając równowagę. Potem cofnął

się, zakołysał na sztywnej nodze i wymamrotał coś niezrozumiałego.

— Chociaż wygląda to niesamowicie — powiedział Wieczorek spokojnie — a kustosz Janas został, o ile można stwierdzić na pierwszy rzut oka, zastrzelony z kuszy, to jednak wydaje mi się, że mamy do czynienia ze zwykłym morderstwem, chociaż narzędzie zbrodni jest tak bardzo niecodzienne...

— Niech pan... — zaczął Gawroński. Kapitan szybko uniósł głowę i dał mu oczyma ledwie dostrzegalny znak. Profesor umilkł w pół zdania. Wieczorek rozejrzał się.

— Ktoś najprawdopodobniej strzelił stamtąd... — wskazał zamknięte drzwi zbrojowni. — Trudno w tej chwili ocenić odległość, ale pewnie kustosz Janas nie widział swego zabójcy, więc możemy sądzić, że strzała została wysłana spoza nie domkniętych drzwi...

Wszystkie spojrzenia skierowały się w tamtym kierunku. Nagle Ziętara powiedział;

— Ale tam ktoś...

Urwał.

Drzwi zbrojowni drgnęły i powstała w nich wążiuteńka szpara.

Ktoś czaił się teraz za tymi drzwiami. Wieczorek stał nieruchomo, nie spuszczać oka z powiększającej się powoli szpary. Wielki stół biblioteczny zasłaniał prawdopodobnie stojącemu za nimi człowiekowi zwłoki. Morderca, który trafił Janasa w pierś, musiał wypuścić swoją strzałę ponad tym stołem.

Nikt nie drgnął. Małgorzata nadal płakała, nieświadoma tego, że szpara poszerzyła się nieco i...

Ukazała się w niej kusza wymierzona w stojących.

A potem drzwi otworzyły się i światło padło na twarz stojącego w progu człowieka.

Był to Wilczkiewicz. Oczy jego lśniły niesamowicie. Dostrzegł teraz wszystkich stojących. Kusza opadła z wolna. Blask oczu przyciągał.

Zastępca kustosa roześmiał się sucho.

— Zdaje się, że nastraszyłem was, moi państwo... ale

wychodząc z kuszami usłyszałem przed chwilą jakiś krzyk tutaj.

— A ta kusza? — zapytał Wieczorek. — Czy pan zawsze spaceruje z nią po nocy?

— Nie. Słyszając krzyk pomyślałem sobie, że może ktoś wdarł się do pałacu. Wróciłem po nią... na ewentualnego złodziejaszka, proszę pana... — Wilczkiewicz wszedł do biblioteki. — To tylko tak dziecinnie wygląda. W rzeczywistości to straszna broń! Niechby tylko spróbował uciekać! Ja, proszę pana, na trzydzieści metrów gotów jestem biegnącego człowieka trafić w sam środeczek pięty! A z bełtem w pięcie nikt nie ucieknie! Nigdy nie chybiam! Nigdy!

Obszedł stół, kołysząc w ręku kuszą.

— Ale co państwo tu wszyscy robicie o tej późnej... — urwał. Czy ich towarzyszyły mu w milczeniu. Wilczkiewicz znalazł się naprzeciw ciała i dopiero wtedy zatrzymał się gwałtownie.

— Co?... Co to jest?

— Widzi pan — powiedział Wieczorek sucho. — To zwłoki kustosza muzeum w Borach. Zabity został pociskiem z kuszy. A pocisk ten został wysłany prawdopodobnie z tego samego miejsca, z którego mierzył pan do nas przed chwilą.

Wilczkiewicz położył kuszę na stole i pochylił się nad ciałem.

— Władek... — powiedział cicho. — Z kuszy... tak... Mój Boże!...

Wyprostował się nagle i skierował ku drzwiom zbrojowni. Wieczorek ruszył równocześnie z nim, dotrzymując mu kroku. Wilczkiewicz minął próg, zatrzymał się i zapalił światło. Zbroje zalsniły.

— Tam — powiedział ochrypłym głosem zastępca kustosza, wskazując najniżej wiszącą kuszę i kilka pocisków umieszczonych obok niej na ścianie. — Widzi pan? Brakuje jednego... To ten, który w nim tkwi.

Zgasił światło i zawrócił. Odruchowo wziął do ręki kuszę, którą pozostawił przed chwilą. Profesor Gawroński zdjął ze stołu narzutę i ostrożnie przykrył nią zwłoki.

— Ale jak to jest możliwe?! — Wilczkiewicz potrząsała głową. — Przecież pałac jest zamknięty od wewnątrz. W tej chwili sprawdzałem instalację alarmową. Urządzenie kontrolne jest w

sieni tuż obok wejścia do podziemia. Usłyszałem krzyk i od razu spojrzałem tam. Wszystko jest w porządku. Jesteśmy absolutnie odcięci od świata zewnętrznego.

— A przed tym nic pan nie słyszał?

— Nie... — zdecydowanie potrząsnął głową. — Myśli pan o tym, że upadł? Tak, kuszarnia jest pod biblioteką, ale przecież dzieli ją od tej sali pomieszczenia parterowe. Zresztą mur jest tam tak gruby, że nie można byłoby usłyszeć odgłosu upadku ciała ludzkiego — rozłożył ręce, znowu spojrzał na nieruchomy kształt pod narzutą i opuścił je powoli.

— Nie myślę o upadku ciała. Tego nie mógłby pan usłyszeć. Najprawdopodobniej nikt tego nie słyszał. Byliśmy za daleko. W dodatku podłogę pokrywa gruby dywan. Myślę o czym innym. Punktualnie o dwunastej coś tu dzwoniło.

— Dzwoniło! — Wilczkiewicz zbladł. — Nie chce pan chyba powiedzieć, że...

— Nie chcę niczego zdecydowanego powiedzieć poza tym, że co najmniej trzy osoby w tym gmachu słyszały to dzwonienie, znajdując się w trzech różnych pomieszczeniach.

— Ależ... — znowu spojrzenie na zwłoki — ...ależ to obłąd!

— A to? — Wieczorek wskazał oczyma ciało. — Czy sądzi pan, że śmierć pańskiego kolegi jest wynikiem działania sił nadprzyrodzonych? Nie sądzi pan tak, prawda? Powiedział pan, że pałac jest zamknięty od wewnątrz. Nikt więc nie uciekł po zabójstwie. A to oznacza tylko jedno: że morderca znajduje się na terenie muzeum. A jeśli nie jest to jakiś hipotetyczny osobnik, wpuszczony przez kogoś z obecnych, kto byłby jego współnikiem, musimy przyjąć, że morderca ten jest jednym z nas.

— Ale kto?... — powiedział szeptem profesor Gawroński. — Kto miałby powód, żeby go zabić? To był najlepszy, najporządniejszy z wszystkich ludzi, jakich znałem. Nie miał wrogów.

— Miał... — powiedział Wieczorek. — Miał śmiertelnego wroga. Musiał mieć, ponieważ został zamordowany. A w każdym razie znalazł się ktoś, kto zaryzykował szubienicę, aby się go pozbyć.

— Ależ to wszystko jest zupełnie obłąkane...

— Tak. Przyznaję, że jest coś w tej zbrodni, co przekracza na pierwszy rzut oka granice wyobraźni i wydaje się sprzeczne z elementarną logiką. Ja, na przykład, nie rozumiem, dlaczego zabójca obwieścił swój czyn dzwonieniem?

— To... to może być nie związane jedno z drugim?

— Chce pan powiedzieć, że mordują ludzie, a dzwonią duchy?

— Kapitan ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami. — Nie sędzę. Nie rozumiem, dlaczego tak się stało, ale... — zawahał się. — Zresztą nie do nas należy rozstrzyganie takich problemów. Myślę, że trzeba natychmiast zadzwonić po milicję.

Wytrzymał spokojnie zdumione spojrzenie profesora, który otworzył usta i zamknął je ponownie.

— Obawiam się, że to będzie na razie niemożliwe — powiedział Wilczkiewicz. — Wiejski urząd pocztowy, do którego jesteśmy dołączeni, działa od szóstej rano do ósmej wieczór. Później urzędniczka wychodzi i zamyka lokal na cztery spusty.

— A innego telefonu nie ma w najbliższej okolicy?

— Nie. Do posterunku milicji jest w prostej linii szosą około dwunastu kilometrów i nie mamy żadnego środka komunikacji. W tych zaspach, nocą, spacer tam potrwa parę godzin.

Wieczorek zerknął na zegarek.

— W takim razie zaczekajmy do szóstej... — Rozejrzał się, a potem spojrzenie jego spoczęło na Gawrońskim. — Czy nie sądzi pan, panie profesorze, że dobrze byłoby, gdybyśmy przed nadejściem milicji spróbowali sobie uzmysłowić wszystkie fakty dzisiejszego wieczora. Oszczędzi to im i nam wiele kłopotu.

— Zapewne, zapewne — profesor przytwardził energicznym skinieniem głowy. — Myślę, że nikt nie będzie miał nic przeciwko wspólnemu przedyskutowaniu całej sprawy. Biednemu Władkowi to nie zaszkodzi,.. — urwał na chwilę i z wyraźnym wysiłkiem powstrzymał drżenie ust — a wydaje mi się, że to nawet konieczne dla nas wszystkich, jeżeli, jak

twierdzi pan Wieczorek, mordercą musi być ktoś z nas.

— Pan Wieczorek może się mylić — mruknął Ziętara. — Pan Wieczorek wie przecież, o ile dobrze zrozumiałem, nie więcej niż ktokolwiek z nas. A przecież mogło tu się wydarzyć coś, czego nikt z nas nie jest w stanie wytłumaczyć. Nie oskarżajmy się nawzajem, nie mając żadnej pewności.

— Słusznie — powiedział Wieczorek. — Nie powinniśmy się oskarżać nawzajem. Ale tym niemniej sędzę, że powinniśmy ustalić kilka faktów, zanim przyjedzie milicja.

— A jakich to mianowicie faktów? — Wilczkiewicz spojrział na niego niechętnie. — Zginął człowiek, proszę pana. Był to człowiek, którego cenilem i szanowałem za jego liczne zalety i chyba, co się rzadko zdarza, zupełny brak wad, mogących utrudnić życie podwładnym i współpracownikom. Byłem jego podwładnym i współpracownikiem, więc wiem o tym lepiej niż ktokolwiek. Odczuwam bardzo głęboki żal, może nie tak głęboki, jaki będę odczuwał jutro i za miesiąc. To jest wstrząs... dla nas wszystkich. Nie zdajemy sobie jeszcze sprawy, że ta... ta zbrodnia naprawdę nastąpiła. Ale wydaje mi się, że nie ma potrzeby teraz paplać bez powodu i sensu nad zwłokami Janasa. Milicja potrafi się tym lepiej zająć niż pan i ja. To ich sprawa, nie pańska i moja.

Gawroński znowu otworzył usta, ale Wieczorek odpowiedział szybko.

— Ma pan słuszość. Pamięć zmarłego należy uszanować. Ale problem, który mnie trapi, to problem żywych: żywego mordercy i żywych niewinnych. Nikt już nie wróci życia panu Janasowi, ale mogą zaistnieć okoliczności, w których morderca jego ujdzie bezkarnie albo, co gorsza potrafi na przykład doprowadzić do oskarżenia o to zabójstwo kogoś niewinnego. Ponieważ, jak sądzimy, mordercą jest ktoś z nas, powinno wszystkim niewinnym zależeć na jak najszybszym odnalezieniu zabójcy. Bez względu na to, kiedy przyjedzie milicja, która ze zrozumiałych względów będzie musiała rozpocząć długotrwałe i trudne śledztwo w tym egzotycznym i obcym dla niej terenie muzealnym, sędzę, że możemy sami postarać się zawęzić zagadnienie.

— A jak pan sobie to wyobraża? — zapytał nie przekonany zupełnie Wilczkiewicz. — Czy sądzi pan, że pańskie kwalifikacje rymotwórcze, jeżeli wolno tak się wyrazić, mogą tu coś pomóc?

— Nie, nie sądzę. Sądzę natomiast, że wszyscy moglibyśmy tu dopomóc, stawiając sobie nawzajem pytania, które naszym zdaniem mogą doprowadzić do zrozumienia prawdy.

— Jakie na przykład?

— Och, na przykład, pierwsze lepsze, jakie mi w tej chwili przyszło do głowy. Wydaje mi się ono bardzo istotne. Możemy śmiało założyć, że kustosza Janasa zamordował ktoś, kto doskonale strzela z kuszy. Morderca nie mógł tu wiele ryzykować. Gdyby tylko ranił Janasa, krzyk rannego spowodziłby wszystkich mieszkańców muzeum do biblioteki Tymczasem pocisk nie chybił ani o milimetr, bo przecież kustosz zginął na miejscu, nie zdążywszy nawet wydać okrzyku. Otóż pytanie moje sformułowałbym w ten sposób: kto, poza panem, umie tu doskonale strzelać z kuszy? Nie jest to przecież codzienna umiejętność, której uczą w szkołach podstawowych.

— Kto?... — Wilczkiewicz przymknął na chwilę oczy. Najwyraźniej pytanie Wieczorka sprawiło na nim wrażenie większe, niż chciał okazać w pierwszej chwili. Otworzył oczy i przesunął nimi po skupionych, napiętych rysach grupki ludzi, oczekujących jego odpowiedzi — Kto, proszę pana?... Wszyscy! Ja ich wszystkich nauczyłem obchodzenia się z kuszą!

— Czy tak, proszę państwa?

Nawet Małgorzata przestała płakać. Uniosła głowę z ramienia Katarzyny, wyprostowała się i pierwsza powiedziała:

— Tak... Ja umiem.

Inni, łącznie z profesorem Gawrońskim, w milczeniu potwierdzili ruchami głów.

— Ale przecież nie wszyscy tu są? — kapitan rozejrzał się, chociaż doskonale wiedział, kogo brakuje. — Nie ma pomiędzy nami panny Szczęśniakówny. Czy nikt z państwa nie widział jej po wyjściu z biblioteki o dziesiątej?

— Jestem przekonany, że po prostu śpi — powiedział prędko profesor Gawroński. — Mówiła mi dzisiaj przed kolacją, że jest bardzo przemęczona. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli... —

zrobił krok ku drzwiom, ale zatrzymał się.

Z hallu doszedł ich odgłos stóp na marmurowej posadzce. Z wolna wszystkie głowy odwróciły się. Czekali krótko.

Wanda Szczęśniak ukazała się w otwartych drzwiach biblioteki. Włosy miała w nieładzie. Ubrana była w długi, ciemno-błękitny szlafrok, sięgający podłogi.

— Co się stało? — powiedziała. — Usłyszałam głosy i...

Dostrzegła, kształt ludzki, którego kontur odcinał się pod luźno leżącą narzutą. Umilkła. Najwyraźniej nie rozumiała tego, co zobaczyła, bo zwróciła pytający wzrok na profesora.

— Straszny wypadek! — powiedział szybko Gawroński. — Kustosz... — zawahał się na ułamek sekundy i mimowolnie spojrzął w kierunku zwłok. — Nie żyje. Został zabity...

— Zabity! — Wanda objęła dłonią framugę drzwi. Teraz dopiero pojęła wszystko. Przymknęła oczy. Ale niemal natychmiast otworzyła je: — Kto? Kto to zrobił?... — urwała. Ku zdumieniu Wieczorka jej pobladła twarz pokryła się nagle ciemnym rumieńcem. — Zdawało mi się, że usłyszałam jakiś krzyk... — rozejrzała się, jak gdyby szukając pomocy. — Ale mam taki mocny sen... Potem wydawało mi się, że ludzie chodzą po korytarzu i rozmawiają...

— I obudziła się pani, oczywiście — Wieczorek dał oczyma znak Katarzynie, która chciała coś powiedzieć. — To dobrze, że pani zesła. Teraz jesteśmy tu wszyscy. Nikogo już nie brakuje. Dlatego może powinniśmy powtórzyć sobie, że jedno z nas jest mordercą...

Umilkł. Nikt nie odpowiedział. Pośród zupełnej ciszy, która zaległa bibliotekę, urósł z wolna odległy, przejmujący dźwięk, tak żalorny, że nawet kapitan poruszył się niespokojnie i zwrócił twarz ku ciemnym szybom.

— On także już wie, że śmierć weszła do pałacu... — powiedział cicho. Podszedł do okna. Pośrodku podjazdu siedział na tylnych łapach olbrzymi wilczur i wył, uniósłszy pysk ku mrocznemu niebu, które znowu zaczęło sypać gęstym śniegiem. Wiatr wzmógł się.

— A ponieważ jedno z nas jest mordercą — powtórzył, jak gdyby nie mogąc się oderwać od raz wypowiedzianych słów —

sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli zamkniemy na razie tę bibliotekę na klucz i zachowując zupełny spokój zaczekamy do chwili, kiedy będziemy mogli wezwać milicję. Niech każde z nas postara się jak najdokładniej odtworzyć sobie przebieg ostatnich godzin, a może nawet i dni, jeżeli zdarzyło się podczas nich coś, co nie jest dla nas zupełnie jasne. W takich sprawach, jak mi się wydaje, jakieś pozornie błahе spostrzeżenia mogą być bardzo pomocne dla osób prowadzących śledztwo.

Znowu nikt nie odpowiedział, ale wszyscy, jak na komendę, ruszyli ku drzwiom. Stefan wyszedł ostatni, przekreślił dwukrotnie klucz w zamku i wsunął go do kieszeni. Na schodach dopędził profesora, który wchodził ostatni, ze zwieszoną głową. Pochylił się ku niemu:

— Czy pan będzie łaskaw zejść do mnie teraz? — szepnął.

Wydawało mu się, że Gawroński nie usłyszał, ale po krótkiej chwili skinął potakująco głową.

Z wolna znikali w górze, na krawędzi schodów.

Wycie psa urosło, przycichło i znowu urosło.

15

Trupia czaszka...

Katarzyna stała przy oknie wpatrując się, po raz nie wiadomo który tej nocy, w ciemność. Odwróciła się, słysząc ciche pukanie Gawrońskiego i uniósłszy się na dłoniach usiadła lekko na parapecie, oparta plecami o szybę.

— Proszę bardzo, niech pan siada — powiedział Wieczorek. Stał obok drzwi prowadzących do łazienki i machinalnie wodził palcem po ramie otaczającej męczeństwo świętego Sebastiana.

Profesor usiadł ciężko. Uniósł głowę i spojrzał zmęczonymi oczyma na kapitana. Wydał się teraz Katarzynie o piętnaście lat starszy niż w chwili, gdy go poznała. A przecież od tej chwili dzieliło ich dopiero kilkanaście godzin.

— Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę. Wiem, że to jawa, nie sen, ale ciągle jeszcze mam idiotyczną nadzieję, że zaraz się

przebudzę i cały ten koszmar zniknie...

Urwał. Wieczorek rozłożył ręce, jak gdyby chcąc dać do zrozumienia, że tego właśnie rozwiązania sprawy nie mogą, niestety, brać pod uwagę.

— I dlaczego? — Gawroński przeniósł wzrok na Katarzynę, jakby oczekiwał od niej odpowiedzi. — Na miłość boską, dlaczego? Przyjaźniliśmy się od studenckich lat. Był to najlepszy, najprzystojniejszy, najpracowitszy człowiek, jakiego znałem. O wszystkich się tak mówi, kiedy umrą, ale on naprawdę był taki. Powiedział pan, że musiał mieć śmiertelnego wroga. To niemożliwe. Nie mógł mieć wrogów. Był łagodny, uczynny i nie skrzywdził nigdy nawet muchy.

— A jednak został zamordowany — powiedziała Katarzyna. — Musi przecież być jakieś wytłumaczenie tego. Czy nie pomyślał pan, że to mogło mieć jakiś związek z obrazem?

— Związek z obrazem? Z Czarnym Królem, chce pani powiedzieć?

— Tak.

— Nie, to by nie miało najmniejszego sensu. Myślę, że to czyn szaleńca...

— A kto ma być tym szaleńcem? — tym razem pytanie zadał Wieczorek.

— Nie wiem... zupełnie nie wiem. Ale przecież został zamordowany... tą upiorną strzałą... Nikt normalny nie dopuściłby się takiego morderstwa.

— Dlaczego? Kusza, jeżeli umie się nią operować, ma wielką przewagę nad pistoletem, na przykład. Działa bezgłośnie, a zabija, jak mogliśmy się przekonać, równie skutecznie.

— Pan... pan o tym mówi, jak gdyby to wszystko było proste, jasne i zdarzało się co dnia każdemu... a dla mnie... dla mnie to jest niemożliwe... takie rzeczy nie mogą się w ogóle zdarzać w normalnym świecie normalnych ludzi. Nie mogę w to uwierzyć! Nie mogę...

Ukrył twarz w dłoniach, ale po chwili opanował się i wyprostował w krześle z wyraźnym wysiłkiem.

— Niestety, chociaż wydawałoby się, że ma pan słuszność, jest pan w błędzie. Zbrodnia towarzyszy społeczeństwu. Trzeba

z nią nieustannie walczyć, bo odradza się pod najrozmaitszymi postaciami. Pewna ilość morderstw rocznie w cywilizowanym społeczeństwie jest zjawiskiem statystycznym. Zawód koleżanki i mój polega między innymi na tym, żeby obniżać te dane statystyczne. Ale jest pan w błędzie nie tylko dlatego, że uważa pan zbrodnię za coś równoznacznego z objawem szaleństwa. Nawet taką, pozornie „egzotyczną” zbrodnię. Myli się pan także, twierdząc, że każdego zmarłego wspomina się dobrze. Nie każdego. Nie jestem nawet pewien, czy o pańskim zmarłym przyjacielu należy mówić dobrze. Wiele wskazuje na to, że był on przestępcą.

— Czym był?! — Gawroński zerwał się z miejsca i usiadł, jak gdyby otrzymał uderzenie. — Przestępcą?... — wyszeptał. — Pan chyba nie wie, co pan mówi?

— Wiem, co mówię, chociaż nie mogę mieć jeszcze absolutnej pewności, czy mam słuszość — powiedział Wieczorek łagodnie, ale stanowczo. — Muszę, niestety, uważać Janasa za przestępcę, ponieważ na własne oczy widziałem dziś w nocy, na krótko przed jego śmiercią, jak zamieniał obrazy: widziałem go idącego z kopią Czarnego Króla, widziałem go, gdy wszedł do biblioteki i widziałem go, gdy zdjął wiszący na ścianie obraz i zawiesił na jego miejsce tę przyniesioną przez siebie kopię...

Gawroński otworzył usta. Kapitan powstrzymał jego słowa ruchem dłoni.

— W tej chwili mogę już panu powiedzieć, że o tym czasie zatrzymał się w pobliżu bramy samochód ze zgaszonymi światłami, a koleżanka dostrzegła postać ludzką, skradającą się od strony pałacu w tamtym kierunku. Nie rozpoznała kustosza, ale najprawdopodobniej, w świetle tego, co panu przed chwilą powiedziałem, nie mógł to być nikt inny. Zamienił obrazy i zaniósł płótno, które uważał za oryginalne, człowiekowi czekającemu w aucie. Zresztą nie był to żaden włóczęga, ale ktoś z mieszkańców pałacu, ponieważ pies pobiegł za nim i nie narobił żadnego alarmu. Najwyraźniej znał go.

— Ale...

— Chwileczkę, panie profesorze. W kilka albo kilkanaście minut później kustosz zginął, zamordowany

najprawdopodobniej przez swego współnika wewnątrz pałacu. Tak przynajmniej można byłoby sądzić, stawiając pierwszą prymitywną hipotezę przebiegu wydarzeń. Być może współnik ten nie dowierzał mu albo chciał zagarnąć dla siebie cały zysk przeznaczony dla nich obu. Oczywiście, jeżeli tak się sprawy mają, musimy odnaleźć tego współnika. Ale odnajdziemy go i to w krótkim czasie, ponieważ samochód, w którym odjechał obraz, jest śledzony przez milicję i nasi ludzie, chociaż nie wiedzą jeszcze o zabójstwie, nie wypuszczą tego ptaszka z rąk, gdyż chodzi im o Trzeciego Króla. Kierowca samochodu nie wymknie się, a kiedy zostanie w końcu aresztowany, powie przecież, kto mu oddał Trzeciego Króla, a raczej obraz, który, jak przypuszcza, jest oryginalnym Trzecim Królem. Dowiemy się wtedy najprawdopodobniej, kto współdziałał z kustoszem w zamianie obrazów na terenie muzeum.

— Myślę, że nie musi pan czekać długo, żeby dowiedzieć się, kto namówił kustosa do zamiany obrazów. Człowiekiem tym jestem ja.

— Pan, panie profesorze?

— Tak, ja.

— A czy wolno wiedzieć, dlaczego pan go namówił do tego?

— Oczywiście. W związku z tym, co pan powiedział przed chwilą, uważam za swój obowiązek poinformować pana o wszystkim... — zawahał się na krótką chwilę. — Przyznaję, że nawet po śmierci Władka... to znaczy kustosa Janasa, nie byłem zdecydowany mówić panu o tym. Szczerze mówiąc, zapomniałem nawet, że... że to się odbyło. Te fakty nie połączyły się w moim umyśle. Widzi pan, nie wiedziałem o żadnym samochodzie. Pan mi o tym powiedział dopiero w tej chwili...

— Nie mogłem panu powiedzieć wcześniej, ponieważ fakt ten miał miejsce półtorej godziny temu. — Wieczorek uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie i natychmiast spowaźniał. — A później zbyt wiele się wydarzyło. Ale, jak pan widzi, profesorze, nie ukrywam niczego przed panem. Pan natomiast... Ale przerwałem panu. Proszę, niech pan mówi.

— Otóż... nie wiem, jak zacząć? Kiedy po przyjeździe naszym

do Borów byłem tu u państwa i rozpocząłem rozmowę o ochronie obrazu, doszedłem do wniosku, że... że państwo nie dajecie nam żadnej gwarancji zabezpieczenia Trzeciego Króla przed kradzieżą albo uszkodzeniem. Sam pan tak zresztą powiedział, o ile pan sobie przypomina?...

Wieczorek bez słowa skinął potakująco głową.

— Właśnie. Cieszę się, że pan nie zapomniał. Po rozmowie z panią i panem byłem zupełnie dezorientowany. Z jednej strony komenda milicji powiadomiła mnie o możliwości kradzieży obrazu przez jakąś międzynarodową, tajemniczą szajkę, a z drugiej ta sama milicja, jak mi się wydawało, nie posiadała żadnego sprecyzowanego planu ochrony Trzeciego Króla. Jako specjalista muzealnik otrzymuję międzynarodowe przeglądy muzealnicze i wiem, ile kradzieży popełniono w ostatnich latach i jakich sztuczek potrafią dokonać przestępcy, żeby wykraść to, na czym im zależy, nawet z najlepiej strzeżonych pomieszczeń, posiadających najnowocześniejsze urządzenia alarmowe. Byłem w rozterce. Obiecałem milicji dyskrecję. Miałem na terenie Borów nie wspominać nikomu ani jednym słowem o ewentualności kradzieży. Ale sytuacja nie była jasna. Widzi pan, zarówno Janas, jak i ja byliśmy bardzo przywiązani do tego obrazu. Ja nawet piszę teraz rozprawkę o nim. Ale wróćmy do tematu: Bez względu na to, co sądziła milicja, wiedziałem, że Janas jest człowiekiem, któremu mogę zaufać tak jak sobie. Był on zresztą gospodarzem Borów, dyrektorem muzeum i człowiekiem odpowiedzialnym wobec społeczeństwa za stan zbiorów znajdujących się pod jego opieką. Rozgrzeszyłem się więc w duchu z drobnej nielojalności, którą musiałem popełnić wobec pańskich zwierzchników i zaraz po wspólnym posiedzeniu przy kominku odbyłem z Janasem rozmowę, podczas której omówiliśmy całą sprawę, łącznie z pobytem państwa tutaj. Obaj wiedzieliśmy, oczywiście, że w magazynie muzealnym znajduje się kopia Trzeciego Króla, wykonana przed trzema laty z prawdziwym mistrzostwem przez malarza Marczaka, którego państwo tu poznali. Nawiasem mówiąc, jest to najlepszy kopista w kraju. Postanowiliśmy obaj, to znaczy kustosz i ja, że przede

wszystkim należy zabezpieczyć obraz. Jakikolwiek były plany milicji, wydawało nam się, że doskonała kopia, wisząca na miejscu oryginału, musi w ten sam sposób znieść złodziei, w jaki zrobiłby to prawdziwy Trzeci Król. Nikt na pierwszy rzut oka nie mógłby stwierdzić, że ma do czynienia z falsyfikatem. W gabinecie Janasa znajduje się kasa ogniotrwała. Postanowiliśmy, że kiedy wszyscy usną, kustosz pójdzie do biblioteki, zamieni obrazy, umieści kopię na ścianie, a oryginał zamknie w kasie, do której tylko on posiadał klucze. Miał potem nie rozstawać się z tymi kluczami. Kiedy widział go pan idącego z obrazem, a potem zamieniającego płótna w bibliotece, wykonywał on wówczas tylko to, co ustalił razem ze mną, nie jako przestępca, ale jako stróż narodowych skarbów sztuki! Zginął na posterunku. To jest cała prawda... — Umilkł na chwilę, potem spojrzał na Katarzynę i przeniósł wzrok na Wieczorka. — Być może, będziecie mieli państwo żal do mnie o niedotrzymanie słowa danego milicji, ale z drugiej strony wydaje mi się, że to, co zrobiłem, było moim najświętszym obowiązkiem. Musicie państwo sami przyznać obiektywnie, że milicja nie wykazała wiele inwencji, żeby uchronić Trzeciego Króla przed kradzieżą.

— Rozumiem — powiedział Wieczorek. — Nie chciałbym się wdawać w tej chwili w ocenę pańskiego działania, które w świetle tego, co pan mówi, jest w pewien sposób usprawiedliwione. Chciałbym tylko zapytać, czy przyjrzał się pan obrazowi po zabójstwie kustosza?

— Po zabójstwie?... — Gawroński potrząsnął głową. — Nie rozumiem? Byłem tam przecież razem z panem. Widziałem obraz. Wisi na swoim zwykłym miejscu.

— Który obraz?

— Jak to który?

Katarzyna poruszyła się na parapecie.

— Były przecież dwa Króle w bibliotece w chwili, kiedy kustosz tam wszedł — powiedziała. — Jeden — kopia pana Marczaka, którą przyniósł ze sobą i — drugi — ten, który wisiał na ścianie.

— Tak, rozumiem... — Ale najwyraźniej profesor nie rozumiał

jeszcze. — Więc co?

— A w tej chwili jest tam tylko jeden obraz — dokończyła dziewczyna. — Zastanawiamy się nad tym, gdzie jest drugi.

— Nie rozumiem pani. Oczywiście w kasie ogniotrwałej. Janas zawiesił kopię na ścianie i zaniósł oryginał do swojego gabinetu, zamknął go w szafie i...

— A czy pan go widział wychodzącego z biblioteki?

— Nie. Zaraz po rozmowie z nim wróciłem do siebie.

— W takim razie przypuszcza pan tylko, że tak się stało.

— A cóż innego mogło się stać?

— Co się mogło stać... — powiedział Wieczorek cicho. — Wszystko: to znaczy kustosz mógł wejść do biblioteki, dokonać zamiany obrazów i w chwilę później został zastrzelony przez mordercę, który zabrał oryginał i pozostawił na ścianie kopię pana Marczaka, tak jak to było w intencji panów. To mógł być nawet oczywisty powód zamordowania kustosza. Morderca przyszedł po obraz, zobaczył Janasa, zamieniającego płótna, nie miał ani chwili do stracenia i zrozumiał, że szansa przepada bezpowrotnie, bo samochód współnika czekał już za bramą, więc pochwycił kuszę w zbrojowni i strzelił. Pozostawił trupa, a obraz zaniósł współnikowi. Potem poszedł spać... Nic mu nie mogło grozić, gdyż nie wiedział przecież, że milicja wie o planowanej kradzieży.

— W takim razie — powiedziała Katarzyna — morderca wziął obraz, któryś ty zawiesił, i przekazał go współnikowi w aucie, tak jak to sobie planowaliśmy.

— Oczywiście — kapitan skinął głową. — I jeśli to nie kustosz Janas był złodziejem, a złodziejem był człowiek, który go zabił, dojdziemy do mordercy po aresztowaniu tego faceta w aucie. Powie nam, kto mu dał obraz. Możemy być o to spokojni. To zupełnie co innego być oskarżonym o kradzież, a zupełnie co innego o udział w morderstwie z premedytacją w celach zysku. Jest wielka różnica pomiędzy karą więzienia a stryczkiem.

— Pani powiedziała „wziął obraz, któryś ty zawiesił”? — Gawroński wstał. — Czy dobrze zrozumiałem?

— Dobrze pan zrozumiał, panie profesorze. — Wieczorek znowu uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. — Nie docenia pan

milicji, jak mi się wydaje. My także bardzo niechętnie patrzemy na kradzież narodowych skarbów sztuki. Byłem, niestety, zobowiązany do absolutnej tajemnicy, nawet przed panem. Przywieźliśmy do Borów kopię Trzeciego Króla wykonaną na polecenie Interpolu w Paryżu i zamieniliśmy obrazy na chwilę przedtem, zanim to zrobił kustosz Janas.

— Czy to znaczy, że państwo zabezpieczyliście oryginał?

— Tak. To był nasz pierwszy obowiązek po przyjeździe tutaj.

— A gdzie on się znajduje w tej chwili?

— Tam!

Wieczorek wskazał stojący pod ścianą futerał.

— Niesłychane... — wyszeptał Gawroński — A więc był jeszcze trzeci Czarny Król!

Kapitan zbliżył się do ściany, wziął futerał i przeniósł go na stół.

— Na wszelki wypadek, wobec cudownego rozmnożenia Czarnych Króli, chciałbym, żeby pan zerknął na obraz w tej chwili. Zamki tego futerału są nie do otworzenia dla kogoś, kto nie posiada dwu różnych, specjalnych kluczyków, więc będziemy mogli być spokojni, że nikt nam niczego tu już nie zamieni. Zresztą nie sądzę, aby mogło mu kiedykolwiek znowu coś zagrozić. Szajka jest w tej chwili przekonana, że oryginał wywędrował z Borów dzisiejszej nocy i że ma go ona w swoim posiadaniu. Ale ja osobiście będę spokojniejszy, jeżeli wstawimy ten futerał razem z obrazem zaraz do kasy ogniotrwałej kustosza, zanim nadjedzie milicja i odstawi płótno pod konwojem do Warszawy. Morderca jest jeszcze na wolności, znajduje się pośród nas, nie wiemy, kto nim jest i nie wiemy, co mu jeszcze może strzelić do głowy.

— Oczywiście, oczywiście... — Zdumienie Gawrońskiego wzięło na chwilę górę nawet nad zalem. Pochylił się z zacięciem i przesunął palcami po powierzchni futerału. Wieczorek wyjął z kieszeni kluczyki, dopasował je do zameczków i przekręcił. Potem powoli uniósł wieko i zdjął powłokę z syntetycznej gąbki

— Oto on! — powiedział.

— Co?... Co to jest? — wyszeptał chrapliwie profesor i cofnął

się o krok.

Katarzyna, która zsunęła się z parapetu i zbliżyła do stołu, krzyknęła cicho. Kapitan spojrział.

— Co to jest?... — powtórzył jak echo za Gawrońskim. Zamknął oczy, zacisnął powieki i otworzył je gwałtownie. Ale widok nie ustępował.

Wewnątrz futerału leżał obraz w tym samym dokładnie położeniu, w jakim go pozostawił. Był to Trzeci Król.

Ale zamiast rozmodlonej czarnej twarzy patrzyła z płótna ciemna trupia czaszka, a w pustych jej oczodołach tkwiły dwa maleńkie złociste dzwoneczki.

16

„O ile jedno z was dwojga nie jest mordercą kustosza Janasa...”

— Pan sobie zakpił ze mnie w tej chwili — powiedział profesor cicho, wpatrując się nadal w upiorną karykaturę trzeciego Króla. — Dlaczego pan to zrobił? Nie jestem milicjantem, nie rozumiem waszych metod, ale... — uniósł wzrok. Wyraz twarzy Wieczorka musiał najwyraźniej zmienić bieg jego myśli. — Więc to... — wskazał palcem — jest dla pana także zaskoczeniem? — zwrócił oczy ku Katarzynie, która nadal w osłupieniu wpatrywała się w obraz. — I dla pani?... Wyglądacie państwo jak ludzie zaskoczeni. Co się tu dzieje?

— Nie wiem — powiedział cicho Wieczorek. — Proszę mi wierzyć, że jestem człowiekiem prawdomównym. Nie stosuję wobec pana żadnych podstępów... — Ujął obraz w ręce, uniósł go i zajrzał na spód futerału, jak gdyby spodziewając się, że może tam być ukryty oryginał Trzeciego Króla. Ale poniżej była tylko druga ochronna warstwa gąbki, a pod nią dno walizeczki. — Przysięgam panu, że zdjąłem ten właśnie obraz ze ściany biblioteki tuż przed wejściem kustosza Janasa. Było tam niemal ciemno. Oboje jesteśmy pewni jednego: że wzięliśmy obraz ze sobą, przynieśliśmy go tutaj i włożyliśmy do tego futerału.

— W takim razie... — profesor zawahał się — Ktoś mógł zamienić obrazy, gdy znajdowaliśmy się na dole...

— Chce pan powiedzieć, że mógł dokonać tego albo pan Wilczkiewicz, albo panna Szczęśniakówna, tak? Bo inni byli z nami w bibliotece.

— Ależ nie, nie! — zaprzeczył profesor szybko. — Nie chcę rzucać na nikogo oskarżeń. Dosyć dzisiaj jest tu zresztą zagadek... okropnych zagadek... żeby jeszcze dorzucać do nich nazwiska niewinnych ludzi.

— W naszej komendzie mamy takie powiedzenie — mruknęła Katarzyna — że tam, gdzie nie ma na pewno winnego, nie ma także na pewno niewinnych.

Gawroński nie odpowiedział.

— Poza tym — kapitan dotknął ręką futerału, a potem wyjął z zamków kluczyki i pokazał je profesorowi — urządzenie to zaopatrzone zostało w małe, ale tak precyzyjnie wykonane zatrzaski, że trzeba byłoby arcy mistrza, który by posiadał w dodatku wiele czasu i wszystkie skomplikowane przyrządy swego zawodu, aby je odemknąć bez włamania. A jedyne kluczyki, które istnieją, miałem przez cały czas przy sobie. Za to także mogę ręczyć.

— To by oznaczało, że obraz, który tu widzimy, wisiał już na ścianie w chwili, kiedy państwo dokonywaliście zamiany, a więc przed dokonaniem zamiany przez kustosa.

— Tak... — Wieczorek wstał. Przez chwilę zastanawiał się, potem wyjął z szufladki nocnego stolika notes i pióro.

— Co chcesz zrobić? — zapytała Katarzyna.

— Chciałbym uporządkować przynajmniej część faktów, dotyczącą obrazów, żebyśmy nie wpadli w chaos. Myślę, że pan profesor, jako ekspert, może nam być przy tym bardzo pomocny, prawda?

— Zrobię, oczywiście, co będę mógł...

— A więc, mamy:

1) obraz przywieziony przez nas — nazwijmy go „kopią milicyjną” — odznaczał się on brakiem serduszka w jednym z dzwonek.

2) Oryginał Trzeciego Króla, który wisiał dziś jeszcze w

bibliotece. Czy tak?

— Tak. Za to ja z kolei mogę ręczyć. Sam miałem go w rękach.

— O której?

— O mniej więcej dwadzieścia po dziesiątej wieczorem, kiedy państwo rozeszliście się. Rozmawiając z Janasem o tej sprawie, mimowolnie podszedłem do obrazu, wziąłem go do rąk i przyjrzałem mu się.

— Czy jest pan profesor pewien, że to był oryginał?

— Mógłbym zeznać to pod przysięgą. Ekspert w dziedzinie malarstwa może mylić się, zresztą bywa tak wielokrotnie. Ale nie wówczas, gdy w grę wchodzi obraz, którego każdy szczegół zna na pamięć i z którym jest zżyty od lat. Zresztą Janas był tam ze mną. Przejął się bardzo tym, co powiedziałem mu o szajce i o planowanej kradzieży. Obejrzeliśmy obraz razem i mogę ręczyć, że nawet gdyby istniała nikła szansa wprowadzenia jednego z nas w błąd, to jednak obaj, mając w dodatku podejrzenia, że obraz mógł już zostać zamieniony, nie mogliśmy się omylić. Wykluczam to absolutnie.

— Kiedy rozstał się pan z kustoszem?

— W kilka minut później. Uzgodniliśmy, że Janas wymieni płótna przed północą, dokładny czas nie był tu ważny. Chodziło o to, żeby wszyscy już byli w swoich pokojach i w łóżkach. Nie chcieliśmy, ze zrozumiałych względów, aby ktokolwiek zauważył tę operację.

— A pan profesor poszedł spać także?

— Tak. Rozstałem się z Władkiem i poszedłem do mojego pokoju, którego nie opuszczałem do chwili, kiedy usłyszałem krzyk panny Sądeckiej. To także mogę zeznać pod przysięgą.

— A dzwonienia nie słyszał pan profesor?

— Nie. Szczerze mówiąc, gdyby nie świadectwo państwa, nigdy bym w to nie uwierzył. Zresztą niech pan pamięta, że biblioteka położona jest dokładnie na poprzecznej środkowej osi gmachu, a mój pokój znajduje się w wieży na samym krańcu skrzydła. Kiedyś wchodziło się do niego kręconymi schodkami z parteru, a dopiero przed stu laty, po dobudowaniu drugiego piętra pałacu, przebito wejście do pokoju w grubej ścianie wieży tym korytarzykiem, który odchodzi od korytarza,

gdzie państwo mieszkanie. Jestem tam odizolowany od dźwięków z zewnątrz, jeśli nie liczyć okien. Pan ma o wiele większe szanse usłyszenia odgłosów z biblioteki, bo pana pokój znajduje się już o wiele bliżej środkowej osi pałacu, mimo że dzieli pana od niej dobrych kilkanaście kroków. Pani pokój jest jeszcze bliżej, a pokój Marczaka, na przykład, znajduje się bezpośrednio nad biblioteką... Pokoje panny Sądeckiej i Ziętary są niemal nad biblioteką, a pokój panny Szczęśniak dalej, w tej samej niemal odległości jak pana pokój, ale po przeciwnej stronie. Janas mieszkał jeszcze dalej, tuż obok schodów, a naprzeciw niego Wilczkiewicz.

— Przecież schody są niemal pośrodku gmachu i schodzą wprost do wejścia biblioteki?

— Ale istnieją jeszcze drugie schody. Nie zauważył ich pan zapewne, bo dzieli je od korytarza drzwi. Jak państwo widzieliście, pałac ma dwie identyczne wieże stojące na krańcu obu skrzydeł. Jedną z nich zamieniono przy przebudowie na fragment części mieszkalnej i w niej ja mieszkam, a wewnątrz . drugiej skonstruowano służbową, jak się to mawiało, klatkę schodową, która prowadzi kręconymi schodami na pierwsze piętro, a potem na drugie, gdzie się kończy. Tędy wnoszono opał i wodę do mycia w czasach, gdy pałac nie był jeszcze skanalizowany. Były to schody, którymi, jak powiedziałem, poruszała się służba, nie stykając się z księciem i jego gośćmi.

— Schody te są jeszcze czynne?

— Tak.

— I można nimi dostać się do biblioteki?

— Bezpośrednio nie. Wychodzą one na ostatnią z szeregu sal muzealnych, tak zwany „gabinet księcia”, stamtąd przez niewielki salon i salę balową dochodzi się do zbrojowni i dopiero stąd jest droga do biblioteki.

— Szkoda, że pan profesor nie powiedział mi tego, kiedy zamykałem drzwi biblioteki

— Nie myślałem o tym wtedy. I nie pomyślałbym, gdyby mnie pan nie zapytał. Zresztą wszyscy obecni wyszli z nami i...

— Rozumiem. Wróćmy jeszcze na chwilę do portretów:

1) Nasza „kopia milicyjna”.

2) Oryginał Trzeciego Króla, widziany przez pana profesora o 22,30.

3) Ta karykatura, którą mamy tutaj.

4) Kopia pana Marczaka, znajdująca się stale w muzeum, którą, jak możemy przypuszczać, miał w ręce kustosz, kiedy widzieliśmy go wchodzącego do biblioteki. To by na razie było wszystko. Karykatura jest tutaj, a jeden z obrazów podanych pod numerami 1), 2) i 3) powinien wisieć w bibliotece. W takim razie brak dwóch z nich. Według pana profesora jeden powinien znajdować się w kasie gabinetu kustosza, o ile kustosz zdążył go tam odnieść i nie zginął w chwilę po tym, gdy go widzieliśmy. Ale wiemy już, że to nie był oryginał. Oryginał zabrał ktoś, kto uprzedził i nas, i kustosza, i mordercę kustosza. Ten ktoś zabrał oryginał i powiesił to. Co by pan powiedział o tym obrazie?

Gawroński pochylił się i przez chwilę patrzył na leżące na stole płótno.

— Cóż... — powiedział cicho — to kicz, oczywiście... a raczej nie kicz, ale... jakby to powiedzieć... żart... — rozłożył ręce i wyprostował się. Namalował to ktoś, kto dobrze i szybko umie posługiwać się pędzlem. — Oczywiście, poza najgrubszymi pozorami, nie ma tu próby naśladowania Trzeciego Króla. Ale jest ten sam układ kompozycyjny, te same barwy... Nie dziwię się, że w gęstym półmroku i w pośpiechu mógł pan, wiedząc, że na ścianie powinien wisieć Czarny Król, zdjąć to szybko i nie przyjrzawszy się dobrze, ukryć w futerale. Ale twórca tego malowidła nie mógł liczyć na to, że oszuka kogokolwiek... — Spojrzał na Katarzynę, a później na kapitana z nagłym przerażeniem. — I to dzwonięcie... powiedział cicho. I śmierć Janasa... Czy nie przypuszczacie państwo, że ktoś z nas jest obłąkany?

— I ja o tym już pomyślałam — szepnęła Katarzyna. — Ale żeby w to uwierzyć, musiałabym widzieć raport naszych ludzi. Gdyby okazało się, że nie widziałam nikogo w cieniu drzew i gdyby okazało się, że ten samochód ze zgaszonymi światłami nie ma nic wspólnego z Trzecim Królem i w ogóle z Borami, wtedy... — wzruszyła ramionami. — To byłby już nie zbieg

okoliczności, ale cud, żeby w taką zadymkę, właśnie dziś w nocy, na ustronnej szosie stał wóz ze zgaszonymi światłami, a potem ruszył spokojnie... Nie, ja widziałam człowieka, kustosz został zabity, a oryginału Trzeciego Króla nie ma i to mnie martwi bardzo, bo zostaliśmy tu przysłani dla ochrony tego obrazu i wydawało nam się, że wywiązaliśmy się z naszego zadania. Ale tak wielu rzeczy jeszcze tu nie rozumiem, że być może, znajdują się jakieś proste wytłumaczenia dla tej koszarnej zagadki. Ktoś tu zadrwił sobie z nas ohydnie i zginął człowiek.

— Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni... — Wieczorek ruszył ku drzwiom. Był bardzo poważny w tej chwili. Zatrzymał się z ręką na kłamece.

— Wiemy jedno, że w ciągu pięćdziesięciu pięciu minut, to znaczy: od chwili, kiedy pan i kustosz oglądaliście oryginał, do chwili, kiedy my zeszliliśmy na dół, ktoś ukradł Trzeciego Króla i powiesił na jego miejscu to... — Zawrócił, włożył obraz do futerału, zatrzasnął pokrywę i schował kluczyki do kieszeni. — Ale dlaczego, mając już oryginał, zabił kustosza Janasa? Ta przekłeta trupia czaszka odbiera mordercy jedyny rozsądny motyw zbrodni. Chyba że stosunki w tym pałacu przedstawiają się absolutnie inaczej, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka. A mam powody, żeby tak myśleć. Prawda, Kasiu?

Katarzyna w milczeniu skinęła igłową. Gawroński ze zdumieniem uniósł brwi

— Nie rozumiem pana...

— Ja sam siebie jeszcze w tej chwili nie rozumiem. — Wieczorek uśmiechnął się niewesoło. — To, co jeszcze przed paroma minutami wydawało się proste, skomplikowało się bardzo dzięki oświadczeniu pana profesora i dzięki temu obrazkowi, który mamy tutaj. Nie jestem specjalistą, ale nawet ja widzę, że napięty jest na nowy blejtram i wykonany na polskim płótnie... To pozornie nie ma żadnego sensu. Nie wiemy nic. Nie wiemy, kim jest morderca kustosza Janasa, kto ukradł oryginał Trzeciego Króla i kto jest współnikiem szajki.

— Być może, że na szczęście, okaże się nią jedna i ta sama osoba — powiedziała Katarzyna. — Trzeba będzie tylko znaleźć

wspólny mianownik dla tych wszystkich spraw.

— Ta sama osoba? — Wieczorek uniósł brwi. — Ta sama osoba, która dokonuje kradzieży oryginału, zamienia go na bzdurę rzucającą się w oczy nawet dziecku, a gdy ma już ten oryginał, morduje kustosza i obwieszcza wszystkim ów fakt dzwoniem w tajemnicze dzwonki, których śladu zresztą nie widać w bibliotece? A poza tym za wiele tu tych obrazów... za wiele obrazów... — Stał przez chwilę nieruchomo, wpatrując się niewidzącymi oczyma w świętego Sebastiana. — Chodźmy — powiedział wreszcie cicho. — Jeżeli kustosz zamienił obrazy, to nasza kopia musi być u niego w gabinecie. Jeżeli nie zrobił tego...

Nie dokończył, otworzył drzwi i wyjrzał. Z dala dostrzegł Ziętare, stojącego na korytarzu i palącego papierosa. Na jego widok młody malarz podszedł powoli do drzwi pokoju Marczaka i wszedł zamykając je za sobą.

Zeszli wolno po schodach przez uciszony hall, w którym echa ich kroków rozbrzmiewały katedralnym, głębokim echem. Zatrzymali się przed drzwiami biblioteki. Wieczorek wsunął klucz w zamek i przekręcił. Wielkie drzwi otworzyły się niemal bezszelestnie. Usunął się, żeby dać miejsce Katarzynie, która po ledwie dostrzegalnym wahaniu weszła pierwsza.

Nie zgasili lamp wychodząc i światło płonęło nadal, oświetlając nieruchomy, nakryty ciemną narzutą kształt na dywanie i migocząc w lśniących szybach szaf bibliotecznych. Ostrożnie wymińawszy leżące na drodze zwłoki, Wieczorek zbliżył się do obrazu.

— Czy może pan nam powiedzieć, panie profesorze, co to za obraz? Kiedy odchodziliśmy stąd przed północą, pozostawiwszy naszą „milicyjną kopię”, zobaczyliśmy kustosza idącego z dołu z innym obrazem. Twierdził pan, że musiała to być kopia sporządzona przed paru laty przez pana Marczaka. Obraz, który tu wisi, nie jest „kopią milicyjną”, więc chyba jest to właśnie ten obraz, który przyniósł kustosz, prawda?

Gawroński zbliżył się, ostrożnie zdjął obraz ze ściany i przyjrzał mu się uważnie, potem odwrócił go, raz jeszcze przekręcił i szybko podszedł z nim do stojącej na stole

bibliotecznym silnej lampy, która rzucała ostry krąg blasku. Przybliżył się do niej z obrazem w dłoniach i pochylił tak nisko, że niemal dotknął nosem płótna, potem odsunął obraz na odległość ramienia, znowu przybliżył go i wreszcie podniósł zdumione oczy ku stojącym.

— To nie jest kopia Marczaka i nie jest to także oryginał, chociaż przez chwilę byłem niemal przekonany, że mam do czynienia z autentycznym Czarnym Królem. Jest to niemal genialna kopia i gdybym nie oglądał oryginału tyle razy i tak długo, ba, gdybym teraz nie oglądał obrazu pod kątem stwierdzenia, co to jest, nie przysłoby mi nawet do głowy, że to kopia. Mogłaby tu wisieć sto lat, zanim by się ktoś zorientował. Czy to jest „milicyjna kopia”? Muszę przyznać, że sporządził ją wspaniały fachowiec!

Wieczorek potrzęsął głową.

— Nasza kopia była, o ile wiem, także znakomicie wykonana, ale posiadała, jak mówiłem panu profesorowi, pewien charakterystyczny szczegół, bardzo wyraźnie różniący ją od oryginału. Twórcy liczyli się z tym, że złodziej nie będzie miał czasu na krytyczną analizę obrazu, a brak serduszka w jednym z dzwoneków miał posłużyć jako natychmiastowy i bezsprzeczny dowód, że szajka jest w posiadaniu ukradzionego z Borów falsyfikatu. Ten obraz posiada serduszka we wszystkich dzwoneczkach.

Gawroński przesunął oczyma po powierzchni płótna.

— Jeżeli pan jest pewien tego, co pan mówi, a przecież jest pan pewien, to w takim razie...

Umilkł.

— W takim razie — dokończyła Katarzyna — mamy do czynienia z piątym Trzecim Królem w ciągu jednego dnia! — potarła czoło dłonią. — Zaczyna mi się kręcić w głowie z tego wszystkiego.

— I mnie... — westchnął Gawroński. — Za jedno mogę ręczyć: nasz biedny Władek nie wiedział o istnieniu tego obrazu.

— Hm... — Wieczorek pokręcił głową. — Wolałbym, aby sprecyzował pan to inaczej: kustosz nigdy nie wspomniał panu o istnieniu tego obrazu. Czy wiedział o nim, nie jesteśmy

jeszcze w stanie stwierdzić, a on, niestety, nigdy nam już tego nie będzie mógł powiedzieć. Ale to znowu komplikuje sprawę tak, że... — zawahał się. — Jeżeli założymy, że kustosz zginął w krótki czas po tym, jak widzieliśmy go zamieniającego obrazy, z których jeden był „naszą kopią”, a drugiego nie znamy jeszcze, możemy przypuścić także, że morderca jest z pewnością zamieszany w te wszystkie wymiany. Naszej kopii nie ma. Możemy założyć, że zabrał ją morderca

biorąc ją za oryginał i jedzie ona teraz samochodem, w którym uwozi ją złodziej. Ale co się stało z kopią pana Marczaka, która, jak pan profesor twierdzi, była w posiadaniu kustosza i którą miał tu powiesić?

— A oryginał?... — powiedziała cicho Katarzyna. — Zdaje się, że zapomniałeś o oryginale.

— Nie zapomniałem, ale oryginału nie było tu już w chwili, kiedy rozpoczęliśmy te wymiany. Oryginał wziął ktoś, kto powiesił na jego miejsce tę ohydną karykaturę śmierci, która jest w tej chwili w naszym pokoju. Ale pozostawmy przez chwilę na boku tę sprawę. Kiedy pan profesor rozstawał się z kustoszem, kustosz miał dokonać zamiany obrazów: chciałbym wiedzieć, co się z nimi stało? Doliczyliśmy się już pięciu płócien w tej aferze. Jedno jest u mnie, drugie tu. Gdzie jest reszta? Nawet jeżeli ktoś uwiózł jedno z nich, brakuje mi dwóch.

— Kopia Marczaka musi być w kasie... w gabinecie Władka...

— powiedział Gawroński niepewnie. — Przynajmniej była tam

— W takim razie chodźmy do gabinetu kustosza.

Gawroński poprowadził ich bez słowa. Pałac nadal był pogrążony w absolutnej ciszy. Najwyraźniej wszyscy mieszkańcy znajdowali się w swoich pokojach, oczekując godziny szóstej i przybycia milicji. Wieczorek był pewien, że nikt nie śpi. Jeden z tych ludzi, (a może nawet kilku?) był mordercą. Który? Na razie mrok był coraz gęstszy, sprawy, pozornie proste przed godziną, stawały się absurdalnie pogmatwane. Za wiele było tych obrazów, za wiele nonsensownych wypadków: Dzwoniące dzwonki, trupia czaszka na płótnie, samochód ze zgaszonymi światłami... Jak gdyby pokrzyżowały się tu różne sprawy, nie przylegające do

siebie... Ale dlaczego? Kto jeszcze, oprócz złodziei, mógł działać tej nocy? Kto zabił?... Szalenciec czy złodziej?

Profesor poprowadził ich w dół szerokimi, marmurowymi schodami do sieni. Tuż za drzwiami prowadzącymi do lochów znajdowały się drugie drzwi, mniejsze, ukryte niemal w boazerii.

Gawroński nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły.

W gabinecie płonęło światło na biurku. Wieczorek rozejrzał się szybko: masa papierów, książki stojące i leżące na powierzchni biurka. Oszklona szafa pełna dokumentów w teczkach i leżących luzem, stosami. Mimo to całość nie sprawiała wrażenia chaosu. Najwyraźniej człowiek, który tu pracował, obracał się zupełnie swobodnie w tym pozornym rozgardiaszu. W rogu pokoju stała wielka, stara kasa ogniotrwała, oczywisty relikwiarz czasów książęcych. Kapitan zbliżył się ku niej i szarpnął lekko za koło pośrodku drzwiczek. Ustąpiły z wolna.

Zajrzeli wszyscy troje. Wnętrze kasy składało się z jednego większego pomieszczenia pojemności małej lodówki. Nad nim była półka, mogąca pomieścić tylko niewiele płasko leżących papierów. Duże pomieszczenie było puste. Wieczorek sięgnął na półeczkę. Leżało tam kilkanaście kopert. Położył je na biurku i otwierał kolejno. Były nie zaklejone. Na każdej był inny napis: TYGODNIÓWKI PRACOWNIKÓW FIZYCZNYCH... INTROLIGATORNIA W WARSZAWIE... REMONT...

Odkładał jedną kopertę po drugiej. Wszystkie zawierały ściśle odliczone, dość poważne kwoty pieniężne i w sumie stanowiły najprawdopodobniej pokrycie budżetu muzeum w Borach na bieżący miesiąc. Na każdej była wypisana czerwoną kredką suma i przeznaczenie.

— Jest tu około osiemdziesięciu tysięcy złotych. Czy kustosz był tak przekonany o uczciwości ogółu pracowników, że pozostawiał zwykle kasę otwartą?

Gawroński w milczeniu zaprzeczył głową.

— Nie rozumiem tego — powiedział po chwili. — Kasa zawsze była zamknięta, a Władek nigdy nie rozstawał się z kluczami.

Miał do przesady rozwinięte poczucie odpowiedzialności. Oczywiście w muzeum nie było dotąd kradzieży. To jest nie do pomyślenia wśród personelu tego rodzaju placówek, gdzie wszystko zależy od uczciwości poszczególnych pracowników. Ale Janas miał specjalny łańcuszek, na którym nosił klucze. Zresztą, sam tylko znał hasło otwierające kasę.

— A panna Szczęśniak i pan Wilczkiewicz?

— Wilczkiewicz zawiadywał całością spraw tylko przez miesiąc w ciągu roku, kiedy kustosz był na urlopie. Wtedy, oczywiście, Janas przekazywał mu na pewno całość spraw, a więc i klucze od kasy. Ale zdawał mu ją i odbierał od niego rachunki po powrocie w sposób najbardziej formalny. Wiem o tym. .

Katarzyna rozejrzała się. Kapitan poszedł za jej przykładem.

— Nie widać tu nigdzie żadnych kluczy...

— Na pewno ma je przy sobie.

— Musimy sprawdzić i to także — westchnął kapitan. Wyszli. Wieczorek zamknął drzwi na klucz i podał go profesorowi.

— Jest to może zupełnie błahe w tej chwili, ale w tej kasie znajduje się jednak spora suma państwowych pieniędzy i może lepiej będzie, jeżeli klucz znajdzie się u pana profesora, prawda?

— Ależ ja nie jestem członkiem administracji muzeum. Raczej powinien się tym zająć Wilczkiewicz. Może poczuć się dotknięty, że go pomijamy.

— Tylko do przyjazdu milicji — kapitan uśmiechnął się. — Nasi koledzy zabezpieczą kasę. Na razie nie chciałbym mieć wszystkiego na głowie. Dziękuję panu profesorowi bardzo.

— To raczej ja panu dziękuję. W pewnej mierze to mój obowiązek, troska o Bory i wszystko, co tu się znajduje. Niestety jestem bardzo zdenerwowany — przymknął oczy i zaraz otworzył je z wysiłkiem. — Chodźmy... — powiedział cicho. — Czy ja także muszę być przy tym, kiedy będzie pan szukał tych kluczy?

— Jak pan profesor sobie życzy — Wieczorek rozłożył ręce. — Myślę, że byłoby to pożyteczne, bo pan przecież wie, jak te klucze wyglądają. Ale jeżeli nie czuje się pan na siłach, proszę

zaczekać przed biblioteką.

Weszli na górę. Przed drzwiami biblioteki Wieczorek obejrzał się.

— Pójdę z państwem — powiedział cicho profesor. — Nie wiadomo, co on może mieć w kieszeniach. Mogę się przydać. Nie powinienem... nie powinienem...

Umilkł. Katarzyna pochyliła się i ostrożnie, jak gdyby nie chcąc przebudzić zmarłego, uniosła narzutę. Materiał zaczepił o tkwiący w piersi Janasa pierzasty koniec bełtu. Zacisnęła wargi, uniosła palcami materiał i odetchnęła głęboko. Obaj mężczyźni stali patrząc na nią, gdy szybko i sprawnie przetrząsała kieszenie umarłego.

...chustka do nosa... mały, tani, oprawny w imitację masy perłowej scyzoryk... gruby czeski ołówek automatyczny... łańcuszek i klucze...

Wieczorek pochylił się. Łańcuszek przeciągnięty był przez pasek spodni.

— Czy to te? — powiedziała Katarzyna nieco zachrypniętym głosem. Spojrzała na profesora.

— Tak. Te...

Wyprostowała się na klęczkach, zakryła ciało i wstała lekko. Podąła kapitanowi klucze: jeden był bardzo długi i miał tajemniczy, niemal arabeskowy wzorek. Drugi był okrągły i posiadał trzy nierówne nacięcia.

— „Schlussleger & Kraus”... Stara, dobra wiedeńska firma — Wieczorek wsunął klucze do kieszeni. — Wynika z tego najwyraźniej, że kustosz poszedł do biblioteki sądząc, że zaraz powróci do gabinetu. Ponieważ wyjął obraz z kasy, nie zamknął jej, gdyż chciał za chwilę umieścić w niej oryginał. Ale w bibliotece zastała go śmierć i nie zdążył wrócić. Kasa pozostała otwarta, a klucze są przy właścicielu. Mordercy w ogóle nie interesowała zawartość kieszeni Janasa. Chodziło o Czarnego Króla i tylko on był ważny.

— W takim razie — powiedziała Katarzyna — kustosz musiał zginąć dosłownie w kilkanaście sekund po tym, jak zobaczyliśmy go wchodzącego. Morderca nie dopuścił, żeby Janas zabrał mu sprzed nosa to, co obaj uważali w półmroku za

oryginał Trzeciego Króla, a co było kopią, którą my pozostawiliśmy.

— Ale w takim razie morderca nie mógł widzieć nas przy zamianie. Inaczej wiedziałby, że wyprzedziliśmy kustosza.

— Tak... — skinęła głową. Gawroński wodził wzrokiem po ich twarzach, starając się zrozumieć dokładnie to, o czym mówili.

— Ale dlaczego nie spotkał nas?

— Bo najprawdopodobniej wyruszył trochę wcześniej niż my i wybrał sobie służbową klatkę schodową, a potem zatrzymał się w drzwiach łączących zbrojownię z biblioteką. Samochód ze zgaszonymi światłami czekał już, a przed oczyma wspólnika szajki, podglądającego przez szczelinę w drzwiach, zaczęła rozgrywać się scena, której zakończenie stałoby się grobem wszystkich jego marzeń: kustosz wszedł do biblioteki, zdjął ze ściany obraz i zawiesił inny obraz, zapewne kopię. Morderca cofnął się, pochwycił kuszę, którą Tśład opatrności zawiesił mu dosłownie pod ręką — i strzelił. Potem porwał obraz, który uważał za oryginał, zaniósł go człowiekowi w aucie (tyś widziała go, kiedy szedł kryjąc się, wzdłuż podjazdu!) i wrócił do pałacu.

— A co się stało z kopią kustosza?

— Na razie nie wiemy. Morderca musiał ukryć ją, oczywiście, nie chcąc naprowadzać śledztwa na ślad zamiany Trzeciego Króla. Pamiętaj, że morderca może nie mieć pojęcia o obecności nas, milicjantów, w Borach i o tym, że ktoś podejrzewa zamach na obraz.

— Słuchaj... — powiedziała Katarzyna. — A jeżeli oni, ta szajka, dali mu kopię obrazu, temu swojemu wspólnikowi? Przecież to nie jest niemożliwe. Mogli mieć przygotowaną replikę, żeby co najmniej zdezorientować muzeum i opóźnić pościg. Nie wiedzieli przecież z góry o tym, że kustosz zginie, prawda? I słuchaj, Stefan, czy ten wiszący tu w tej chwili na ścianie obraz to nie jest właśnie ta replika? Pan profesor powiedział przecież, że jest niemal genialnie podrobiona.

Gawroński zrozumiał nagle. Z przejęciem przytaknął głową.

— To na pewno nie jest amatorska robota, za to mogę ręczyć! Niewielu jest kopistów w Europie, którzy zdobyliby się na

podobną doskonałość.

— A kto ukradł oryginał? — szepnął Wieczorek. — Kto go ma, jeśli, według ciebie, szajka porwała naszą kopię? Kto ubiegł nas wszystkich i na miejsce oryginału zawiesił tę idiotyczną trupią czaszkę? I wreszcie, kto zadzwonił, obwieszczając, zgodnie z legendą, śmierć gospodarza Borów? Umilkli wszyscy troje.

— Szkoda... — powiedział nagle kapitan z odcieniem surowości w głosie — że nie pomógł pan, panie profesorze, kustoszowi w zamianie obrazów. Przecież to byłoby nawet naturalne: wtajemniczył go pan w to, że obraz może zostać ukradziony, a także i w to, że jesteśmy milicjantami w przebraniu. Byliście tu panowie po naszym odejściu na górę sami, tylko we dwóch. Mogliście dokonać zamiany bez żadnego kłopotu i zwracania na siebie uwagi.

— Zapewne. Ale chcieliśmy poczekać, aż wszyscy usną. Przede wszystkim chodziło nam o panią i o pana. Ze zrozumiałych względów nie chciałem, żebyście państwo spostrzegli coś niezwykłego.

— Ale nic nie stało na drodze temu, żeby pan został tu razem z kustoszem. Nawet łatwiej byłoby wam to przeprowadzić wspólnie. Jeden z panów stałby na straży, a drugi dokonałby zamiany obrazów, prawda?

— Nie wiem... — Gawroński rozpaczliwym ruchem rozłożył ręce. — Nie wiem, dlaczego tak się nie stało. Rozumiem, że Janas żyłby prawdopodobnie w tej chwili, gdybym został z nim i zrobił to, co uważa pan za bardziej prawdopodobne niż to, co zrobiłem w rzeczywistości. Gdybym wiedział... — urwał i spojrzał na ciało. — Oddałbym pół życia, gdyby można było cofnąć czas o kilka godzin. Ale nie można. Najprawdopodobniej to, co powiem, zabrmi fałszywie, ale byłem po prostu śpiący. Powietrze w Borach zawsze tak działa na mnie, kiedy przyjeżdżam tu po paru tygodniach. A Włodek miał jeszcze przecież pracować. Zawsze lubił pracować w nocy i nie widziałem w tym niczego nadzwyczajnego. Zamiana w ogóle nie wydawała mi się trudna. Był tu przecież kustoszem i miał absolutną swobodę poruszania się po całym gmachu w dzień i w nocy, bez budzenia jakichkolwiek podejrzeń.

— Hm... — powiedział Wieczorek. — To, co pan powiedział panie profesorze, brzmi bardzo przekonująco, ale... Zresztą nie mam powodu, żeby panu nie wierzyć.

— Ależ to, co powiedziałem panu w tej chwili, jest prawdą! — w głosie Gawrońskiego była niemal rozpacz.

— Zapewne... — kapitan skinął głową. — Ale czy całą prawdą?

— Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć tylko, że chociaż wszystko, co pan profesor powiedział, wydaje mi się prawdopodobne, to jednak jest coś dziwnego w pańskiej nagłej senności. Kiedy pan mówił, starałem się wczuć w pańskie postępowanie... nie, nie w chwili obecnej, ale wtedy, kiedy przyszedł pan do kustosza Janasa i powiedział mu o tym, że w pałacu jest dwoje przebranych milicjantów i że zagraniczna szajka planuje kradzież Czarnego Króla. Nie wygląda pan na człowieka, który niczym się nie przejmuje i gotów jest lekceważyć zaistniałe okoliczności. Zresztą gdyby pan był takim człowiekiem, nie kłopotałby się pan zapewne tak bardzo tym obrazem. A więc rozmawia pan z Janasem, wyjawia mu pan, zapewne w dość dramatycznej, jak na spokojne zazwyczaj rozmowy uczonych, formie to, co się stało i może stać, a potem ziewa pan i natychmiast udaje się pan do swego pokoju. Wydaje mi się to trochę nieprawdziwe, kiedy patrzę teraz na pana. Nie jest pan człowiekiem, który oddaliłby się w takiej sytuacji, a przynajmniej nie jest pan człowiekiem, który oddaliłby się od przyjaciela w tego rodzaju okolicznościach bez żadnego innego powodu prócz senności. Argument, że Janas jako kustosz mógł sobie doskonale sam dać radę, byłby w pana ustach usprawiedliwieniem, gdyby posiadał pan jakiś ważny powód, który zmusiłby pana do opuszczenia Janasa. Ale pan, panie profesorze, twierdzi, że takiego powodu nie było. Dlatego, chociaż nie mogę pańskim słowom niczego zarzucić, gdyż brzmią one prawdopodobnie i nie dałyby się obalić bez dodatkowych dowodów, nie jestem pewien, czy powiedział nam pan prawdę. Raczej jestem skłonny wierzyć, że jej pan nam nie powiedział. Ale w sytuacji, gdy po pałacu błąka się pośród kilku zaledwie niewinnych osób morderca, rozsądni ludzie mówią prawdę... o ile nie muszą

kłamać.

— Ale pan przecież... Pan nie ma prawa tak mówić!

— Prywatnie... mam. Tak jak i pan, panie profesorze, ma prawo mówić do mnie prywatnie, co pan zechce... — urwał na sekundę. — Czy nie zechciałby pan wobec tego dodać coś do swojej relacji albo zmienić ją?

Gawroński patrzył na niego przez chwilę uważnie. Przyglądająca mu się w napięciu Katarzyna pomyślała:

Stał się czujny i teraz już klops! Nie powie ani słowa więcej. Po co Stefan mu to powiedział? Ostrzegł go.

— Czy to wszystko? — zapytał Gawroński

— Na razie tak — Wieczorek skłonił głowę. — Jesteśmy panu profesorowi bardzo wdzięczni za okazaną nam do tej pory pomoc.

Gawroński opanował się z wysiłkiem. Katarzynie wydało się, że chciał coś powiedzieć. Przygryzł wargi.

— Gdyby mnie pan potrzebował, będę u siebie w pokoju — powiedział cicho.

Wieczorek raz jeszcze skłonił głowę. Uczony wyszedł, odwracając oczy od leżącego na podłodze ciała. Zostali sami.

— Po coś to wszystko powiedział? — zapytała przytłumionym szeptem.

Ale Wieczorek zdawał się nie słyszeć.

— Kłamiecie oboje — mruknął do siebie. — I robicie ogromne głupstwo, bo przeszkadzacie nam w pracy. Ogromne głupstwo... o ile jedno z was dwojga nie jest mordercą... Wtedy oczywiście to byłoby zrozumiałe.

— Kto nie jest mordercą? — zapytała zdumiona.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— Kto nie jest mordercą? Och, prawie wszyscy mieszkańcy tego świata... a także prawie wszyscy mieszkańcy Borów — z małym, ale istotnym wyjątkiem, który jak zawsze potwierdza regułę.

Katarzyna wzruszyła ramionami.

— Co teraz, mój tajemniczy szefie? — zapytała bardziej ze złością niż z ironią. — Czy będziemy szukali dalej? Boję się, że znajdziemy jeszcze kilkadziesiąt kopii Czarnego Króla, po pięć

w każdym pokoju, a morderca będzie coraz dalej, dalej i dalej...

— Nie znajdziemy już żadnej kopii — powiedział Stefan zdecydowanie. — Natomiast wiele bym dał, żeby znaleźć oryginał, chociaż...

Urwał.

— Kiedy byłam w przedszkolu, pani mówiła nam, że zawsze trzeba kończyć rozpoczęte zdanie.

— Pod warunkiem, że wie się dokładnie, co się chciało powiedzieć. Chodźmy.

17

„Przyznajesz się?!”

— Dokąd?... — zapytała szeptem Katarzyna, kiedy znaleźli się na klatce schodowej, prowadzącej ku drugiemu piętru.

— Do... — zawahał się na chwilę — do nas, na minutę chociaż. Chciałbym spokojnie pozbierać myśli i ułożyć jakoś to wszystko.

— Szczęść Boże, kosiarzu! Ja nie próbuję nawet, ale za to będziesz miał we mnie najlepszego słuchacza, jakiego miałeś w życiu... — Byli już w połowie schodów. — A swoją drogą chciałabym odnaleźć tego łobuza, który...

Urwała. Była już na krawędzi ostatniego stopnia. Drzwi po lewej stronie skrzypnęły głośno.

Małgorzata Sądecka ukazała się na progu swego pokoju i widząc Katarzynę, uśmiechnęła się do niej bladym, zmęczonym uśmiechem. Potem dostrzegła Wieczorka.

— Jak to dobrze, że państwa widzę — powiedziała półgłosem. — Skończyły mi się zapalki. Od pół godziny siedzę sama i nie mam jak zapalić papierosa. Myślałam, że zwariuję, a nie chciałam wychodzić, bo... — urwała.

Katarzyna zatrzymała się przed nią i sięgnęła do kieszonki szlafroka.

— Proszę, niech pani sobie zatrzyma—

Wieczorek przystanął obok niej.

— Dziękuję bardzo.

Katarzyna uniosła dłoń ku oczom

— A gdzie to ja się tak pobrudziłam? Lepkie... — spojrzała na szlafrok i dostrzegła wąską, białą krechę biegnącą na wysokości kolan. — Farba czy coś takiego... — wyjęła chusteczkę i otarła rękę.

— Proszę, może państwo zajdą do mnie... — powiedziała Sądecka i cofnęła się w głąb pokoju. Drzwi o wyrwanym zamku znowu skrzypnęły.

— Nie chcielibyśmy przeszkadzać... — powiedział Wieczorek.

— Och i tak nie usnę. Jak mogłabym?... Proszę...

Weszli z ociąganiem. Małgorzata usiadła na łóżku i wskazała im krzeselka. Wieczorek zamknął za sobą drzwi i stanął przytrzymując je dłonią.

— To musi być bardzo nieprzyjemnie, pozostawać w tej sytuacji w nie zamkniętym pokoju, prawda?... — powiedział dobrodusznie. — Właśnie mówiliśmy oboje z żoną, że pani jest bardzo dzielną osobą, bo to przecież okropne! I w ogóle to najbardziej wstrząsająca historia, jaką przeżyliśmy. Człowiek nie natrafia przecież co dzień na takie upiorne sprawy. Oboje doszliśmy do wniosku, że to chyba szaleniec, jakiś obłąkany. Być może nawet zakradł się tu... tak myślimy, wie pani, bo chociaż oni twierdzą, że mają kraty i psa, i instalacje alarmowe, ale przecież cudów nie ma. A nikt z obecnych nie przypomina mi osoby niezrównoważonej „psychicznie, chyba żeby to był... — zniżył głos do dramatycznego szeptu — pan Wilczkiewicz. Tak oboje z żoną pomyśleliśmy, ale broń Boże, nie chcemy powiedzieć, że to on. To zbyt okropne oskarżenie, żeby rzucać je na kogokolwiek. Prawdopodobnie zresztą, kiedy przyjedzie milicja, okaże się, że nie mamy słuszności. A pani, co pani sądzi o tym? Między nami, oczywiście.

Małgorzata zaciągnęła się głęboko. Potem wzdrygnęła się, jak gdyby przeszedł ją nagły dreszcz.

— Ja? Staram się nic nie sądzić — powiedziała cicho. — Jestem chyba straszna histeryczka. Zachowałam się na początku idiotycznie, ale to dzwonienie... Potem, na schodach, myślałam, że to jakiś głupi kawał. Podejrzewałam Marczaka i Ziętare albo może państwa oboje... Pomyślałam sobie, że pan

jest poetą i może pan sobie zażartować tak na powitanie... Ale kiedy zobaczyłam jego... — Odetchnęła głęboko. — To okropne! Nic nie rozumiem, nic... To się po prostu nie mogło zdarzyć... a przecież się zdarzyło, prawda?...

— Tak, to prawda... Mąż i ja odczuwamy to zupełnie jak pani — Katarzyna skinęła głową. — Jakby to był jakiś potworny spektakl w teatrze i zaraz okaże się, że wszystko było nieprawdą, że strzała była imitacją, a aktor zerwie się zdrów i cały, i będzie się kłaniał. A potem zapalą światła i będziemy mogli pójść do domu. Ale... to prawda.

Małgorzata uniosła dłoń ku oczom, potem opuściła ją.

— Boże, jaka ja jestem zmęczona. A przecież nie usnę. Później przyjadą ci milicjanci i będą dręczyli wszystkich godzinami: a co? a kto? a kiedy?... To chyba będzie najgorsze,

znowu mówić o tym z obcymi. A później przecież nie mogę nawet stąd wyjechać. Podpisaliśmy umowę na te przekłete freski i musimy skończyć robotę, nawet gdyby zabili stu kustoszów. Inaczej nam nie zapłacą. A nie mam forsy na to, żeby rzucać robotę tuż przed zakończeniem. Nie wiecie państwo nawet, jacy jesteście szczęśliwi, że możecie zaraz po śledztwie odjechać i nigdy tu nie wrócić...

— Pani też chyba nikt nie może zmusić w tych okolicznościach...

Małgorzata nie odpowiedziała i znowu uśmiechnęła się blade. Wieczorek wstał.

— Nie chcemy już przeszkadzać... — powiedział. — W każdym razie, gdyby pani źle się czuła w samotności, to prosimy bardzo, niech pani zapuka do nas... Proszę się nie krępować...

— Dziękuję bardzo. Państwo idziecie do siebie?

— Tak, to znaczy, sami nie wiemy. Nie mogę usiedzieć na miejscu. Po prostu nie mogę. Chodziliśmy po pałacu myśląc, że może... — rozłożył ręce. — Gdyby ten szaleniec gdzieś się ukrywał, to przecież mamy obowiązek...

— Stefan już jest taki — powiedziała Katarzyna z nie ukrywaną dumą. — Nawet wariat z kuszą go nie powstrzyma, kiedy dojdzie do wniosku, że musi wypełnić swój obowiązek.

Małgorzata nie odpowiedziała. Raz jeszcze uśmiechnęła się

ku nim swoim bladym, zmęczonym uśmiechem.

Byli już w drzwiach, kiedy doszło ich ciche:

— Dziękuję za zapalki.

W pokoju Wieczorek odetchnął głęboko.

— Czy widziałaś kiedyś piękniejszą parę zawodowych idiotów? — powiedział szeptem z satysfakcją. — Moglibyśmy być prawdziwym małżeństwem. Nie wiedziałem, że jesteś aż tak znakomitą aktorką.

— Mąż i ja niewiele wiemy o sobie — mruknęła. — On buja w obłokach, obcując z wysokimi duchami pod skrzydłem muzy, a mnie pozostawia patelnię i elektroluks.

— Muzy nie miały skrzydeł.

— Nie? — była naprawdę zdziwiona. — Mogłabym się założyć, że tak. Co teraz?

— Jak myślisz?

— Myślę, że powinniśmy zrobić to, co powinniśmy byli zrobić już przed godziną.

— Mianowicie?

— Mianowicie porozmawiać z osobą, o której wiemy, że kłamie z premedytacją i której kłamstwo możemy każdej chwili udowodnić. Myślę o pannie Wandzie Szczęśniak, sekretarce tego sympatycznego muzeum. Panna Szczęśniak ma tak mocny sen, że nawet nieobecność we własnym łóżku nie zakłóca go.

— Hm... — powiedział Stefan. — Znałem niejedną, która potrafiła usnąć nie we własnym łóżku.

— Nie wątpię w to ani na chwilę, mój zasłużony podrywacz PRL. Ale nie każdej zdarza się kłamać patrząc na szefa przebitego strzałą. A panna Szczęśniak znajduje w tym szczególne upodobanie. Idziemy?

Kapitan potakująco skinął głową. Ruszył ku drzwiom i zatrzymał się.

— A jeżeli rozmowa z panną Szczęśniak zakończy się prosto i banalnie, a wyjaśnienie jej zadowoli nas absolutnie, Co zrobimy?

— Myślę, że będzie najwyższy czas zająć się tymi dzwonekami. Jeżeli dzwoniły w bibliotece, to powinny tam być. Jeżeli ich nie ma, to znaczy, że mogli dzwonić tylko: Szczęśniakówna albo

Wilczkiewicz. Wszyscy inni byli na tym piętrze w chwili, kiedy zadzwoniło.

— Hm... — Stefan potrząsnął głową. — Myśl dobra. Ale nie lubię przedwczesnych wniosków.

— Co masz przeciwko tym wnioskom?

— Tylko to, że są przedwczesne. Idźmy do panny Szczęśniak. Ale pod jakim pretekstem?

— Och, pożyczyć zapalek. — Katarzyna uśmiechnęła się. — Albo po prostu powiem jej, że mąż i ja zastanawiamy się i zastanawiamy, i nie możemy zrozumieć, jak to było, bo ona przecież powiedziała wszystkim, że spała, a my byliśmy u niej w chwilę po tym dzwonieniu i nikogo nie było w jej pokoju. I że mąż i ja nie chcielibyśmy, broń Boże, robić kłopotu tak przemilej, inteligentnej osobie jak panna Szczęśniak, kiedy przyjedzie milicja i będzie wszystkich wypytywała, czy nie spostrzegli czegoś nadzwyczajnego.

— A co potem?

— Jak to co? Potem panna Szczęśniak musi nam odpowiedzieć.

— A potem?

— Nie wiesz przecież, co nam odpowie.

Wieczorek uśmiechnął się.

— Chodźmy.

Wyszli na palcach na korytarz. Pałac nadal pogrążony był w zupełnej ciszy. Przed drzwiami sekretarki muzeum zatrzymali się i Katarzyna zapukała cicho jednym palcem.

Czekali. Nikt nie poruszył się w głębi pokoju.

— Może teraz dopiero usnęła? — szepnęła Katarzyna. Zapukała jeszcze raz. Cisza.

Wieczorek nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły.

W pokoju płonęło światło. Stali oboje w progu przesuając oczyma po podłodze i meblach. Wreszcie wzrok Wieczorka spoczął na łóżku. Nadal nakryte było kapą.

— Ona się jeszcze nie położyła! — powiedziała Katarzyna stając na palcach i zbliżając wargi do ucha Stefana.

— Widzę. Ale gdzie ona jest? — zmarszczył brwi. — Nie mogła przecież... — Urwał, potem dokończył z lekkim zdumieniem w

głosie: — A jeżeli się mylę? Jeżeli mylę się od samego początku, to...

— Co mówisz?

— Nic, nic... — potrząsnął głową. — Zejdźmy do biblioteki. Zdaje się, że naprawdę musimy zająć się tymi dzwonekami.

Wycofali się, zamykając bezgłośnie drzwi. Na palcach ruszyli ku schodom. Wiatr za oknem umieszczonym w końcu korytarza zawył nagle wysoko, jak gdyby przypominając, że zadymka trwa. Ale i on ucichł.

Kiedy stanęli pośrodku biblioteki, Wieczorek westchnął.

— Wiem chyba, kto zabił tego biedaka... — powiedział wskazując oczyma ciało — ale, niestety, jest kilka innych ewentualności, których nie mogę wykluczyć. A dopóki istnieje chociażby mała szansa, że zabić mógł kto inny niż mój hipotetyczny morderca, nie wolno mi nazywać go mordercą.

— O kim myślisz?

— Zastanów się i sama daj odpowiedź. Tak nawet będzie lepiej. Nie zasugeruję ci nic i będę mógł skonfrontować to, co myślę, z tym, co tobie przyszło do głowy.

Katarzyna rozłożyła ręce.

— Mogłabym wymienić każde z tych pięciu nazwisk. Nikt w moim przekonaniu nie ma absolutnego alibi, ale nikomu nie umiałabym udowodnić, że zabił. Poza tym te obrazy... gubię się w nich. Nie rozumiem, jak ty możesz widzieć cokolwiek przez te wszystkie kopie? I te dzwoneki... i ten facet przed bramą w samochodzie... no i morderstwo^ Nie, nie wiem... Każde z nich mogło to zrobić.

— Nie... — potrząsnął głową. — Ale w tej chwili ważne jest tylko jedno: czy te dzwoneki są tutaj, a jeżeli nie dzwoneki, to jakiś przyrząd czy rzecz, która wydawałaby właśnie taki dźwięk, jaki słyszeliśmy.

Położył się na dywanie i zajrzał pod najbliższą szafę biblioteczną. Katarzyna odeszła od kominka, przy którym stała. Zaczęła rozglądać się, lustrując uważnie oczyma wiszące nad szafami obrazy i każde, najmniejsze załamanie muru.

Stefan wyprostował się na klęczkach i pochylił, żeby zajrzeć pod następną szafę. Ale nie zajrzał.

Oczy jego przesunęły się po odległych drzwiach zbrojowni. Dostrzegł wąską, czarną szparę. A przecież mógł przysiąc, że jeszcze przed chwilą były zamknięte.

Szpara rozszerzyła się, drzwi skrzypnęły cichuteńko. Katarzyna odwróciła się na pięcie i dostrzegła smugę ciemności, a w niej metaliczny połysk ostrza beltu, wymierzonego w jej pierś.

Wieczorek chwycił w obie dłonie skraj dywanu i szarpnął z całych sił. Dziewczyna runęła jak długa tak niespodziewanie, że zaledwie zdążyła wyciągnąć odruchowo ręce, żeby nie uderzyć twarzą o podłogę.

W tym samym ułamku sekundy coś świsnęło przeraźliwie nad jej głową. Wieczorek zerwał się i skoczył ku drzwiom zbrojowni, ale zatrzasnęły się one błyskawicznie i klucz zgrzytnął w tej samej chwili, kiedy złapał za klamkę.

Kapitan cofnął się i uderzył ramieniem w drzwi. Nie drgnęły nawet. Obrzucił je szybkim spojrzeniem i zerknął na wstającą Katarzynę.

— Szybko! — porwał ją za rękę, zanim zdążyła wyprostować się, i pociągnął ku drzwiom prowadzącym na klatkę schodową. Ku jej zdumieniu popędzili nie w górę, ale w dół po marmurowych schodach.

— Co?... — wyszeptała zdyszana, kiedy zwolnił na ułamek sekundy w sieni.

— Cicho... — położył palec na ustach, a później wsunął rękę do kieszeni i odbezpieczył pistolet Ruszyli na palcach ku drzwiom prowadzącym do podziemia.

Owionął ich chłód. Błede lampki w sklepionym korytarzu nadal płonęły równym, nikłym blaskiem, który migotał na wilgotnych murach.

W dali zobaczyli smugę ostrzejszego blasku, padającego z uchylonych drzwi. Wieczorek raz jeszcze położył palec na ustach. Tłumiąc przyspieszone oddechy, podeszli, skradając się.

Byli jeszcze o kilka kroków od drzwi, kiedy usłyszeli suchy, chrapliwy głos Wilczkiewicza.

— Czy przyznajesz się?...

Nie wchodząc zajrzeli.

Zastępca kustosa muzeum w Borach stał na rozstawionych nogach, trzymając gotową do strzału kuszę, do której właśnie założył nowy bełt. Broń uniosła się i spojrzenia obojga patrzących powędrowały ku drewnianej ścianie, na której widzieli przed kilku godzinami groteskowo namalowane postaci dawnych wojowników.

Katarzyna zakryła ręką usta. Postaci trwały tam nadal, ale nie one były celem, do którego mierzył Wilczkiewicz. Pośrodku ściany stała zupełnie nieruchomo Wanda Szczęśniakówna, a ciało jej okalały, jak upiorna ramka, wbite wokół głowy, ramion i tułowia bełty.

Święty Sebastian... — przemknęło przez myśl kapitana.

Szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczyma dziewczyna patrzyła przed siebie, ku człowiekowi, który uniosł kuszę i powiedział niemal spokojnie:

— Nie próbuj poruszyć się, bo przybiję ci serce do ściany, jeżeli masz serce. I nie próbuj krzyczeć, bo nikt nie usłyszy, sama o tym wiesz. Kłamałaś! Kłamałaś patrząc na jego zwłoki i nie miałaś ani wstydu, ani litości, ani nie było w tobie skruchy. Ja też nie będę miał dla ciebie litości. Chcę tylko jednego, żebyś się przyznała: tu, wobec mnie! To wszystko. Potem... potem nie wiem, co zrobię... Może cię zabiję, a może oddam milicji? Nie wiem. Ale musisz się przyznać. Przyznajesz się?...

Ostatnie słowa były bardzo ciche. Dziewczyna nie drgnęła. Jej otwarte oczy wpatrywały się w ostrze bełtu. Wilczkiewicz strzelił, niemal nie celując. Strzała wbiła się o milimetry od głowy Wandy, która nie poruszyła się.— Przymknęła tylko na chwilę oczy i otworzyła je natychmiast.

Ruch, którym Wilczkiewicz sięgnął po nowy pocisk, był tak szybki i naturalny, że Katarzynie wydał się nieuchwytny. Wieczorek sprężył się. Nie zdążył. Wiedział, że nie zdąży i zamarł. Strzała świsnęła i wbiła się po drugiej stronie głowy dziewczyny na wysokości oczu.

— Czy przyznajesz się?... — powiedział cicho zastępca kustosa.

Wanda drgnęła, zachwiała się lekko i wyprostowała. Stojący

przed nią człowiek pochylił się ku przodowi, wpatrzony roziskrzonymi oczyma w jej twarz. Dziewczyna z wolna opuściła głowę. Poruszyła ją dwukrotnie. Ruch był nieznaczny, ale mógł oznaczać tylko jedno: przyznanie się.

Wilczkiewicz konwulsyjnym ruchem sięgnął po następny pocisk, ale nie nałożył go już do kuszy, gdyż wyfrunęła ona z jego rąk i upadła pod ścianę. Szarpnął się, ale pozornie niewinny chwyt, którym kapitan unieruchomił jego rękę, nie pozwolił mu ruszyć się z miejsca. Katarzyna podbiegła do ślaniającej się Wandy.

— Przyznała się... — szepnął Wilczkiewicz. — Czy słyszeliście?
— Głos jego urósł. — Przyznała się!

Stefan puścił jego rękę.

— Sam bym się przyznał, będąc na jej miejscu — powiedział spokojnie. — Bądź co bądź zastosował pan wymuszenie przy pomocy tortur i grozi panu za to poważna odpowiedzialność. Gdyby pan chybił o dwa, trzy centymetry, mielibyśmy drugie morderstwo w Borach podczas tej samej nocy...

— Nigdy nie chybiam... — Wilczkiewicz wzruszył ramionami. Spojrzał na Szczęśniakównę, która stała pod ścianą z przymkniętymi oczami, oddychając ciężko i ściskając rękę Katarzyny. — Włos jej nie spadł z głowy. I wątpię, czy bez użycia nadzwyczajnych metod wyciągnęłoby się z niej prawdę, mój panie Najmądrzejszy! Nie wiem, co was tu sprowadziło, ale gdybym miał jeszcze pięć minut czasu, otrzymalibyśmy jej spowiedź na piśmie i sprawa byłaby załatwiona. Sąd nie miałby kłopotów.

— Obawiam się, że zeznanie złożone w tych warunkach nie przedstawiałoby dla sądu żadnej wartości i panna Szczęśniak mogłaby z łatwością udowodnić swoją niewinność, nawet po złożeniu stu pisemnych spowiedzi.

— Niewinność — Wilczkiewicz zrobił kilka kroków i zatrzymał się przed stojącą. — Może sama powiesz tym obrońcom niewinności, skąd wiem, że zabiłaś Władka!

Dziewczyna nie odpowiedziała. Katarzyna mimo woli zrobiła krok ku przodowi. Wieczorek uśmiechnął się niedostrzegalnie, ale natychmiast spoważniał. Wyobraził sobie nagle, jakie

byłoby zdumienie pana Wilczkiewicza, gdyby przekonał się, że ta drobna, słaba, młoda żona poety umie unieruchomić dorosłego mężczyznę z równą łatwością, z jaką zrobił to przed chwilą jej mąż. Ale zastępca kustosa uspokoił się nagle.

— No, powiedz im! Nie wstydź się! I tak będziesz musiała powiedzieć to wszystkim: powiedz im, jak wszedłem do twojego pokoju, nie podejrzewając niczego! Chciałem porozmawiać z tobą... Przecież tylko my dwoje pracujemy tu, a oni wszyscy są obcy. Wszedłem i od razu zauważyłem, że kłamałaś. Nikt nie spał dzisiaj w nocy w twoim łóżku... — Zwrócił się ku Wieczorkowi. — Było zasłane. A przecież w żywe oczy skłamała nam, kiedy zeszła do biblioteki. Wszyscy to słyszeliśmy. Jak każdy morderca, popełniła jeden mały błąd i to przesądziło sprawę. Nie dałem niczego poznać po sobie — uśmiechnął się złym, niewesołym uśmiechem — powiedziałem jej, żeby zeszła do mnie, bo mam tu u siebie coś bardzo ważnego, dowód, który chciałem jej pokazać. Na pewno ucieszyła się w duchu, myśląc, że ktoś niewinny może zostać obciążony. Zeszła nie podejrzewając niczego. Wtedy wziąłem kuszę... Nie mogła się ruszyć, to pewne... — dodał z cichą satysfakcją. — Bała się krzyczeć, to też pewne... — spojrzał na Szcześniakównę. — Jeżeli myślałaś, chociaż przez chwilę, że uda ci się wywinąć z tego, to nie doceniłeś mnie, kochasiu. Gdyby ci ludzie nie weszli w najnieodpowiedniejszym momencie, miałbym już twoje zeznanie, ale wydaje mi się, że może to nawet i lepiej, że jest nas tu czworo. Radzę, powiedz całą prawdę, bo... — głos jego zadrżał niebezpiecznie — przysięgam ci, że nie wypuszczę cię stąd, póki nie powiesz nam dokładnie, jak to było i dlaczego go zabiłaś.

Szcześniakówna uniosła głowę i spojrzała na niego oczyma udręczonego zwierzęcia.

— Ale ja go nie zabiłam... — powiedziała tak cicho, że nawet Katarzyna, stojąca tuż przy niej, z trudnością odróżniła poszczególne słowa.

— Co? Nie zabiłaś go?!

— Nie.

— I myślisz, że kiedy powiesz to milicji, uwierzą ci! Na

szczęście wszedłem do twojego pokoju i będę świadczył przed każdym trybunałem na tym świecie, że okłamałaś nas cynicznie, z zimną krwią, w parę minut po śmierci Janasa!

Szczęśniakówna nie odpowiedziała. Ukryła twarz w dłoniach i oparła się o ścianę z desek. Wieczorek wpatrywał się przez chwilę w kontur biegnącego żołnierza, który zdawał się uciekać od Wandy w mrok leżący poza zasięgiem żarówki.

— Jeżeli pani nie zabiła kustosza Janasa — powiedział łagodnie — to musi pani wyjaśnić te... hm... nieścistości w swoim postępowaniu. Obawiam się, że to będzie konieczne. Inaczej naprawdę nikt pani nie uwierzy.

— Nieścistości! — Wilczkiewicz strzelił palcami, aż echo rozległo się w lochu. — Piękne słówko! Czy nie widzi pan, że mamy przed sobą najbardziej wyrafinowanego, chytrego mordercę, jakiego można sobie wyobrazić! Dziewczyna o sarnich oczach, cichym głosie i tak zwanym łagodnym charakterze! Tak się to określa, prawda? Łagodnym charakterze! A pod tą owczą skórą bije serce wilka! Kłamie! Kłamała w bibliotece i kłamie teraz! I będzie kłamała, póki jej nie udowodnią czarno na białym, że jest zwykłym, marnym kłamcą i nie zaprowadzą jej pod szubienicę! Wtedy odetchnę i uwierzę, że sprawiedliwość istnieje na świecie, a „Władek został pomszczony.

— Ale ja go nie zabiłam... Nie zabiłam! — krzyknęła. I nagle, jak gdyby pękła tama wstrzymująca powódź nie wypowiedzianych słów, wyprostowała się, oderwała od ściany i zrobiła krok ku przodowi.

Nie patrzyła na Wieczorka ani na Katarzynę, jak gdyby nie istnieli oboje.

— Wiesz przecież, że profesor Gawroński ma żonę, która od dwóch lat kona w sanatorium. I ma dwoje dzieci... — zawahała się na ułamek sekundy. — On kocha mnie. I ja jego kocham... ale ona... Nie może się o tym dowiedzieć. Nigdy, dopóki żyje. To byłaby zbrodnia wobec niej i wobec tych dzieci... — opuściła głowę, ale natychmiast uniosła ją i mówiła dalej, coraz gwałtowniej. — Tak, on skłamał i ja skłamałam! Masz słuszność, wywęszyłeś to od razu. Możesz być dumny z siebie!

Tylko... tylko, że to nie pomoże kustoszowi, a mnie... a nam... — urwała i dokończyła cicho: — chciałeś wiedzieć, gdzie byłam, kiedy zabito Janasa. Wiesz już: spałam nie u siebie w pokoju. Nie wstydzę się tego, bo kocham tego człowieka, ale teraz wszyscy się dowiedzą. Te dzieci. Chciałam być dla nich matką kiedyś... chciałam... a teraz już koniec... przez ciebie... będę musiała opowiadać przed sądem, żeby bronić życia. On też będzie musiał... A ja już nie chcę żyć... — uniosła głowę i spojrzała w przestrzeń pustym, nie— widzącym spojrzeniem. — Co wyście mi zrobili? Dlaczego?... Co ja złego wam zrobiłam? Przecież kocham go... I on mnie kocha... Ale dla ludzi to będzie co innego, to, co zwykle bywa w takich wypadkach: młoda sekretarka i profesor... Możesz być dumny. Powiedziałam ci prawdę. Teraz idź do milicji, idź wszędzie, rozgłaszaj, co wiesz o mnie i o nim. Niech się dowie jego konająca żona, koledzy, dzieci, ludzie, z którymi pracuje. To będzie prawdziwa sensacja na parę dni... A potem nic już nie zostanie z naszej miłości.

Odwróciła się gwałtownie do ściany i ukryła twarz w dłoniach.

— Jezus Maria... — szepnął Wilczkiewicz. Gdyby nie tragizm sytuacji, przemiana, która w nim nastąpiła, rozśmieszyłaby chyba Wieczorka. Zastępca kustosza opuścił bezwładnie ręce wzdłuż tułowia i wymamrotał coś niezrozumiałego. Potem nagle zbliżył się do łkającej dziewczyny: — Wanda! Wanda, na miłość boską... nie płacz. Przepraszam... Ale kto by mógł pomyśleć... To nerwy, słuchaj, nerwy. Władek nie żyje i nikt z nas nie jest przecież sobą w tej chwili... Ale nikt się o tym nie dowie... — Odwrócił się ku Katarzynie. — Prawda? Przecież państwo także nikomu o tym słowa nie powiedzą... Wanda, słuchaj... no, posłuchaj mnie: przepraszam cię. Ja już zapomniałem o tym, co mówiłaś. Mogę ci dać na to słowo.

Szczęśniakówna nie odpowiedziała. Nadal kryjąc twarz w dłoniach, potrząsnęła przecząco głową.

— Niech się pani uspokoi... — Katarzyna dotknęła jej ramienia. — Najlepiej będzie, jeżeli się pani teraz położy i odpocznie trochę po tym... nieporozumieniu.

Ujęła w pól nie opierającą się dziewczynę i ruszyła z nią z

wolna ku drzwiom.

— Niech będę przekłęty! — powiedział Wilczkiewicz i z pasją uderzył się palcami w czoło. — Ależ idiota ze mnie! Jak ja tego mogłem nie zauważyć! Oczywiście... no, oczywiście! Biedaczka. A ja jestem cham, zwyczajny cham, proszę pana... — Spojrzał z nagłą sympatią na Wieczorka. — Boże, co za szczęście, że zjawiliście się państwo tutaj. Nie wiem, co by się mogło stać. Co za szczęście! — Podszedł do leżącej kuszy, uniósł ją odruchowo, położył na niej bełt i strzelił, nie patrząc. Grot utkwił w desce.

Jak gdyby strzał ten sprawił mu ulgę, Wilczkiewicz wyprostował się i potrząsnął głową.

— Ależ błazen ze mnie!

— Pójdę już — powiedział półgłosem Stefan, wskazując drzwi, za którymi zniknęły właśnie obie dziewczyny. — Lepiej, żeby pan unikał przez pewien czas panny Szczęśniakówny. Za parę godzin przejdzie jej to wszystko. Niech pan tu zostanie, dobrze?

— Oczywiście, oczywiście... — zastępca kustosa stracił nagłą całe pragnienie działania. — Chyba nigdy się jej na oczy nie pokażę. Boże, co ja zrobiłem temu biedactwu. Zmusiłem ją, żeby... — machnął ręką. — Stało się. Ale nigdy sobie tego nie daruję.

Spojrzał na ścianę, gdzie szereg pierzastych bełtów układał się w symetryczny zarys ludzkiej głowy i ramion. Wzdrygnął się.

Stefan położył mu dłoń na ramieniu. Potem, bez słowa, wyszedł.

W sieni dopędził obie dziewczyny.

— Czy długo panią tam dręczył? — zapytał półgłosem.

— Nie wiem... — Szczęśniakówna spojrzała na niego zmęczonymi oczyma, w których nie było już przerażenia, tylko smutek. — Wydawało mi się, że całe godziny, ale pewnie to było o wiele krócej. Boże, jak się bałam... — dokończyła szczerze. — To było okropne. Gdybyście państwo nie weszli, nie wiem, co on by zrobił ze mną. Myślałam, że oszalał. A potem zlekłam się jeszcze więcej, bo pomyślałam, że pan mnie aresztuje... albo jego... i że wszyscy się zbiegną, i...

— Aresztuje? — Katarzyna zatrzymała się z dłonią na poręczy

schodów. — Jak to aresztuje?

— Bo... — dokończyła szeptem Szczęśniakówna — Henryk — to znaczy profesor powiedział mi, kim państwo jesteście... Martwił się o ten obraz i opowiedział mi wszystko.

— Hm... — Wieczorek rozłożył ręce. — Nie można powiedzieć, żeby pan profesor należał do ludzi absolutnie skrytych. Ale do pani ma, oczywiście, bezgraniczne zaufanie. — Odwrócił głowę, żeby nie dostrzegła uśmiechu, którego nie mógł powstrzymać.

Znajdowali się w tej chwili przed biblioteką. Kapitan dotknął palcami ramienia Katarzyny.

— Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli pójdziesz teraz z panią do pani pokoju i zamkniesz od wewnątrz drzwi na klucz. — Widząc niechętnie spojrzenie Katarzyny, dodał szybko: — Ja jeszcze wejść na chwilę do biblioteki i dokończę oględzin, które musieliśmy przerwać. Myślę, że pani nie powinna być teraz sama, a z drugiej strony, nie powinna pani tu wchodzić, prawda?

— Czy... czy on tam jeszcze leży? — zapytała Wanda z drżeniem w głosie.

— Tak. Idźcie panie teraz na górę, zamknijcie drzwi i nie otwierajcie nikomu, dopóki nie wrócę. Będę za pięć, dziesięć minut.

Katarzyna skinęła głową. Odeszły z wolna po schodach. Patrzył za nimi, a później nadsluchiwał, póki nie usłyszał odgłosu zamykających się drzwi na górze. Odwrócił się powoli i wszedł do biblioteki.

18

„Tylko jeden morderca...”

Spojrzał na zegarek. Piąta. Już niedługo. Wielki dom wypełni się ludźmi. Czterej z nich położą na noszach leżące w tej chwili na dywanie ciało i wyniosą je do czekającego przed pałacem samochodu. Kustosz Władysław Janas po raz ostatni minie próg swego królestwa.

Wieczorek powoli sięgnął do kieszeni i wyjął papierosa, ale po namyśle wsunął go na powrót do pudełka. Kto zabił? Wy – .dawało mu się, że teraz wie już na pewno, ale... Nie, nie było innej możliwości. Morderca był w tej chwili tak wyraźnie widoczny w jego umyśle, jak gdyby stanął przed nim żywy i przyznał się do winy.

Ale w tej koszarnej układance brakowało jeszcze paru małych cegiełek, które musiały wejść na swoje miejsce po to, żeby obraz stał się absolutnie przejrzysty.

Kapitan rozejrzył się. Te dzwonki? Oczywiście, mogło być tak, że...

Szybko zbliżył się do kominka i nagle znieruchomiał. Prawa dłoń opadła z wolna i zacisnęła się na rękojeści trzymanego w kieszeni pistoletu.

Szmer w kominku powtórzył się i kawałek cegły opadł z cichym szelestem w popiół. Wieczorek zbliżył się jeszcze o krok na palcach.

Pochylił się. Jeszcze jeden szmer. Cisza. Chrobot. I nagle w kominku ukazały się dwie nogi ludzkie. Kapitan pochylił się i chwycił je, ciągnąc z całej siły w dół. Nogi szarpnęły się rozpaczliwie, w głębi kominka ktoś zaklął cicho i człowiek runął w dół, pociągając Wieczorka za sobą.

Kapitan zerwał się pierwszy.

— Ręce do góry!

Błękitna, oksydowana lufa pistoletu mierzyła w pierś malarza Marczaka, który siedział w głębi kominka, wciąż jeszcze tuląc pod lewą pachą zawinięty w płótno płaski, prostokątny przedmiot. Pełnymi przerażenia oczyma patrzył w otwór broni.

— Niech pan nie strzela... — powiedział cicho. — Na miłość boską niech pan tylko nie strzela... Ja, to znaczy, on tu jest. Niech go pan weźmie, ale niech pan nie strzela!...

Drżącymi rękami ujął przedmiot i wyciągnął go ku kapitanowi, nie poruszając się z miejsca.

— Co to jest?

— Trzeci Król, oryginał...

Drzwi zbrojowni skrzypnęły cicho, ale w tej samej chwili Marczak poruszył się i Wieczorek nie usłyszał tego

skrzypnięcia.

— Niech pan go weźmie... ale niech pan mnie nie... Ja wiedziałem, że to pan!.. — powiedział gorączkowo malarz. — Wiedziałem i nie powiedziałem nikomu... Niech pan nie strze...

W tej samej chwili kapitan usłyszał za swoimi plecami ruch. Obejrzał się. Za późno. Wielka, srebrna taca, którą Ziętara trzymał w obu dłoniach, opadła.

Świat zawirował w oczach Wieczorka i nagle wszystko zgasło.

— Niech pani się położy — powiedziała Katarzyna. — Nie ma już powodu do zdenerwowania. Spróbujemy wszystko tak załatwić, żeby pani... sprawa nie była konieczna w śledztwie. — A pan Wilczkiewicz na pewno nikomu słowa nie powie. Wydaje mi się, że jest zupełnie złamany tym, co się wydarzyło w tej piekielnej „kuszami”.

Wanda uśmiechnęła się do niej niepewnie i opadła na łóżko.

— Boże... — powiedziała ze zdumieniem. — Jaka ja jestem podła. Ten biedny kustosz nie żyje przecież, a ja nie mogę w ogóle myśleć o jego śmierci, tylko o sobie i o moich sprawach. Nigdy nie przypuszczałam, że mogę być taka nikczemna.

— Wszyscy tacy jesteście — Katarzyna usiadła przy niej I zapaliła papierosa. — Teraz, kiedy pani wie, jaki jest mój zawód, mogę się pani przyznać, że początkowo mnie to też zdumiewało. W każdym prawie śledztwie pojawiają się ludzie, którzy zakłócają dochodzenie, ukrywając dowody albo myląc poszlaki dla przyczyn, które postronnemu obserwatorowi wydają się zupełnie błahe, ale...

Nie dokończyła.

— Mamy go! Mamy go!

Głos był przytłumiony i dochodził z dołu. Ale na pewno krzyczał mężczyzna.

— Mamy go! Mordercę! Jest tu!

Wanda zerwała się z łóżka. Podbiegły obie do drzwi. Na korytarzu Katarzyna zobaczyła Sądecką, wybiegającą z pokoju. Za nią wynurzył się spoza zakrętu profesor.

Wszyscy zaczęli zbiegać po schodach.

— Mamy go! — krzyknął człowiek znowu. Katarzyna rozpoznała głos Ziętary.

Zawahała się. A później, jak gdyby nie przykładając żadnej wagi do tych okrzyków, weszła do jednego z pokojów.

Szum w głowie trwał, ale ściany pokoju pojawiły się przed oczyma, zawirowały i znieruchomiały. Kapitan Stefan Wieczorek potarł głowę i usiadł na dywanie. Uniósł oczy. Wokół niego stała grupka ludzi, nieruchomych, śledzących każdy jego ruch. Ziętara znowu uniósł tacę, jak gdyby chciał dać mu do zrozumienia, że najmniejszy ruch i...

— Nie trzeba... — Marczak pokazał trzymamy w dłoni pistolet kapitana. — Nie ucieknie.

Ziętara niechętnie położył tacę na stole.

— Gdzie jest ten morderca? — zapytał Gawroński.

— Jak to, gdzie? Tu! — Marczak wskazał lufą pistoletu.

— Oszalał pan?! Przecież to kapitan milicji z Komendy Głównej z Warszawy! — Gawroński podszedł do Wieczorka. — Co tu się stało?

— Kapitan Komendy Głównej... Ale przecież... — dopiero teraz Marczak wstał. — On... ten pan... chciał mnie...

Wieczorek potarł głowę. Przełknął ślinę.

— Ciężka jest ta taca — powiedział cicho. — Dobrze srebro, zdaje się... Niech pan uważa, bo chociaż może się to panu wydać nieprawdopodobne, ale jest nabity.

Znowu potarł czoło.

— Tylko tego mi brakowało i to akurat w chwili, kiedy muszę zebrać myśli, żeby... żeby...

Marczak mimo woli skierował lufę pistoletu w dół.

— Obawiam się, że panowie wzięli mnie za zabójcę — powiedział kapitan do Gawrońskiego. — Myślę, że ciągle jeszcze nie chcą uwierzyć, że to nie ja... Ale wystarczy mała poprawka i wszystko będzie jak trzeba. Morderca jest w tym pokoju.

— Kto? — powiedział zduszonym głosem Wilczkiewicz.

— Chwileczkę... Pan Ziętara potraktował mnie z takim

rozmachem, że o mało nie wbił mi głowy w płuca... Jeszcze chwileczkę... Już. Zaczynam rozumieć własne myśli, a to też coś. Czy to jest oryginał Trzeciego Króla?

— Tak...

— Może pan sprawdzi łaskawie, panie profesorze. Tyle tych obrazów przewinęło się tu dzisiaj, a ja... — potarł głowę. — Już jest guz — odwrócił głowę ku Ziętarze. — Kiedy załatwimy sprawę zabójstwa, oskarżę pana chyba o chuligaństwo. Uderzenie twardym narzędziem z tyłu w celu... Ba! Ale pan, jak pan twierdzi, chciał jak najlepiej. Zaraz się przekonamy. Czy to oryginał, panie profesorze?

— Tak — Gawroński, który odwinął obraz i przyglądał mu się uważnie przez chwilę, odłożył go teraz z największą ostrożnością na stół.

Wieczorek zwrócił się ku obu malarzom.

— A te dzwoneczki to panowie też spuścili przez kominek, tak?

Obaj bez słowa przytwierdzili głowami.

— To miał być żart wymierzony przeciwko koleżance? Piękny żart, nie ma co mówić. A raczej piękny zbieg okoliczności. Ale byłem o tym przekonany od pierwszej chwili. Te zapalki...

— Jak wyście mogli... — powiedziała cicho Sądecka.

— Widzi pani, oni nie wiedzieli przecież, że tam na dole leży kustosz.

— Jakie zapalki? — powiedział Marczak.

— Zaraz... — powiedział Wieczorek — zaraz będzie i o zapalkach. Ale zacznijmy może od początku, bo to dobra, stara tradycja i unikniemy bałaganu. A więc założyliśmy, że kustosza nie zabił nikt z zewnątrz, co możemy uznać za pewne, ponieważ pałac posiada potężne kraty, zamki i czynną instalację alarmową, a strzeże go w dodatku ogromny pies, który natychmiast wszcząłby alarm. Jeżeli dodamy, że ów hipotetyczny obcy musiałby tak dokładnie wiedzieć, gdzie znajdują się kusze i pociski do nich w tym domu, że trafiłyby do nich po omacku, nie robiąc żadnego hałasu, a poza tym, że jest on strzelcem doskonałym z tego zdumiewającego średniowiecznego narzędzia mordy, to całość przedstawi nam

się tak nieprawdopodobnie, że musimy uznać za absolutnie niemożliwe, aby mordercą był ktoś spoza pałacu. W związku z tym, ponieważ osoba znana jako moja żona, a będąca moją koleżanką i oficerem milicji, była dla mnie od pierwszej chwili poza podejrzeniem, pozostawały mi do rozpatrzenia następujące osoby:

- 1) pan Wilczkiewicz
- 2) panna Szczęśniakówna
- 3) panna Sądecka
- 4) pan Marczak
- 5) pan Ziętara i
- 6) pan profesor Gawroński.

Pomiędzy tymi ludźmi musiałem odnaleźć zbrodniarza. Sytuacja nie była prosta, a komplikował ją jeszcze następujący fakt: otóż przybyliśmy tu oboje, moja koleżanka i ja, dla ochrony obrazu zwanego Trzecim Królem. Komenda Milicji uzyskała z zagranicy informacje, że obraz ten może zostać skradziony przez międzynarodowy gang rabusiów dzieł sztuki, mający swoją siedzibę w Niemczech zachodnich i ekspozyturę wschodnio-europejską w Wiedniu. Przedstawiciel Interpolu przywiózł nam replikę Czarnego Króla, którą mieliśmy dziś w nocy zawiesić w tej bibliotece, aby sekretnie zabezpieczyć oryginał i przekazać go do kasy ogniotrwałej Komendy MO na czas potrzebny do zastawienia pułapki na złodziei. Nie wiedzieliśmy oczywiście, kiedy rabusie uderzą. Z części tego naszego zamiaru musieliśmy zwierzyć się profesorowi Gawrońskiemu, który w imieniu ministerstwa przywiózł nas tu zakamuflowanych jako poetę i jego żonę...

— No... — mruknął Marczak. — Od razu wydawał mi się pan za normalny na poetę. Ale pomyślałem sobie, że to właśnie pan jest...

— Cicho! — powiedział Ziętara. — Posłuchaj!

— Pan profesor Gawroński — ciągnął dalej Wieczorek — wiedział, że jesteśmy milicjantami, ale nie wiedział o tym, że chcemy zamienić obrazy. Komenda Główna sądziła, że o tym nie powinna wiedzieć absolutnie żadna z osób bywających w Borach. Nie wiedzieliśmy przecież, kto może być współnikiem

bandy, a w grę wchodziło kilkaset tysięcy dolarów.

— Jest to suma tak olbrzymia, że trzeba było przedsięwziąć wszelkie możliwe środki ostrożności.

— Teraz przejdę do tych kilku godzin, które poprzedziły zbrodnię. Otóż mniej więcej o godzinie pół do dwunastej, a nawet kilka minut przedtem, dokonaliśmy, nie zauważeni przez nikogo, zamiany obrazów. Wracając wraz z obrazem, który uważaliśmy w owej chwili za oryginał Trzeciego Króla, dostrzegliśmy wchodzącego do biblioteki kustosza Janasa. On także niósł kopię Trzeciego Króla! Szybko udaliśmy się do mojego pokoju, skąd krótkofalówką, która nadal się tam znajduje, zameldowaliśmy o wykonaniu zadania, zabezpieczeniu oryginału i o tym, że złodziejem jest najprawdopodobniej kustosz Janas, ponieważ zobaczyliśmy go, gdy wchodził do biblioteki, aby, jak sądziliśmy, dokonać zamiany obrazów i ukraść oryginał.

— Ależ to absurd! — powiedziała Szczęśniakówna. — Pan Władysław nigdy by...

— Ten człowiek bredzi — Wilczkiewicz spojrzał na Gawrońskiego. — Czy to naprawdę oficer milicji?

— Tak... — profesor skinął głową. — Może zaczekajmy do końca, bo to, co pan Wieczorek ma nam do powiedzenia, jest, dla mnie przynajmniej, zupełnie oczywiste i słuszne do tej chwili.

— Jak to? — powiedział Wilczkiewicz. Ale zamilkł.

— W przekonaniu naszym utwierdził nas jeszcze bardziej nasz punkt obserwacyjny znajdujący się w okolicy pałacu — ciągnął dalej kapitan — który z kolei przekazał nam informację, że w pobliżu bramy zatrzymał się samochód ze zgaszonymi światłami. My sami dostrzegliśmy w ogrodzie cień człowieka, przemykający się w tamtym kierunku. Obok niego biegł pies, nie wykazujący żadnej wrogości, trzeba więc było założyć, że jest to ktoś, kogo pies ten zna. Ponieważ widzieliśmy przed chwilą kustosza zamieniającego obrazy w bibliotece, więc nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że to on jest złodziejem. Zresztą punkt nasz przekazał ów obcy wóz do następnego punktu i mogliśmy być spokojni: złodziej wpadnie w zasadzkę, którą

zastawiliśmy wraz z Interpolem. Trzeci Król, według wszelkich reguł gry, znajdował się w futerale w moim pokoju, a złodziej uwoził kopię Interpolu. O to nam przecież tylko chodziło. Plan udał się w całej rozciągłości i byliśmy przekonani, że jutro... — zerknął na zegarek — to znaczy dziś, odwołają nas stąd. Ale... — urwał i po chwili podjął znowu — dzwonki zadzwoniły w bibliotece, a po chwili rozległ się krzyk panny Sądeckiej. Ja także, wybiegając z pokoju, byłem przekonany, że to czyjś żart. Ale byłem tu na służbie, a legenda o dzwonkach dotyczyła Trzeciego Króla. A wszystko, co mogło go dotyczyć, było dla nas ważne. Ponieważ krzyczała kobieta, zebraliśmy się przed drzwiami panny Małgorzaty. Wyłamaliśmy je i zobaczyliśmy, że drży pani z przerażenia. Widziałem wiele przerażonych osób w życiu i mogłem przysiąc, że pani nie udaje. A więc nie pani była autorem tego dowcipu. Ale kto? W czasie, kiedy wyszliśmy z pani pokoju i czekaliśmy pod drzwiami, dostrzegłem pewną, nieco dziwną rzecz: początkowo nie zwróciłem nawet na nią specjalnej uwagi, ale wieloletnia służba w milicji tworzy coś w rodzaju skazy zawodowej. Otóż pan Ziętara wyciągnął z kieszeni pyjamy paczkę papierosów i zapalki. Pan Marczak wziął wawela i wyciągnąwszy z kieszeni swojej pyjamy własne zapalki, zapalił panu i sobie.

— I cóż w tym dziwnego? — zapytał Marczak. — Czy chciał pan, żebym wyciągnął hubkę i krzesiwo?

— Nie. Ale hubka i krzesiwo byłyby w tym wypadku równie nieoczekiwane jak zapalki.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że panna Sądecka zaczęła krzyczeć o północy, kiedy, jak panowie zeznaliście, pogrążeni byliście obaj, każdy w swoim pokoju, w głębokim śnie. Otóż, nawet jeżeli mogę wyobrazić sobie, że istnieją ludzie, którzy usypiając na trzeźwo mogą przez zapomnienie pogrążyć się we śnie z paczką papierosów w kieszeni pyjamy, to absolutnie nie wyobrażam sobie, żeby można było usnąć, mając w kieszeni pyjamy pudełko zapalek!

— Hm... — powiedział Ziętara — rzeczywiście. To by było trudne. Twarde i grzechoczą.

— No właśnie! Człowiek nie może nawet przekreślić się na drugi bok, żeby ich nie wyczuć i nie usłyszeć. A poza tym każdy palacz trzyma przecież zapalki nie w kieszeni pyjamy, ale przy łóżku, na nocnym stoliku, na krześle, nawet na podłodze, żeby móc po nie sięgnąć. Jak Europa długa i szeroka, jeżeli odkrylibyśmy dachy domów i zajrzeli do mieszkań, ręczę, że nie znalazłby się ani jeden człowiek śpiący z zapalkami w kieszeni kurtki od pyjamy. A jeśliby się taki znalazł, to trudno sobie wyobrazić, żeby mogło ich być dwóch w jednym domu i pod jednym dachem. Prawda?

— Ale jakie wyciągnął pan wnioski? — Gawroński najwyraźniej nie rozumiał.

— Bardzo proste. Panowie Ziętara i Marczak mieli jednak zapalki w kurtkach pyjam, chociaż zerwali się z łóżek na dźwięk przeraźliwego krzyku panny Sądeckiej. A to mogło oznaczać tylko jedno: że panowie Marczak i Ziętara wcale nie leżeli w łóżkach w chwili, kiedy panna Sądecka zaczęła krzyczeć. Mimo to udawali zaspanych. Dlaczego? W pierwszej chwili odpowiedziałem sobie: to oni w jakiś sposób uruchomili „zdalnie” te dzwonki w bibliotece, a pyjamy i zaspane miny mają służyć im tylko jako alibi. Wszystko zmieniło się, kiedy zeszliśmy do biblioteki. Wtedy żart przestał być żartem. W bibliotece leżał zamordowany gospodarz Borów. Zauważyłem wtedy, że pan Marczak z najwyższym zdumieniem wpatruje się w obraz Trzeciego Króla. Po chwili zdążył się pan opanować, ale początkowo wrażenie było zbyt silne i powiedział pan nawet do siebie kilka niezrozumiałych słów. A przecież na ścianie wisiała „genialna”, jak ją określił profesor Gawroński, kopia, która nie powinna była wzbudzić w panu żadnych podejrzeń na odległość, tym bardziej że przecież uwaga nas wszystkich, a pańska także, zwrócona była na leżące na podłodze ciało. Tego także nie rozumiałem wówczas, ale zapamiętałem sobie, że tak właśnie pan się zachował. Wyglądał pan jak człowiek, który widzi coś, czego w ogóle nie spodziewał się zobaczyć. A co w takim razie spodziewał się pan zobaczyć? Pustą ścianę?... Nie wiedziałem. Dopiero później, kiedy profesor Gawroński przyszedł do mnie, do pokoju, i przekonaliśmy się wraz z nim,

że po ciemku wzięliśmy z biblioteki nie oryginał Trzeciego Króla, ale groteskową imitację obrazu, na której zamiast ciemnego, monarszego oblicza ktoś wymalował na prędcie trupią czaszkę, zrozumiałem. Spodziewał się pan zastać ten obraz na ścianie biblioteki, ponieważ to pan, razem z panem Ziętara, zamieniliście wieczorem, przed nami, obrazy. Zabraliście panowie oryginał i powiesiliście na jego miejsce tę trupią czaszkę. Wtedy wszystko by się zgadzało. Byłby to drugi etap waszego dowcipu: panna Sądecka zaczyna krzyczeć, pan Marczak namawia, żeby wszyscy zeszli i przekonali się, jak pięknie wisi w bibliotece Trzeci Król, aż tu nagle wszyscy widzą, że to nie Król, ale trupia czaszka. Nowy krzyk, śmiech i wszystko się wyjaśnia. Nawet kustosz nie byłby na pana zagniewany, bo przecież właśnie pan, jako autor kopii Trzeciego Króla sprzed kilku lat, miał przecież ten obraz wielokrotnie w rękach i wiadomo było, że go pan nie uszkodzi. Ale ktoś wkroczył w tę zabawę: najpierw my, zabierając waszą czaszkę, chociaż wcale nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, a potem morderca zabijając kustosza i zabierając z kolei obraz, który my powiesiliśmy. W każdym razie żart ten, bez względu na to, jak ciężko odczuła go panna Sądecka, stał się dla panów opatrnościowy: ponieważ od razu jasne było, że człowiek czy też ludzie, którzy powiesili trupią czaszkę, nie są ludźmi, którzy ukradli obraz i zabili kustosza. Albowiem zabójca kustosza i współnik szajki był ostatnim człowiekiem na ziemi, który miałby ochotę zwracać uwagę kogokolwiek na Trzeciego Króla. Nie miał on pojęcia o obecności milicji w pałacu, nie miał pojęcia, że milicja została uprzedzona o możliwości zamiany obrazów. Wierzył w to, że dostarczona przez szajkę kopia, którą zawiesi w miejsce oryginału, jest doskonała. Kiedy zabił kustosza, nie przypuszczał wcale, że śmierć tę ktoś będzie łączył z Trzecim Królem. Według najlepszej wiary mordercy, nikt nie powinien był wpaść na trop kradzieży. Tymczasem panowie opracowaliście szczegółowy plan, jak zwrócić uwagę wszystkich na zamianę obrazów w noc, kiedy szajka postanowiła ukraść Trzeciego Króla! Ale był jeszcze jeden argument: najważniejszy, który w ogóle wykluczał was jako współników

bandy. Otóż pan Marczak pierwszy zamienił obrazy i w związku z tym on musiał zabrać oryginał obrazu, rzucając na siebie podejrzenie, bo przecież każdy łatwo byłby dostrzegł, że to pan Marczak namalował tę nonsensowną czaszkę. Dlatego pan Marczak musiał nadal mieć u siebie oryginał Trzeciego Króla. A jeżeli miał oryginał, to oznaczało to, że nie był człowiekiem, który chciał przekazać go szajce...

— O Jezu! — westchnął Marczak. To za skomplikowane dla mnie, ale gotów jestem panu wierzyć, jeżeli chce mnie pan wybielić.

— Czy chce?... — Wieczorek rozłożył ręce. — Zważywszy, że pański kolega nabił mi na głowie tego znakomitego guza, który rośnie z każdą sekundą, wołałbym może nawet, żebyście obaj ponieśli kary piekielne, ale niestety ani pan, ani pan Ziętara nie mogliście być mordercami kustosza, pod warunkiem, że w waszym posiadaniu znajduje się Trzeci Król. I odnalazł się, jak zaświadcza pan profesor. Fakt, że panowie nie wspomnieliście o swoim żarcie po zabójstwie kustosza, był dla mnie zrozumiały, a nawet korzystny. Zrozumiały, bo łatwo sobie wyobraziłem, co panowie musieliście odczuwać po wejściu do biblioteki. To przecież wyście dzwonili i wyście zamienili oryginał na trupa czaszkę. Tymczasem trupia czaszka zniknęła, a dzwonienie wasze obwieściło coś, o czym nie śniło się wam w najkoszmarniejszych snach: kustosz został zamordowany. W tej sytuacji wpadliście w popłoch. Postanowiliście milczeć i jak najszybciej zwrócić obraz, kiedy tylko będzie to możliwe. Chcieliście to zrobić tak, żeby nawet nie wyjść na korytarz i nie rzucić na siebie najmniejszego podejrzenia. Trudno wam zresztą było wyjść teraz z obrazem pod pachą. Postanowiliście więc zwrócić obraz tą samą drogą, którą spuściliście te swoje dzwoneczki. Pan Marczak ma pokój nad biblioteką. Spodziewałem się, że istnieje jakieś pionowe połączenie. Ale to zdaje się ten sam przewód kominkowy, tak?

Marczak bez słowa kiwnął głową.

— Ja go miałem asekurować — mruknął Ziętara. — Zszedłem z pustymi rękami służbową klatką schodową. Kiedy zobaczyłem pana z tym rewolwerem, od razu pomyślałem, że to morderca

ułowil Marczaka. Trzeba bylo pomoc koledze. Nawinela sie ta taca...

— Dobrze, że nie halabarda — powiedział Wieczorek pogodnie. — A więc to wyczerpuje udział pana Marczaka i pana Ziętary jako współników szajki i morderców kustosza. Skreślam ich obu z mojej listy. W gruncie rzeczy, to oni przechowali oryginał Trzeciego Króla przez najgorsze chwile jego historii.

— Róże prześlemy po wyjściu stąd — Marczak zasalutował zasmoloną dłonią.

— Dziękuję. Ale panowie nie wyczerpujecie mojej listy, chociaż ewentualny morderca znajduje się już nie pomiędzy sześcioma osobami, lecz pomiędzy czterema. Są nimi:

- 1) panna Sądecka
- 2) panna Szczęśniakówna
- 3) pan profesor Gawroński
- 4) pan Wilczkiewicz

Początkowo wszystko wskazywało na to, że najłatwiej i najprościej dokonać mógł tego zabójstwa pan Wilczkiewicz...

— Jestem panu niezmiernie zobowiązany... — powiedział spokojnie zastępca kustosza.

— Nie ma za co. Staralem się tylko rozumować logicznie. Pan miał czas, okazję i umiejętności największe z wszystkich obecnych. I przyznaję szczerze, że gdyby nie morderca, który dostarczył panu murowanego alibi, miałbym do tej pory kłopoty z wykluczeniem pana, chociaż zdawałem sobie sprawę, że wybrałby pan inne narzędzie zbrodni niż kuszę.

— A nie przyszło panu do głowy, że Janas był moim przyjacielem i że nie miałem żadnego powodu, żeby go zabić?

— W wypadku, kiedy się prowadzi śledztwo, należy przede wszystkim wykluczyć tych, którzy nie mogli zabić, a dopiero później zastanawiać się nad motywami. Kiedy jest morderca, motyw też musi się znaleźć. Ale cofnijmy się jeszcze trochę. Pierwszy na mojej liście był profesor Gawroński. Ale... według mnie nie mógł on zamordować kustosza Janasa dla tej prostej przyczyny, że to on właśnie poinformował kustosza o zamierzonej kradzieży i to on właśnie namówił go do zamiany

obrazów. Ponieważ, jak wiemy, współnik szajki musiał być umówiony z człowiekiem w aucie na określoną godzinę, określonego dnia, a jest to noc z soboty na niedzielę, kiedy woźny nie dyżuruje w muzeum, więc raczej wybrał stosowny dzień. Musielibyśmy więc założyć, że profesor Gawroński tego właśnie dnia namówił kustosa do zamiany obrazów, a potem, żeby to uniemożliwić, zabił go. A uczynił to wszystko wiedząc, że na miejscu w pałacu jest dwoje oficerów milicji! Wszystko to jest, oczywiście, nonsensowne. Gdyby był współnikiem, nie zawiadamiałby Janasa, ale ukradłby sam i sam zawiesiłby kopię otrzymaną od szajki. Był ekspertem i mógł wykonać swój plan znakomicie, hamując nawet ewentualne śledztwo, gdyż Janasowi, który o niczym nie wiedział, mogłaby nawet przez całe lata nie wpaść do głowy, że warto Trzeciego Króla poddać ekspertyzie. Nie! Gdyby profesor Gawroński chciał uczynić tyle sprzecznych rzeczy naraz, musiałby być nie złodziejem, ale człowiekiem obłąkanym. I chociaż w tym, co nam powiedział początkowo profesor, były pewne nieścisłości, lecz wyjaśniły się one jednak szybko i mogłem profesora skreślić z mojej listy. Nie mógł namówić Janasa do zamiany obrazów, a potem zabić go, aby tę zamianę udaremnić. Nie mógł także przekazywać po śmierci Janasa obrazu, wiedząc, że natychmiast ruszy śledztwo. Bo przecież początkowo on jeden wiedział, że milicja czeka na szajkę. Raczej ostrzegłby współników, niż zabijał i kradł. To było absolutnie jasne od początku. A pewne nieścisłości w słowach profesora same, jak powiedziałem, wyjaśniły się w krótkim czasie...

Odwrócił wzrok, aby nie spotkać pełnego wdzięczności spojżenia Szczęśniakówny.

Ominiąłem ich jakoś — pomyślał z ulgą.

— A więc pozostało nas tylko troje — powiedział Wilczkiewicz — I znowu zaczynam podejrzewać, czy to nie...

Kapitan nie dał mu dokończyć.

— Proponuję, żeby się pan na razie powstrzymał od podejrzewania kogokolwiek. Sprawa jest już wyjaśniona i przepraszam państwa, że ją tak przedłużam. Ale chciałbym, żebyśmy wszystko dokładnie sobie wyjaśnili. Wtedy nawet

morderca nie będzie musiał zbyt wiele udawać, bo zrozumie, że sprawa jest bezapelacyjnie przegrana. Otóż pozostały mi na liście tylko trzy osoby:

- 1) pan Wilczkiewicz
- 2) panna Szczęśniakówna
- 3) panna Sądecka

Ale nie tylko osoby wchodziły tu w grę. Otóż podczas tej nocy naliczyliśmy z profesorem Gawrońskim pięć obrazów, to znaczy oryginał Trzeciego Króla i jego cztery, mniej lub więcej doskonałe, kopie. A więc:

- 1) Oryginał
- 2) Kopia przywieziona przeze mnie z Warszawy
- 3) Kopia wykonana przez pana Marcza przed paru laty i znajdująca się w posiadaniu muzeum
- 4) Ta nieszczęsna Trupia Czaszka, napacykowana, jeżeli wolno tak powiedzieć, przez pana Marcza dla żartu oraz:

5) Obraz wiszący w tej chwili na ścianie, który jest znakomitą kopią Trzeciego Króla, ale którego pan profesor nigdy jeszcze nie widział. Możemy wnioskować, że obraz ten został przekazany mordercy przez szajkę i że to właśnie morderca zawiesił go tu po zabójstwie.

Otóż:

- 1) oryginał mamy tu, bo przyniósł go teraz pan Marczak;
- 2) kopia przywieziona przeze mnie zniknęła ze ściany w chwili zabójstwa kustosza i możemy przypuszczać, że morderca oddał ją współnikowi w samochodzie myśląc, że to oryginał. Jedzie, ona teraz w kierunku Warszawy, jeśli już nie dojechała tam.

3) Trupia Czaszka jest u mnie w pokoju.

4) kopia szajki, jak powiedziałem, wisi tu.

Ale gdzie jest piąty obraz? Ten, który kustosz niósł w kierunku biblioteki, zanim zginął? Otóż morderca po zabójstwie kustosza miał w bibliotece dwa obrazy, jeden z nich, wiszący na ścianie, oddał współnikowi w aucie i otrzymał od niego w zamian kopię sporządzoną przez szajkę. Powrócił z nią tu i zawiesił ją na ścianie. Ale obok kustosza musiała nadal

leżeć kopia, którą pan Janas przyniósł tu i nie zdążył zamienić. Morderca nie mógł jej, oczywiście, pozostawić. Nie mógł jej także ukryć nigdzie w bibliotece, ani w żadnej z sal muzealnych, gdyż dokładne oględziny muzeum po zabójstwie były nieuniknione, a odnalezienie jej zwróciłoby uwagę śledztwa na Trzeciego Króla. Jak powiedzieliśmy, morderca ani przez chwilę nie przypuszczał, że ktoś podejrzewa zamianę obrazów. Zabił kustosza, bo nie miał innego wyjścia, widząc go, gdy zabierał się do zamieniania obrazów. Ale nie mógł tej nieszczęsnej kopii pana Marczaka nigdzie podrzucić. Nie mógł jej też zniszczyć ani spalić, bo musiał jak najprędzej znaleźć się w swoim pokoju i udać, że śpi. Zresztą bał się. Morderca ten nie był przecież zawodowym, rutynowanym mordercą. Zabił, ale chciał jak najprędzej zniknąć z miejsca zbrodni. Pozostawało mu tylko jedno: zabrać obraz z sobą. To było jedyne, rozsądne wyjście. Nie przypuszczał przecież, że ktokolwiek będzie szukał po śmierci Janasa kopii Trzeciego Króla. Milicja nie powinna była w ogóle zajmować się tą sprawą. Ale z drugiej strony nie mógł przecież trzymać u siebie w pokoju kopii, która powinna była znajdować się gdzieś w magazynach muzealnych, zamkniętych w tej chwili i niedostępnych dla mordercy, ponieważ nie przygotował się i nie mógł przygotować, nie będąc jasnowidzem, do dorobienia kluczy od tych magazynów. Cała sytuacja z zabójstwem włącznie była dla niego zaskoczeniem. A więc, założyłem, że morderca ma obraz u siebie. Ale, niestety, założyłem to o wiele za późno i moja koleżanka omal nie przyplaciła tego mojego błędu życiem. Kiedy zeszliśmy tu oboje, żeby zbadać sprawę tych dzwonek, drzwi zbrojowni uchyliły się i ktoś strzelił do mojej koleżanki. Strzelił z kuszy, oczywiście. Potem drzwi zatrzasnęły się natychmiast i kiedy dopadłem do nich, klucz już obrócił się w zamku. Jak państwo widzicie, nie da się ich wyważyć. I nagle stanąłem wobec problemu: czy kustosza Janasa nie zabił przypadkiem szaleniec? Bo przecież, ktokolwiek tu działał i czegokolwiek chciał dokonać, nie mógł mieć nic przeciwko żonie poety, która przyjechała tu dopiero tego samego dnia po południu, nie znała w Borach nikogo i nikomu nie weszła w

drogę! Ale z drugiej strony to działanie mogło być umotywowane czymś bardzo ważnym. Zacząłem gorączkowo myśleć i nagle zrozumiałem...

— Co pan rozumiał? — zapytała cicho Szczęśniakówna.

Wieczorek uśmiechnął się.

— Chwileczkę. Muszę się jeszcze cofnąć do chwili strzału. Otóż drzwi dzielące bibliotekę od zbrojowni zatrzasnęły się i zostaliśmy sami. Pochwyciłem moją koleżankę za rękę i pobieглиśmy w przeciwną stronę: minęły dosłownie sekundy od strzału, kiedy zaczęliśmy biec. Po niecałej minucie byliśmy już w podziemiu i zbliżyliśmy się do drzwi kuszami, a tam... tam podsłuchaliśmy fragment rozmowy panny Szczęśniakówny z panem Wilczkiewiczem. Oboje zastanawiali się gorączkowo nad tym, kto może być mordercą. Ale ja już wiedziałem, kto jest mordercą...

Nie zwracając uwagi na westchnienie ulgi, które wydarło się z piersi Wilczkiewicza, ciągnął dalej.

— Wiedziałem, kto jest mordercą, ponieważ żaden cud i żadna siła ludzka nie pozwoliłyby mordercy znaleźć się przed nami w kuszarni. A więc ani pan Wilczkiewicz, ani panna Szczęśniakówna nie strzelali do mojej koleżanki z uchylonych drzwi zbrojowni. Pozostała nam więc na naszej liście tylko jedna osoba:

panna Sądecka.

Nie zawieszając głosu i nie próbując żadnych efektownych zakończeń, ciągnął dalej:

— Ale jaki, na miłość boską, cel mogła mieć panna Sądecka w zabiciu osoby, którą przedstawiłem jej jako moją żonę? To było zupełnie niezrozumiałe.

— Całe szczęście! — Sądecka roześmiała się, nieco nerwowo.

— Kiedy wszyscy odpadli i zostałam sama na placu boju, ciarki mnie przeszły!

— Sekundę. Nagle zrozumiałem, jaki cel mogła mieć panna Sądecka strzelając do osoby, którą uważała za panią Wieczorkową.

— Naprawdę? — powiedziała Sądecka.

— Tak, proszę pani. Otóż przypomniała mi się zupełnie nic

nie znacząca scenka na korytarzu. Muszę ją pani przypomnieć, chociaż wydaje mi się, że zapadła ona pani w pamięć bardziej niż komukolwiek. Znajdowaliśmy się z koleżanką na korytarzu, kiedy drzwi pokoju pani Sąddeckiej otworzyły się i wyszła ona do nas, prosząc o zapalki. Moja koleżanka sięgnęła do kieszeni szlafroka i podała jej zapalki, ale równocześnie zauważyła, że ma szlafrok powalany jakąś białą farbą. Nikt z nas nie powiedział już ani słowa na ten temat. Ja także nie zwróciłem na to uwagi, chociaż powinienem był zwrócić, bo tam, gdzie w grę wchodzi obrazy — uśmiechnął się do siebie — farby też muszą odgrywać jakąś rolę. Ale kiedy na placu boju, jak to zostało już przed chwilą metaforycznie określone, pozostała, w moim skromnym przekonaniu, jedynie panna Sąddecka, zacząłem się zastanawiać, dlaczego chciała zabić moją koleżankę. I nagle olśnienie: farba!

— Co: farba? — Marczak nie zrozumiał.

— Po prostu farba. Biała farba gruntowa... tak się ona przecież nazywa. Farba ta schnie kilka do kilkunastu godzin, jeżeli się ją równomiernie rozprowadzi. A gdzie morderca mógł najłatwiej ukryć kopię Trzeciego Króla tak, żeby jej nikt nie spostrzegł? Pod gruntem, oczywiście! Zresztą skąd by się wzięła mokra zupełnie farba gruntowa o tej porze w pałacu? Pomyślałem o panu Marczaku i panu Ziętarze. Oni także mogli jej użyć. Mogli przemalować obraz, ukryć oryginał, jeżeli go mieli. Ale na szczęście ani moja koleżanka, ani ja nie weszliśmy do pokoju żadnego z panów. Natomiast wbiegliśmy do pokoju panny Sąddeckiej po jej ataku przerażenia. Przypomniałem sobie, że pod ścianą i pod oknem stały tam jakieś zagruntowane płótna. Ale czyżby panna Sąddecka była tak lekkomyślna i stawiała na froncie mokre, zagruntowane płótno, które mogło ją zdradzić? To także wydawało mi się niezrozumiałe. Nawet najbardziej lekkomyślny morderca ukrywa jakoś dowody, czasem mniej pomysłowo, czasem bardziej, ale nie pcha ich ludziom przed oczy. I znowu zrozumiałem, że trzeba na tę sprawę spojrzeć pod innym kątem. Pomyślałem mianowicie: a dlaczego znaleźliśmy się w pokoju panny Sąddeckiej? Dlatego, że zaczęła ona krzyczeć z

przerażenia i nie dawała znaku życia, kiedy zapukaliśmy do niej. Czyżby udawała po to, żeby uznano ją za najkruchszą i najpłochliwszą istotę znajdującą się na terenie pałacu? To byłoby możliwe. Ale przecież panna Sądecka nie wiedziała, że te dzwonki zadzwonią. Jeśli to ona zabiła kustosza, to przecież właśnie w jej uszach te dzwonki musiały zabrzmieć najbardziej upiornie. Proszę sobie wyobrazić: wieczorem słyszymy opowiadanie o tym, jak dzwonki dzwonią, gdy umiera gospodarz pałacu. Później jedno z nas zabija gospodarza pałacu, wraca do siebie do pokoju, gorączkowo zamalowuje kopię — dowód przestępstwa, rozbiera się i nagle... dzwonki odzywają się! Nie dziwię się, że po tak straszliwym napięciu, jakim, bądź co bądź, jest dla najgorszego nawet człowieka fakt zabójstwa i... to nie zaplanowanego zabójstwa, można niemal oszaleć z przerażenia, kiedy siły nadprzyrodzone objawiają nagle swoją obecność! W pierwszej chwili panna Sądecka musiała pomyśleć, że powtórzyła się historia sprzed stulecia, historia, w którą nie wierzyła oczywiście przedtem, ale w którą musiała uwierzyć teraz, bo pośród ciszy uśpionego pałacu, tam właśnie, gdzie leżał trup kustosza, zadzwoniły dzwoneczki! I dlatego zapomniała o obrazie, zapomniała o wszystkim! Była na pół umarła z przerażenia... — odetchnął głęboko. — A potem już było za późno. Moja koleżanka weszła do pani pokoju, zbliżyła się do okna i otarła o świeżo zagruntowany obraz. Nie zauważyła pani tego, może nawet zapomniała pani wówczas o tej kopii. Była pani naprawdę zupełnie roztrzęsiona, widziałem to na własne oczy... Ale kiedy usłyszała pani po trzech godzinach słowa mojej koleżanki i zobaczyła pani tę smugę na jej szlafroku, zrozumiała pani, że jeśli ta kobieta zacznie zastanawiać się, skąd ma tę smugę i przypomni sobie, wówczas ktoś może sobie zadać pytanie, dlaczego pani gruntowała to płótno po nocy. I dlatego postanowiła pani, że ta kobieta umrze. Później nikt by już sobie nie zawracał głowy tą smugą. Zaszłaby szybko. Była w tym i druga korzyść: drugie morderstwo, tym razem zupełnie bezsensowne na pozór, wprowadziłoby śledztwo na manowce. Te same argumenty, które przytoczyłem przed chwilą, mianowicie fakt, że moja

koleżanka nikogo tu nie знаła, że była tu pół dnia zaledwie, że była nie zainteresowana niczym, co tu się działo, świadczyłyby na pani korzyść. Dlaczego miałyby pani ją zabijać? To jakiś szaleniectwo. Może pan Wilczkiewicz? Może panna Szczęśniakówna? Ale przecież nie pani, prawda?

Sądecka otworzyła usta. Była bardzo błada w tej chwili

— Wydaje mi się... — Wieczorek wstał z ziemi i potarł czoło — że jak na osobę zdzieloną tacą w głowę mówiłem dość rozsądnie. Proszę nie polemizować ze mną. Nie warto. Człowiek, któremu oddała pani obraz, zostanie w krótkim czasie zatrzymany. A proszę mi wierzyć, że kiedy dowie się o morderstwie, będzie wołał odpowiadać tylko za kradzież i natychmiast ujawni osobę, która mu przekazała obraz. Poza tym nie widzę tu mojej koleżanki...

— Jestem... — Katarzyna wyszła zza drzwi. W obu rękach trzymała białe, naciągnięte na blejtram płótno. — Zdaje się, że to ten, prawda?

— Ten... — powiedziała cicho Małgorzata Sądecka i zemdląła.

Wieczorek zbliżył się, uniósł ją z ziemi i położył na sofie stojącej naprzeciw kominka. Nikt nie poruszył się. Wszyscy milczeli.

Przez chwilę kapitan patrzył w tę uspokojoną nagle, ładną twarzączkę. Potem westchnął.

— Szkoda... — powiedział cicho. — A mogła żyć jak tyle innych dziewczyn i... — odwrócił się. — Zostań tu. z nią — powiedział do Katarzyny. — Szósta. Idę zadzwonić.

Wyszedł. Nikt nie poruszył się. Odgłos jego kroków niknął w dole i wreszcie ucichł w sieni.



Dwaj ludzie zerwali się równocześnie z miejsc, jeden z nich zaciągnął grube, ciemne story i pokój zaległy nagle nieprzeniknione ciemności. W tej samej chwili rozległo się ciche brzęczenie aparatu projekcyjnego. Na ścianie ukazał się równo wycięty prostokąt blasku, oświetlający niewielki ekranik.

- Proszę - zabrzmiał w mroku głos pana Grubera. - Reprodukacja numer jeden!

Na ekranie pojawiło powiększone barwne zdjęcie "Trzeciego Króla" Ribery. Był to król murzynski, okryty wspaniałym płaszczem, ozdobionym małenkimi złotymi dzwoneczkami.

- Tak więc, moi panowie, obraz, który w tej chwili oglądamy, stanowi problem, jaki musimy rozwiązać w ciągu najbliższych miesięcy, a może nawet tygodni. Jest to dzieło niemal bezcenne, nas jednak bezpośrednio interesują dwie sprawy: jak zdobyć obraz oraz jak zrobić to bez wywoływania skandalu...

Reflektorek, rzucający snop światła na ekran, zgasł na chwilę. Wizerunek Trzeciego Króla zniknął i na jego miejsce ukazał się piękny barokowy pałac, widoczny od strony wysadzanego obrzymimi drzewami podjazdu.

- Nazwa tego pałacu brzmi Bory. Jest to dawna rezydencja magnacka, obecnie zamieniona na muzeum państwowe - objaśniał pan Gruber pogodnie...

Cena zł 15

LESIOJOT

lesiojot